

szóty  
zmył

*Nawet niewielka tajemnica  
może być zabójcza.*

# ZATRACENI W SOBIE

K.M. DYGA





K. M. D Y G A

# ZATRACENI W SOBIE

szóty  
zmył

Słupsk 2021

# SPIS TREŚCI

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Epilog](#)

*Redaktor prowadząca*  
Dominika Szałomska

*Redakcja*  
Olga Gorczyca-Popławska

*Korekta*  
Katarzyna Myszkorowska

*Projekt okładki*  
Justyna Sieprawska

*Skład i łamanie*  
Anna Szarko

*Konwersja do EPUB/MOBI*  
InkPad.pl

Copyright © by K.M. Dyga 2021  
Copyright © for the Polish edition by Papierowy Księżyc 2021

Wydanie I  
Słupsk 2021

ISBN 978-83-65568-90-8



Wydawnictwo Szósty Zmysł  
Grupa Wydawnicza Papierowy Księżyc  
skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12  
tel. 59 727-34-20, fax. 59 727-34-21  
e-mail: [wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl](mailto:wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl)  
[www.szostyzmysl.com.pl](http://www.szostyzmysl.com.pl)

# PROLOG

*Moskwa*

Przez dźwięk tłuczonego szkła, łamanych desek i rozbijanych sprzętów przebijały się okrzyki:

*– Job tvoju mat’! Bodaj ty skis! Szto by tiebia wyjebali w sraku!*

Aleksiej już od jakiegoś czasu wyrażał w sposób pełen ekspresji emocje wywołane informacjami, jakie właśnie otrzymał. Dla podkreślenia swoich słów metodycznie demolował pokój. Zawartość biurka poleciała jako pierwsza. Na specjalne traktowanie zasłużył ciężki dziurkacz do papieru, który pofrunął w stronę przeszklonej witryny z książkami. Trach! Teraz Aleksiej złapał za lampę i cisnął ją w stronę okna. Szyba nie rozbiła się z krystalicznym brzdękiem, na jaki liczył. Szkoda. Właśnie roztrzaskał w drzazgi krzesło, a mały, okrągły stolik posłużył mu jako maczuga do dalszej dewastacji witryny. Rodzinne fotografie – im poświęcił zdecydowanie najwięcej uwagi. Zostały metodycznie i z wielką furią zdeptane ciężkimi buciorami. Całości towarzyszył dalszy potok kwiecistej mowy.

Oleg stał w kącie, bezpiecznie oddalony od szalejącego Aleksieja, i beznamietnie czekał, aż wyczerpie się jedno z dwóch – siły jego szefa lub rzeczy do zniszczenia. W końcu Aleksiej powiódł dookoła szaleńczym spojrzeniem, ale wśród rozgardiaszu nie wpadło

mu w oko nic, co stanowiłoby satysfakcjonujący cel. Cały spocony ciężko dyszał. Zatrzymał wzrok na Olegu i wychrypiał:

– Powiedz mi to jeszcze raz, na spokojnie.

– Idalia Piasecka, lat dwadzieścia cztery, obywatelka Polski, studentka. Matka nie żyje. Ojciec... – Olegowi mimowolnie zadrżał głos, więc odchrząknął i powtórzył to, czego Aleksiej wolałby nigdy nie usłyszeć.

– *Kurva!*

# ROZDZIAŁ 1



Ostatnie zamówienie, trzy porcje dużego ramenu i *okonomiyaki*, podskakuje w koszyku mojego roweru. Pędzenie po Warszawie w godzinach szczytu wymaga niezłego samozaparcia, nawet jeśli ktoś porusza się tak jak ja – na ukochanym jednoślądzie. Przez całą drogę towarzyszy mi kakofonia typowych miejskich dźwięków, której nie są w stanie wygłuszyć nawet słuchawki w uszach. Buczenie rozgrzanych silników, głosy ludzi śpieszących się nie wiadomo dokąd, muzyka napływająca falami z lokali, a co jakiś czas przerywnik w postaci klaksonu lub niecenzuralnej wstawki rzuconej przez kogoś, kto nie zdążył wypić popołudniowej kawy albo wypił jej zbyt dużo. Mięśnie łydek palą, a kropelki potu zbierają się nad górną wargą. Zmieniam przerzutkę i naciskam mocniej na pedały, nucąc dla dodania sobie animuszu w rytm melodii rozbrzmiewającej w słuchawkach.

– Co za baran! – Reaguję na samochód zatrzymujący się przy krawężniku kilka pojazdów przede mną.



Kierowca nawet nie wrzucił migacza ani awaryjnych. Auto jest z tych lepszych, białe i błyszczące w słońcu czystym luksusem, więc pewnie to jakiś biznesmen, który może sobie pozwolić na złamanie przepisów bez obawy o wysokość mandatu. Od strony kierowcy wysiada postawny mężczyzna w czarnym garniturze. Szybko kalkuluję, że ominięcie jezdnią nie wchodzi w rachubę. Wskakuję na chodnik, z zadowoleniem stwierdzając, że nie widać tam żadnego pieszego. Mam tylko nadzieję, że w okolicy nie ma straży miejskiej albo policji, bo za chwilę to ja będę się martwiła, z czego zapłacić mandat.

Świat zamiera, a wszystko zaczyna się dziać jak na zwolnionym filmie. Drzwi od strony pasażera otwierają się bez ostrzeżenia, a z samochodu zaczyna wysiadać drugi mężczyzna. Wciskam oba hamulce.

*Jadę za szybko! Nie zdążę!*

Jestem dokładnie na kursie kolizyjnym.

Film przed moimi oczami toczy się dalej, bez mojego udziału, klatka po klatce. Przerazona krzyczę coś na cały głos.

Stopklatka.

Mężczyzna obraca głowę w moją stronę. Widzę, jak rozszerzają mu się źrenice, a to znaczy, że jestem już za blisko.

Stopklatka.

Próbuję skrócić, żeby ominąć przeszkodę. Zyskuję tyle, że zamiast w mężczyznę wjeżdżam w drzwi samochodu. Jestem wdzięczna za kask.

Stopklatka.

Rower się przechyla, a ja spadam na mężczyznę.

Stopklatka.

Razem ze mną leci zawartość koszyka.

Stopklatka.

Duży ramen i *okonomiyaki* z kapustą. Pyszne, warte swojej ceny – lecą. W tym momencie jestem trochę rozczarowana, bo mają

potencjał, żeby wzlecieć wysoko w powietrze i po drodze malowniczo wylatywać z opakowania, po czym wylądować mężczyźnie na głowie. A one po prostu lecą tak... nijak.

Stopklatka.

Lecą i lądują na garniturze mężczyzny.

Stopklatka.

Ja, ramen i kapusta w ramionach nieznanego mężczyzny, który z wrażenia aż przysiadł na siedzeniu samochodu.

Kurtyna.

– Kurwa, co pani wyprawia?!

Z marzeń o roli pierwszoplanowej w filmie katastroficznym wyrywa mnie głos kapuścianego mężczyzny. Musiałam doznać szoku, ponieważ zamiast się odsunąć, nadal tkwię w jego ramionach. Podnoszę głowę i napotykam oczy. W tym momencie mam wrażenie, że czas znowu zwalnia bieg, a moje serce potyka się i wywija fikołka nie gorszego niż ja przed chwilą. Napotkane oczy są koloru butelkowej zieleni. Później, przewracając się z boku na bok w łóżku, będę się zastanawiała, czy była to kwestia oświetlenia, mojej wyobraźni czy szkieł kontaktowych. Póki co uważam, że są to najbardziej fascynujące oczy, jakie w życiu widziałam. Twarz schodzi jakby na drugi plan. Co za różnica, że jego włosy są brązowe, a szczęka mocno zarysowana i ogolona – są to cechy jak u wielu innych i w porównaniu z oczami nie mają żadnego znaczenia.

– O! – ni to mówię, ni wzdycham, bo na jednym policzku przykleiła mu się nitka kapusty.

Nie zastanawiając się, co robię, wyciągam rękę i ją zdejmuję.

*Jakby przy całym tym obrazku jedna nitka zrobiła w ogóle różnicę.*

Nie czuję bólu, więc albo nic sobie nie zrobiłam, albo solidna porcja koloroterapii w połączeniu z męskimi perfumami zadziałała jak końska dawka środków przeciwbólowych. Znając moje szczęście, jak tylko wstanę, okaże się, że na chodniku wylądowały moje flaki wymieszane z kapustą.

*Zostanę więc lepiej, gdzie jestem...*

Mężczyzna przygląda mi się intensywnie tą swoją butelkową zielenią, ale nic nie mówi.

Brutalne szarpnięcie za łokieć wyrywa mnie z transu. To osiłek podnosi mnie i rower, żeby uwolnić swojego szefa.

– Nic się panu nie stało? – pyta, całkowicie mnie ignorując.

Rozglądam się po całym bałaganie i pierwszą trzeźwą myślą, jaka przychodzi mi do głowy, jest:

– Kto zapłaci za jedzenie?

– To pani wjechała w nas, proszę zobaczyć, co pani narobiła! Jasne jest, kto będzie płacił za pralnię i czyszczenie tapicerki. Będzie się pani cieszyć, jeżeli nie zadzwonimy po policję. – Osiłek wymachuje palcem przed moją twarzą. – Proszę pana, mam zadzwonić?

– Nie – mówi spokojnie mężczyzna, bezskutecznie próbując strzepnąć resztki jedzenia ze stalowego garnituru.

Chyba też nie należy do gadatliwych albo szkoda mu strześcić dla mnie języka.

– Oczywiście, że nie chcecie dzwonić na policję – oburzam się.

*Żaden z nich nie zapytał nawet, jak się czuję!*

Przechodnie patrzą na nas ciekawsko, ale nikt nie odważy się zainterweniować.

– Przez parkowanie w miejscu niedozwolonym naraziliście moje zdrowie, a może nawet życie. Na pewno życie mojej dostawy! Nikt już nie zje tego pysznego ramenu! Zasługiwał na lepszy los. – Chwytam się pod boki i staram wyglądać na pewną siebie. – To ja powinnam wezwać policję.

Widzę, jak mężczyźni zaczynają drgać kąciuki ust, jakby cała ta sytuacja go bawiła. Ruchem ręki powstrzymuje kierowcę przed odezwaniem się. No tak, dla niego taki ramen to nic. Dla mnie oznaczał kilkadziesiąt złotych, które będę musiała wyjąć z własnego portfela.

### *Niedoczekanie!*

– To, że jest pan ewidentnie bogaty, nie znaczy, że stoi pan ponad prawem. Tutaj jest zakaz zatrzymywania i postoj! Przez pana zaparkowany samochód musiałam ratować się zjechaniem na chodnik. I dziękuję, że pan pyta – pryham – nic mi się nie stało!

Wyjmuję pośpiesznie rachunek za zmarnowane zamówienie i z tyłu zapisuję swój numer telefonu. Paragon wciskam mężczyźnie do butonierki razem z glonem *wakame*, który tam wylądował.

– Proszę do mnie zadzwonić w celu ustalenia rekompensaty. Zapamiętałam pański numer rejestracyjny. A tam, o – wskazuję ręką – jest kamera monitoringu, która nagrała całe zdarzenie. Do widzenia.

Podnoszę rower i z całą godnością, na jaką mnie stać, odjeżdżam pośpiesznie, nie dając im czasu na ripostę.

– Proszę posprzątać chodnik! – krzyczę, odwracając się po przejechaniu paru metrów.

Mogło mi się tylko wydawać, że za mną rozległ się śmiech.



Wlokę się po schodach noga za nogą, holując za sobą rower.

– Jeden cukierek, dwa wafelki, trzy krówki, cztery karmelki... – Dla zajęcia myśli z każdym stopniem wizualizuję słodkości, na które sobie pozwolę dzięki kaloriom spalonym podczas tej wspinaczki.

Dobrze, że rower nie ucierpiał w wypadku, bo na myśl o kosztach naprawy aż cała drętwieję, a poza tym musiałabym robić dostawy firmowym samochodem, czego nie cierpię. Kolano przy każdym ruchu piecze coraz bardziej, więc jednak coś sobie uszkodziłam. Mam nadzieję, że tylko skórę, bo nie miałam czasu sprawdzić.

– Dwadzieścia pączków, dwadzieścia jeden eklerków, dwadzieścia dwa ciacha z kremem... – Mam coraz większe problemy z oryginalnością, a podobno mogłabym mówić o słodyczach cały dzień.

*Ciekawe, czy pan Kapuśniak odezwie się do mnie i zapłaci za wszystko.*

Musiałam zadzwonić do restauracji i poprosić o przygotowanie nowego zamówienia, wrócić po nie, dostarczyć klientom i przeprosić za „nieprzewidziane okoliczności na drodze”. Napiwku oczywiście nie dostałam. Do tego specjalnie jechałam inną, dłuższą trasą, bo jakoś nie chciałam się przekonać, czy rzeczywiście posprzątali chodnik z tego bałaganu, jaki narobiliśmy.

– Siedemdziesiąt siedem czekolad, siedemdziesiąt osiem drożdżówek z budyniem... – sapię na ostatnim oddechu, a rower waży już prawie tonę.

*Czuję się trochę winna, bo to jednak ja wjechałam w pana Kapuśniaka. Tak po prawdzie, to też nie zapytałam, czy nic mu się nie stało. Może ma alergię na kapustę albo glony?*

Z takimi myślami i osiemdziesięcioma ośmioma muffinkami docieram na swoje piętro w kamienicy. Winda psuje się z taką częstotliwością, że równie dobrze mogłoby jej w ogóle nie być. Po drodze zabieram listy ze skrzynki, ale nawet nie chce mi się ich przeglądać. Jestem pewna, że większość to reklamy, ewentualnie wezwania do zapłaty.

*Z powodu miłości do prądu w gniazdku będę musiała niedługo uregulować rachunki...*

Otwieram drzwi i wprowadzam rower do mieszkania.

– Cześć, malutkie – witam całe swoje życie upchnięte na niespełna dwudziestu metrach kwadratowych.

Nie licząc skrzypnięcia podłogi pod stopami, odpowiada mi spodziewana cisza. Podczas przeprowadzki ze starego, większego mieszkania zabrałam tylko to, co było niezbędne. W tym trochę

pamiątek po mamie, fotografii, a także obrazy jej autorstwa. Co się dało, sprzedałam. Resztę wyrzuciłam. Odkładałam klucze do koszyczka na komodzie, przy czym zatrzymuję wzrok na zdjęciu stojącym obok. Uchwyciło dynamikę bujającej się huśtawki i kobietę w kraciastej spódnicy, która patrzy z czułością na szeroki uśmiech huśtającej się dziewczynki.

– Miałam dzisiaj przedziwny wypadek, wiesz? Nic się nie stało. Szkoda tylko, że nie mogę ci o tym opowiedzieć... – Wzdycham ze smutkiem i gładzę opuszkami palców twarz kobiety.

Idę do kuchni, żeby zrobić kawę, ale zaraz po włączeniu czajnika przypominam sobie, że zapomniałam kupić nową. Przeczesałam szafki w poszukiwaniu zapomnianych resztek i mój wzrok pada na puszkę z napisem „ryż”. Kładę ją na blacie i patrzę na nią w zamyśleniu. Puszka wiąże się z pamięcią o mamie – zawiera tajemnicę znalezioną w skrzynce pod jej łóżkiem. To plik niezrealizowanych czeków, każdy na dwanaście tysięcy dolarów. Sądząc po datach, musiała je dostawać przez ostatnie dwadzieścia lat i chować.

– Opowiecie mi kiedyś swoją historię? – zwracam się do zawartości puszki. – Kto was przysłał i dlaczego?

Lubię myśleć, że gdzieś w świecie jest ktoś z rodziny, kto czuwa z oddali. Ostatni czek przyszedł listem poleconym już po pogrzebie, a jako nadawcę podano tylko skrytkę pocztową. Poczta nie ujawnia danych właścicieli takich skrytek, więc nie mam punktu zaczepienia.

Świadomość, że mam te чеки, wręcz parzy. Długo wahałam się, czy mam do nich prawo. Przecież mama musiała mieć jakiś powód, że nie skorzystała z tych pieniędzy nawet podczas swojej choroby. Długi, jakie zaciągnęłyśmy, żeby mogła w bardziej komfortowych warunkach walczyć z rakiem, codzienne opłaty, chesne i do tego jeszcze koszty pogrzebu – to wszystko zostało na mojej głowie. Więc kiedy straciłam poprzednią pracę, a do drzwi zapukali komornik i depresja, zdecydowałam się.

– Myślałam, że mnie aresztują – mówię na wspomnienie, jak głośno waliło mi serce, kiedy podchodziłam do okienka w banku, pełna wątpliwości, czy będę mogła zrealizować czek, a może potraktują mnie jak jakąś oszustkę?

Na szczęście wszystko poszło bezproblemowo. Dla banku kolejna standardowa transakcja, pieniądze po kilku dniach na koncie, a dla mnie wielka rzecz i nieprzespane noce. Wykorzystałam niezbędne minimum z tych pieniędzy, resztę wpłaciłam na lokatę i udaję, że ich tam nie ma. Nie wiem, czy mama pochwaliłaby takie działania, ale w tamtym momencie czułam, że jestem w pułapce bez wyjścia.

Lubię fantazjować, że realizuję je wszystkie. Myśleć, co mogłabym zrobić z takimi pieniędzmi. Potem zamykam puszkę i zastanawiam się, skąd mam wziąć na rachunki. Albo na lepszą kawę.



Schowana pod poduszką komórka nieznośnie wibruje i wybudza z błęgiego niebytu. Zaspana czytam wiadomość, choć oczy jeszcze nie do końca potrafią złapać ostrość:

Zapraszam Panią jutro o godzinie 8:00 na rozmowę kwalifikacyjną na stanowisko asystentki w firmie Cardecki Investment. Proszę o potwierdzenie przybycia.

Siadam na łóżku, nagle wybudzona. Nie potrafię sobie przypomnieć, czy wysyłałam CV do tej firmy. Wpisuję w wyszukiwarce nazwę i czytam. Nie jest to z pewnością firma kogucik, wysokość kapitału zakładowego robi wrażenie. Cena akcji

również. Z informacji na ich stronie internetowej wynika, że zajmują się działalnością w wielu sektorach.

– Handel, innowacje technologiczne... Nawet budowlanka. – Czytam, przeklikując poszczególne zakładki.

Nachodzi mnie podejrzenie, że zaszła jakaś pomyłka i to nie mnie chcieli zaprosić na rozmowę.

*Nawet jeżeli, to będę szła w zaparte i upierała się, że taki SMS to świętość!*

Rozczochrana, w ulubionej piżamie, z cieniami pod oczami i obgryzionymi ze stresu paznokciami nie prezentuję się jak asystentka. Nawet stanowisko asystentki sprzątaczkki zasługuje na lepszy wizerunek niż ten, który sobą przedstawiam. Poważna firma i poważne stanowisko wymagają równie poważnego image'u.

– Czyli – wzdycham – jeansy i koszulka odpadają. Czas na telefon do przyjaciela. – Po chwili błagalnie zwracam się do telefonu: – Aga! Ratuj!

– Co się stało? – W słuchawce odpowiada mi głos, który z powodzeniem mógłby należeć do prezenterki radiowej.

– Jutro rano mam rozmowę kwalifikacyjną w dużej firmie. Nie chcę tego zepsuć, a nie wiem, co na siebie włożyć. Musisz coś zrobić z moimi paznokciami. No i włosami!

– O dziewiętnastej kończę pracę, więc powinnam być przed dwudziestą u ciebie. – Aga jest jak zawsze konkretna.

Niestety, nie pierwszy raz ubolewam, że nie mogę od niej pożyczyć ubrań, bo nosi rozmiar 36. Natomiast ja wciskam się w 40 tylko w przypadku zawyżonych rozmiarówek.

Agnieszka pojawia się na moim progu równo o dziewiętnastej, obładowana jak obwoźna przekupka. Kuferki, walizeczki i torby wchodzą do mieszkania pierwsze, za nimi metr sześćdziesiąt mojej przyjaciółki plus szpilki. Ma na sobie prostą, ciemnozieloną sukienkę z wiązaniem w pasie, a jej blond włosy do ramion ułożone w nienaganne fale wyglądają, jakby właśnie wyszła z salonu.



*No cóż, technicznie rzecz biorąc, tak właśnie jest.*

– O rety! Patrząc na ciebie, cieszę się, że przełożyłam ostatnią klientkę i przyszłam wcześniej. Coś ty, dziewczyno, ze sobą zrobiła?

– wita mnie od drzwi.

– Też się cieszę, że cię widzę. Tak wygląda klasa ucząco-pracująca. – Krzywię się, bo powód, dla którego ją do siebie wezwałam, jest oczywisty.

– Czyli podsumowując – Aga pracuje ostro nożyczkami przy moich końcówkach – nie pamiętasz, żebyś tam w ogóle wysyłała CV, nie wiesz, jakie są wymagania na to stanowisko, jakie proponują warunki ani o co będą pytali podczas rozmowy, tak?

– Zgadza się. Taka randka w ciemno – żartuję.

– Równie dobrze może to być randka z przystojnym prezesem, który zakocha się w tobie od pierwszego wejrzenia, zabierze z tej nory, którą masz za mieszkanie, i da diamentową kartę bez limitu na wydatki służbowe.

– A nazywał się będzie Christian Grey i zabierze mnie z tej, jak to nazwałeś, nory prosto do swojego pokoju zabaw, gdzie będziemy całymi dniami uprawiać namiętny seks, o którym usłyszysz cały świat.

– Nawet nie staram się ukryć kpiny w głosie.

– Ty to powiedziałaś, nie ja. Ale prawda jest taka, że przydałoby ci się trochę akcji.

*Dlaczego myślę w tym momencie o butelkowozielonych oczach...?*

– Przydałaby mi się dobrze płatna praca, nic więcej.

Jakiś czas później zamiatam podłogę z resztek włosów, a Aga krząta się przy stole, rozkładając sprzęt do manicure.

– Paznokcie powinny pasować do stroju, ale znając twój gust, będzie to coś kolorowego, bo jedyne, co masz w stonowanych kolorach, to szare dresy i tę okropną czarną marynarkę. – Mogłabym przysiąc, że aż się wzdrygnęła na myśl o marynarce.

Aga ubiega moje wszelkie obiekcje, podnosząc rękę.

– Nawet nie zaczynaj. French?

W końcu po przejrzeniu niezliczonej ilości wzorników dochodzimy do kompromisu co do moich paznokci. Czuję się, jakby ta decyzja miała wagę reszty mojego życia.

Po eonach piłowania, malowania, suszenia i polerowania słyszę słowa, na które czekałam:

– No, gotowe! Pedicure też chcesz?

Patrzę na Agę, uśmiechając się krzywo.

*Po co mi w marcu zrobione paznokcie u stóp?*

– Depilację też mi proponujesz? No wiesz, przystojny prezes z niesłabnącą erekcją i te sprawy. – Spoglądam z uśmiechem zadowolenia na francuski manicure. – Mam oczojebne paznokcie, fajnie! – Zamiast białego lakieru Aga pomalowała końcówki różnokolorowymi lakierami neonami.

– Widzę, że ci się podobają. – Uśmiecha się. – Tak myślałam, pasują do ciebie. To teraz odkryjmy potwory z twojej szafy.

Nie zostało nic innego, jak tylko otworzyć puszkę Pandory i wypuścić na świat chmarę moli w towarzystwie plagi braku gustu i funduszy.

– O matko i córko! Ile ty masz kombinezonów? – Zdziwienie w głosie Agi jest ogromne.

– Tak jakbyś mnie nigdy w nich nie widziała. – Prycham. – Przecież kombinezony to moja wielka, jedyna odwzajemniona miłość! – wykrzykuję może z ciut za dużą emfazą. – No co, wolałabyś, żeby to były koty?

Nie trafiam z dowcipem, bo Aga patrzy na mnie z politowaniem, jakby widziała w mojej niedalekiej przyszłości przynajmniej jednego dachowca.

– Dobra, a masz chociaż jakąś sukienkę? – pyta z nadzieją.

Pokazuję z niepewną miną moje dwie sukienki, bo wiem, że jej nadzieja na coś nadającego się do ubrania w mojej szafie szybko pryśnie.

– Hmm, cofam pytanie. Pokaż kombinezony. – Aga wygląda, jakby zaraz miała zacząć się hiperwentylować.

Patrzę na nią z rozbawieniem. Tam, gdzie Agnieszkę cechuje elegancja, wyrafinowany gust i zamiłowanie do wysokich obcasów, ja preferuję praktyczność, dres i trampki. Pomimo wielu rozmów na ten temat i próby wprowadzenia mnie w jej świat nadal nie rozróżniam tipsów od żeli, a mikrodermabrazja jak dla mnie równie dobrze może być gatunkiem egzotycznego ptaka. Podczas gdy Aga rozpieszcza się serią zabiegów w domowym spa, ja wolę wlać do wanny bąbelki i po prostu poczytać książkę.

*No cóż, Aga jest idealna pod prawie każdym względem. Natomiast ja jestem... sobą.*

Może właśnie bycie przeciwieństwami cementuje naszą przyjaźń.

Przekopanie się przez całą szafę nie zajmuje nam dużo czasu i ostatecznie po wielu ciętych komentarzach Agnieszki na łóżku pozostają do wyboru dwa kombinezony.

– Założ – zarządza.

Przeglądam się w lustrze z zadowoleniem, bo naprawdę lubię kombinezony. Nie przesadzałam też z tym, że odwzajemniają moją miłość. Nawet Aga musi przyznać, że dobrze na mnie leżą, wyglądają jak szyte na miarę i pasują do figury. Maskują skutecznie te dwa nadmiarowo zjedzone kawałki pizzy, za to uwidaczniają kusząco biust i pupę. Poza tym są stosunkowo rzadko noszone przez inne kobiety, co daje mi poczucie oryginalności, a to lubię.

– Ten! – W końcu pada wyczekiwany przeze mnie werdykt. – Drugi ma fajny dekolt, ale niech przystojny prezes poleci najpierw na twój intelekt. Pokaż, jakie masz buty.

Tutaj nie ma wyboru. Mam jedno czółenka na niewielkim obcasie.

– Dobra, niech będą. Ale jak tylko dostaniesz pierwszą wypłatę z nowej roboty, to idziemy na zakupy. Ja wybieram, ty płacisz.

Bezdiskusyjnie!

- Tak jest, szefowo! – Salutuję jej z rozbawieniem.
- To teraz należy tylko mieć nadzieję, że w tym kombinezonie nie zachce ci się siku w trakcie rozmowy.

## ROZDZIAŁ 2



Stoję pod budynkiem. Na oko jakieś dwadzieścia kondygnacji, może więcej. O tym, że jest to właściwy adres, informuje logo firmy umieszczone nad wejściem. Wewnątrz wita mnie przyjemny chłód klimatyzacji i luksus eleganckiego wnętrza. Podchodzę do jednej z kobiet siedzących w recepcji, przełykam ślinę i mówię:

– Dzień dobry, zostałam zaproszona na rozmowę kwalifikacyjną do firmy Cardecki Investment, na godzinę ósmą.

– Dzień dobry, proszę podać imię i nazwisko oraz stanowisko.

Moje imię – za każdym razem, kiedy w formalnych sprawach muszę przedstawić się pełnym imieniem, aż się wzdrygam. Mama do końca upierała się, że nazwała mnie pięknie, chociaż sama wołała pieszczotliwie mówić do mnie „moja Idusia”, a Idalią byłam tylko wtedy, kiedy coś przeskrobałam albo szykowała się rozmowa z gatunku tych poważnych, po których zakazuje się dzieciom telewizji i obcina kieszonkowe.

– Idalia Piasecka. Asystentka.

– Chwileczkę. – Podnosi słuchawkę i wybiera krótki numer. – Dzień dobry, przyszła pani Idalia Piasecka na rozmowę kwalifikacyjną. Aha... Rozumiem... – Kobieta obrzuca mnie taksującym spojrzeniem z góry na dół i z powrotem, po czym podnosi brew z niedowierzaniem. – Dobrze, pokieruję.

Odkłada słuchawkę i patrzy na mnie przez chwilę, jakby się zastanawiała, co ma ze mną zrobić. *Tak, wiem. Z chęcią założyłabym czarną garsonkę i białą bluzeczkę, żeby wyglądać tak ślicznie jak ty. Gdybym tylko takie miała.*

– Po lewej stronie jest winda, proszę zeskanować kartę i wybrać piętro dwudzieste szóste. Tam już się pani nie zgubi.

– Dziękuję – mówię, odbierając od niej biały kawałek plastiku.

W kolejce do wind czeka kilku mężczyzn. Wszyscy w garniturach, pod krawatem. Odróżniam się na ich tle jak papuga wśród wron. Cóż, nie jest to niemiłe uczucie. Tylko zaczyna dręczyć mnie przekonanie, że jakakolwiek byłaby to praca, ja po prostu tu nie pasuję.

Jedna z wind rozsuwa się z cichym szumem, a panowie zgodnie z zasadami savoir-vivre puszczają mnie przodem.

– Na które piętro pani jedzie? – pyta jeden z nich.

– Na dwudzieste szóste.

Mam nadzieję, że naciśną za mnie guzik, bo stoję w głębi windy i musiałabym się przeciskać. Dżentelmeni patrzą po sobie ze zdziwieniem.

– Jest pani pewna? Dwudzieste szóste piętro jest na samej górze. Nie można tam tak po prostu wjechać.

– Tak, na pewno. Muszę zeskanować kartę? – Pokazuję biały prostokąt, który dostałam od recepcjonistki.

– Yyy... tak, proszę zeskanować i wcisnąć guzik.

Rozsuwają się, żeby mnie przepuścić. Jakby z obawą, że poproszę, by zrobili to za mnie. Wszyscy wysiadają kilka pięter wcześniej.

– Powodzenia – rzuca ten najbardziej gadatliwy.

W drodze na górę towarzyszy mi już tylko szum windy.

Na dwudziestym szóstym piętrze rzeczywiście nie ma się jak zgubić. Windę od reszty piętra odgradzają szklana ściana i dwóch osiłków wyglądających na *secret service*, pilnujących dostępu do szklanych drzwi. Może mi się wydaje, ale mam wrażenie, że pod marynarkami widać wybrzuszenie broni. Kiedy wysiadam z windy, ich uwaga skupia się całkowicie na mnie, a ja czuję się, jakbym była bronią masowego rażenia albo miała w torebce upchany kilogram trotylu.

– Dzień dobry, przyszedłam na rozmowę kwalifikacyjną. Zostałam pokierowana na to piętro.

*A jak tylko mnie przepuścicie, uwolnię z torebki spełnienie mokrego snu bioterrorysty, jakie wykiełkowało na jej dnie, na pożywce w postaci okruchów, paragonów i innych dawno zapomnianych skarbów. A bu!*

Staram się wyglądać poważnie mimo idiotycznych myśli wywoływanych przez stres.

Jeden z osiłków przykłada kartę do czytnika i otwiera przede mną drzwi.

*Czy ja już go gdzieś widziałam?*

Nie mam czasu się zastanawiać, bo wchodzę do obszernego holu, w którym poza kilkoma dużymi kwiatami w donicach stoją dwa biurka ustawione po prawej stronie kolejnych drzwi, tym razem dwuskrzydłowych. Kliknięcie za mną oznajmia, że droga ucieczki została odcięta. Patrząc na piękne kobiety siedzące za biurkami, jestem jeszcze bardziej świadoma, jak nie pasuję do tego miejsca. Obie z powodzeniem mogłyby być modelkami. Jedna z nich podnosi się na mój widok i wychodzi zza biurka. Garsonka idealnie opina jej ciało, podkreślając figurę klepsydry. Mimo wysokich szpilek długie nogi w cielistych rajstopach suną po wykładzinie jak po wybiegu.

*Tutaj powinna być Aga, nie ja.*

Kobieta zdążyła mnie już otaksować wzrokiem i chyba wyrobiła sobie opinię, bo wyciąga do mnie rękę z protekcyjnym uśmiechem.

– Witam, pani Idalio, mam na imię Sylwia. Jestem główną sekretarką prezesa Cardeckiego.

Przyjmuję podaną dłoń i ściskam ją z równie dużą beznamietnością jak kobieta.

*Prezesa – czyli jednak jest jakiś prezes.*

Wczoraj śmiałam się z tej myśli, ale dzisiaj nie jest mi już do śmiechu.

– Proszę chwilę poczekać, sprawdzę, czy pan prezes jest wolny i może panią przyjąć.

Kobieta wraca za biurko tym swoim zmysłowym krokiem i podnosi słuchawkę telefonu.

– Panie prezesie, przyszła pani Idalia Piasecka.

Druga kobieta, może też sekretarka, przygląda mi się spod zmrużonych powiek.

*Chyba na nikim nie robię dzisiaj dobrego wrażenia.*

– Proszę tędy, pani Idalio.

Kobieta przykłada kartę do klawiatury numerycznej umieszczonej obok dużych drzwi, po czym otwiera jedno skrzydło, robiąc zapraszający gest ręką. Podchodzę na miękkich nogach. Wyobraźnia galopuje. Wczoraj wieczorem przy pożegnaniu Aga dała mi radę, żebym się zawsze uśmiechała, bo nigdy nie wiadomo, kto i kiedy zakocha się w moim uśmiechu. Z braku lepszego pomysłu z zapalem stosuję się do jej słów, tak że policzki pojawiają się w moim polu widzenia. Liczę, że doda mi to pewności siebie, i wchodzę do środka.

Pomieszczenie jest olbrzymie. Spokojnie mogłoby połknąć moje mieszkanie cztery razy. Ściana naprzeciw wejścia została w całości przeszklona, tak więc widać za nią panoramę Warszawy, która nocą musi być prześliczna z tymi wszystkimi światłami. Tam też,



centralnie na środku, ustawiono ogromne biurko w kształcie litery C. Fotel jest obrócony tyłem do mnie, ale nie widać, żeby ktoś na nim siedział.

*Chyba że prezes jest zgarbionym starcem.*

Rozglądam się dalej. Całe biuro urządzone wręcz ascetycznie. Nie ma tutaj nic zbędnego, żadnych ozdób czy osobistych elementów. Kolorystyka skupia się na różnych odcieniach szarości i czerni, sprawiając eleganckie, ale i trochę depresyjne wrażenie. Z prawej strony stoi stół konferencyjny, z lewej – zestaw wypoczynkowy i stolik kawowy, teraz zarzucony jakimiś papierami.

Właśnie przy tym stoliku na fotelu siedzi mężczyzna. Jest do mnie odwrócony profilem, ale nie mam wątpliwości, że to nie starzec. Nieśpiesznie składa dokumenty, które najwyraźniej czytał, odkłada je na stolik i wstaje, zapinając marynarkę. Rusza w moim kierunku. Z każdym jego długim krokiem narasta we mnie uczucie, że coś jest nie tak. Ścisną mnie w dołku, a serce zaczyna walić. Kiedy mężczyzna wyciąga do mnie rękę na powitanie, ja nie umiem się ruszyć. Jak skamieniała, nadal z idiotycznym uśmiechem, spoglądam w oczy koloru butelkowej zieleni.

Mężczyzna nie wydaje się ani trochę speszone tym, że nie przyjmuję wyciągniętej ręki.

– Proszę, niech pani siada. Porozmawiajmy.

*Gdzie jest ukryta kamera? Co się tutaj dzieje?!*

Niepewnie przestępuję z nogi na nogę, ale w końcu decyduję się ruszyć i siadam na kanapie – jak najdalej od niego. Chyba zauważył tę demonstrację, bo uśmiecha się pod nosem. Ten uśmiech znam z naszego poprzedniego spotkania. Wtedy wkurzał mnie tak samo.

– Proszę mi wyjaśnić, o co tutaj chodzi – żądam i aż trzęsę się w środku. – Jeżeli o koszty pralni, to proszę nie marnować swojego cennego czasu! Już mówiłam, to pan powinien zapłacić. Sprowadzenie mnie tutaj pod pretekstem rozmowy kwalifikacyjnej

jest mocno nie w porządku. Nadal oczekuję na rekompensatę za zmarnowane jedzenie. Jeżeli to wszystko, to już pójdę.

Wstaję z kanapy, ale on podnosi rękę i zatrzymuje mnie w miejscu słowami:

– Chcę, żeby pani dla mnie pracowała.

– Słucham?

Nie dowierzam swoim uszom.

*Pan Kapuśniak chce ze mną pracować? Po tym co się stało?*

Zresztą nie powinnam go już nazywać panem Kapuśniakiem. Patrząc na jego pozycję, jest raczej Lordem Plantacji Kapusty i Sałaty. Mimowolnie parskam śmiechem, poziom stresu jest za duży. Chyba uznaje, że śmieszy mnie jego propozycja, i w sumie niedużo się myli.

– Proszę usiąść i dać mi chwilę na wytłumaczenie. Kawy? – proponuje.

– Skoro chce się pan tłumaczyć, proszę bardzo, wysłucham. Za kawę dziękuję, nie będę tutaj tak długo.

Siadam z powrotem z wyniosłą miną, próbując desperacko udawać, że sytuacja mnie nie rusza, a moje ręce się nie trzęsą. Pan Kapuśniak znowu uśmiecha się pod nosem.

– Nie przedstawiłem się jeszcze oficjalnie. Konrad Cardecki, prezes Cardecki Investment. – Nie doczekawszy się reakcji z mojej strony, kontynuuje: – Pani Idalio, na wstępie musimy wyjaśnić sobie nieporozumienie, które, jak widzę, nie pozwala pani wziąć mojej oferty na poważnie. Przepraszam, bo rzeczywiście to mój kierowca stworzył niebezpieczną sytuację na drodze. Mam nadzieję, że nic sobie pani nie zrobiła, jestem gotów pokryć wszelkie koszty opieki medycznej. Zrekompensowałem również restaurację. – Uśmiecha się delikatnie, splatając palce na kolanach. – Przy okazji zjadłem tam ramen i miała pani rację, jest za dobry, żeby się w nim kąpać.

W czasie tego monologu wreszcie mam okazję dokładnie mu się przyjrzeć. Pierwsze, na co przeważnie zwracam uwagę u mężczyzny,

to ręce. Pociągają mnie duże i silne dłonie, a prezes ma je właśnie takie, do tego zadbane, z krótko przyciętymi paznokciami. Gestykuluje podczas mówienia. Oceniam, że jest po trzydziestce – nie wiem, czy osiągnięcie takiego stanowiska w tym wieku to coś nadzwyczajnego. Marynarka może zakłamywać jego figurę, ale z twardą klatką piersiową miałam okazję zapoznać się z bliska. Brązowe włosy ma krócej przycięte na bokach, a dłuższe u góry. W twarzy wyróżniają się jego oczy, nadal tak fascynujące, jak zapamiętałam. Kwadratowa szczęka, gładko ogolona – to pamiętam z ostatniego spotkania. Teraz zauważam, że nos ma trochę krzywy, jak po złamaniu, co jednak w żaden sposób nie odejmuje mu męskości.

*Z pewnością nie musi przedstawiać się jako prezes korporacji, żeby kobiety dostawały rumieńców.*

Prezes kontynuuje, choć nie jestem w stanie stwierdzić, czy nie przegapiłam czegoś z tego, co mówił.

– ...że nie chciałbym, żeby była między nami jakaś niechęć. Proponuję pani stanowisko mojej asystentki, a to oznacza ścisłą współpracę. Współpracę i zaufanie, które działa w obie strony. – Rozkłada dłonie i wzrusza lekko jednym ramieniem, jakby chciał powiedzieć, że to oczywistość. – Jeżeli będzie pani nastawiona do mnie niechętnie, to nawet nie mam po co przedstawiać pani warunków i możemy od razu skończyć to spotkanie.

Prezes patrzy na mnie wyczekująco.

*Chyba nadszedł czas, żeby się odezwać.*

Odchrząkuję, bo nagle zaschło mi w gardle.

– Cieszę się, że uznaje pan swoją winę w tym, co się stało. Mleko, a raczej ramen, już się rozlało, nie ma więc po co do tego wracać. Tym bardziej że zapłacił pan właścicielowi i jak rozumiem, nie ma wobec mnie żadnych roszczeń. Możemy więc uznać sprawę za zamkniętą. – Teraz ja wyciągam do niego rękę, mówiąc: – Zgoda.

Ujmuje moją dłoń i potrząsa, a spojrzenie jego oczu... Z trudem odwracam wzrok.

– Zgoda – powtarza za mną z zadowoleniem. – Przejdźmy zatem do propozycji pracy.

Zamyśla się na chwilę, jakby szukał właściwych słów.

– Pani Idalio...

Teraz ja go powstrzymuję.

– Proszę mnie nie nazywać Idalią, nie lubię tego. Ida wystarczy.

– Dobrze, Ido, zgadzam się całkowicie z punktem pierwszym. – Z łatwością przechodzi na ty.

Uśmiecha się przy tym tak, że w jednym policzku pokazuje mu się dołek.

Mam ochotę puknąć się w głowę za to, że nie powiedziałam „pani Ida wystarczy”, bo zasugerowałam, że zgadzam się, by zwracał się do mnie nieformalnie.

*Jego uśmiech jest wkurzający. I rozbrajający. Ale głównie wkurzający!*

– Zapewne zastanawiasz się, dlaczego chcę, żebyś została moją asystentką. Nie poznaliśmy się w sprzyjających warunkach. Twoje kwalifikacje też nie wydają się wystarczające.

– Co ja tutaj w takim razie robię? – zadaję najbardziej oczywiste z pytań.

– Niedługo będziesz miała dyplom z zarządzania, więc jakąś część potrzebnej wiedzy teoretycznej posiadasz. A praktyka, cóż... to kwestia czasu. Dla mnie ważniejsze jest to, czego nie da się nauczyć z książek ani nawet podczas kilku lat pracy w firmie. – Robi z palców piramidkę i stuka nimi o siebie, jakby w zamyśleniu. – Mówię o umiejętności mówienia prezesowi „nie”.

Moje brwi wędrują do góry w zdziwieniu.

– „Tak, panie prezesie. Oczywiście, panie prezesie. Dobrze, panie prezesie” – papuguje uniżonym tonem. – Mam wokół siebie wystarczająco dużo współpracowników prześcigających się

w zapewnianiu o lojalności, mojej nieomyślności i generalnie wchodzących mi na każdym kroku w dupę bez wazeliny. Potrzebuję kogoś prawdziwego, kto nie będzie się bał powiedzieć, kiedy przekraczam granice, podejmuję złą decyzję albo po prostu mam się zamknąć. Twoja pyskówka na ulicy była bardzo odświeżająca. Jeżeli potrafisz, kiedy trzeba, sprowadzać mnie na ziemię i dostawać za to wypłatę, to ta praca jest twoja. – Wskazuje na mnie palcem z uśmiechem.

*Dlaczego poczułam, jak gdyby mnie właśnie dotknął?*

Nadal patrzę na niego, jakby zamienił się w butelkowitzelonego ufoludka z dwiema antenkami.

– Chcę się upewnić, że zrozumiałam. Mam nigdy nie wypowiadać słów: „Dobrze, panie prezesie”?

– Oczywiście nie tylko na tym będzie polegała ta praca – odpowiada ze śmiechem. – Standardowe obowiązki asystentki też wchodzi w zakres. Zarządzanie grafiką, uczestniczenie w spotkaniach, notatki, wyszukiwanie informacji, analiza rynku... Wyjazdy służbowe. Czy to problem?

– Nie, chyba nie – mówię, na co podaje mi jeden z dokumentów leżących na stoliku.

– Tutaj jest umowa. Zapoznaj się z nią i zapisami dotyczącymi twoich obowiązków. Dam ci chwilę.

Zostawia mnie samą przy stoliku. Jako pierwszej szukam informacji o kwocie wynagrodzenia. Przejeżdżam palcem po cyfrach. I jeszcze raz, z niedowierzaniem.

*O psiaćka!*

Prezes chyba domyślił się, na co patrzę, bo rzuca:

– Na stronie czwartej jest mowa o premii i dodatkach. – Po czym wraca do gapienia się w jeden z trzech ekranów ustawionych na biurku, jakby mnie tu w ogóle nie było.

Prywatna opieka medyczna, kierowca i samochód do dyspozycji w razie potrzeby, służbowa komórka, laptop – wszystko brzmi jak

z bajki. Czytam powoli, skupiając się na szczegółach, gotowa rzucić się do ucieczki na wzmiankę o red roomie. Nie znajduję jednak nic podejrzanego. Zakres obowiązków jest opisany dosyć szczegółowo i nie wybiega ponad to, czego spodziewałam się po stanowisku asystentki prezesa.

– Masz jakieś pytania?

– Moje studia mogą kolidować z pracą.

Dyplom z zarządzania nie jest może niezbędny do zrealizowania mojego marzenia, czyli otworzenia własnej kawiarni, ale chcę bez komplikacji skończyć to, co zaczęłam.

– Ukończenie przez ciebie studiów jest też w moim interesie, więc będę cię wspierał, jak tylko mogę.

– Dziękuję. – Nie wiem, co innego mogłabym powiedzieć na taką deklarację.

Przyglądam się jeszcze chwilę umowie, walcząc ze sobą, ale muszę wypowiedzieć to, co cały czas chodzi mi po głowie.

– Nie interesuje mnie praca asystentki do łóżka.

Czekam na jego reakcję, walcząc z potrzebą zakrycia twarzy dłońmi. Teraz chyba mnie wyrosły na głowie antenki, bo prezes podchodzi i patrzy, jakbym przyleciała z Marsa.

*A może z Wenus?*

– Skąd w ogóle taki pomysł? Nie zatrudniam cię dla seksu. Uważasz, że zadawałbym sobie tyle trudu tylko po to, żeby zaciągnąć cię do łóżka? – mówi częściowo rozśmieszony, a częściowo zniesmaczony. – Czy wyglądam na desperata, który musi uciekać się do takich sztuczek, żeby zdobyć kobietę?

Podniesiona do góry brew i uśmiech samozadowolenia sugerują, że pan Kapuśniak jest w pełni świadomy swoich atutów, a jego ego w tym zakresie mogłoby wypełnić cały pokój.

*Ciekawe do czyich obowiązków należy zarządzanie grafiką randek?* – tego pytania nie mam odwagi zadać na głos i obym nigdy nie poznała odpowiedzi.

– OK, musiałam to powiedzieć. – Wzruszam ramionami, bo przecież co w tym dziwnego, żeby rozmawiać z przyszłym szefem o seksie na rozmowie kwalifikacyjnej.

*Norma.*

– Rozumiem – mówi, choć nadal wygląda na trochę zszokowanego i rozbawionego. – Czy masz jeszcze jakieś pytania albo uwagi?

– Do kiedy mam czas, żeby się zastanowić?

Prezes kręci głową.

– Teraz albo nigdy. Potrzebuję osoby, która podejmuje decyzje bez konieczności rozkładania ich na czynniki pierwsze. Decyduj.

Patrzy na mnie uważnie, przekrzywiając głowę. Czeka na decyzję, a jego oczy hipnotyzują, wciągają i mamią. Widzę, a raczej wyobrażam sobie w jego spojrzeniu rzeczy, o których nie chcę, nie powinnam myśleć. Przeklinam w duchu.

*Niech cię, Aga, i te twoje pomysły!*

Mrugam gwałtownie, próbując wyzwolić się z czaru mężczyzny siedzącego przede mną. Spoglądam znowu na umowę i kwotę widniejącą na pierwszej stronie.

*Chcesz być idiotką, która zaprzepaści taką szansę, bo nowy szef jest odrobinę zbyt przystojny?*

Drapię się w nos.

– Posprzątaście chodnik? – pytam niby bez związku.

Prezes uśmiecha się triumfalnie, jakby czekał na to pytanie.

– Tak, posprzątaliśmy wszystko z chodnika. Wyglądał nawet lepiej niż przed naszą kraksą.

Po raz pierwszy odwzajemniam uśmiech, czując, że nie powinno mi się to tak bardzo podobać.

– Mam warunek. Nie będę musiała nosić do pracy mundurka.

– Wyjaśnij, co masz na myśli, mówiąc mundurek.

– Czarna marynareczka, żakiecik, garsonka, biała bluzeczka, szpileczki... Cały ten zestaw. Jeżeli sytuacja i *dress code* będą tego

wymagały, to owszem, założę, ale nie na co dzień do biura.

W głowie już planuję wydanie części pieniędzy z czeku na odpowiednie ubranie.

– W porządku. Nie nalegam, ale czy jest jakiś powód, dla którego nie podoba ci się taki ubiór?

– Widziałam pana sekretarki przed drzwiami i nie chcę presji ubierania się tak na co dzień.

Prezes kiwa po prostu głową.

– Dobrze, czy jeszcze coś?

– Tak, poproszę długopis – mówię z uśmiechem, a w brzuchu czuję wielką radość i ekscytację z szansy na nowe życie.

Prezes przynosi mi ciężki srebrny długopis wyglądający na drogi. Znajduję ostatnią stronę i podpisuję się zamasyście. Jego podpis i pieczętka już tam widnieją, jakby był pewny, że też podpiszę. Drugi podpis składam na kolejnym egzemplarzu i tak oto pan Kapuśniak zostaje moim szefem.

– Od kiedy chcesz zacząć? – pyta.

– Myślę, że od przyszłego tygodnia. Nie chcę robić w restauracji problemów, znikając z dnia na dzień. Mam umowę zlecenie, więc raczej nie powinno być problemów.

– Dobrze. Tutaj masz mój numer telefonu. – Podaje mi wizytówkę. – Dzwonź bezpośrednio do mnie w każdej sprawie.

– Dziękuję. Będziemy w kontakcie. – Kiwam mu głową i nagle czuję się znowu niezręcznie, więc ruszam w stronę drzwi.

– Ida?

Odwracam się, żeby popatrzeć na niego pytająco.

– Masz teraz jakieś plany?

– Chciałam jechać do restauracji złożyć wypowiedzenie...

– Poświęć mi trochę czasu, chciałbym cię gdzieś zabrać.





Otwieram przed Idą drzwi, po czym puszczam ją przodem. Sylwia i Dorota podnoszą się z krzeseł na mój widok. Nie żartowałem, mam naprawdę serdecznie dosyć lalek Barbie, które reagują bez refleksji na każde moje polecenie. Widzę po ich maślanych oczach, że nie miałyby nic przeciwko paru nadgodzinom na moim biurku z tyłkiem w górze.

Staję koło Idy, by wesprzeć ją autorytetem, i przedstawiam sekretarkom.

– Wprowadźcie Idę w tajniki funkcjonowania firmy, pokażcie stanowisko i oprowadźcie po budynku. Teraz wychodzimy. Wróć na spotkanie.

Dziewczyny wymieniają zdziwione spojrzenia.

*Wiem, że nie zaakceptujecie jej bez walki.*

– Dobrze, panie prezesie.

Widzę, jak na to stwierdzenie Ida maskuje wybuch śmiechu kaszlem.

*Chyba mnie zrozumiała.*

Kładę jej dłoń na plecach, starając się, żeby była to ich neutralna część, i popycham lekko w stronę drzwi. Nie muszę wyciągać ręki – drzwi otwierają się z zewnątrz, gdzie czekają ochroniarze. Nie zatrzymuję się nawet, tylko zmierzam prosto do windy dla VIP-ów. Czas na trochę informacji.

– To jest Tomek, mój osobisty ochroniarz i kierowca – tłumaczę.

– Zawsze mi towarzyszy. Zresztą już się poznaliście. Żeby wjechać na ostatnie piętro, potrzebna jest karta do windy. Oddaj Tomkowi tymczasową kartę, którą dostałaś w recepcji, a używaj tej. – Podaję Idzie czarną kartę magnetyczną bez żadnych oznaczeń.

*Będę musiał wyrobić sobie nową.*

Zauważam, że spogląda ostrożnie na Tomka. On tylko kiwa głową w jej stronę, po czym dalej gapi się z pełnym profesjonalizmem na wyświetlacz i zmieniające się piętra. Ida chyba chce coś powiedzieć, ale winda zatrzymuje się i Tomek wysiada pierwszy. Otwieram jej drzwi samochodu, po czym wsiadam na tylne siedzenie z drugiej strony. Cisza jest ciężka. Czuję napięcie między tą dwójką, ale się nie mieszam. Jest to coś, co muszą sami przepracować. Po włączeniu się do ruchu Tomek pyta:

– Dokąd jedziemy?

– Na Kruczą. – Nie muszę nic więcej dodawać. Wie, o jakie miejsce chodzi.

Znowu zapada cisza. Ida wierci się na siedzeniu, jakby ją coś uwierało, aż w końcu się odzywa:

– Panie Tomaszu...

Tomek nie daje jej skończyć, wchodząc w słowo:

– Przepraszam panią za tamtą sytuację z samochodem. Źle zareagowałem. Martwiłem się później, czy sobie pani nic nie zrobiła w kolano, bo ten upadek wyglądał groźnie. Ale tak szybko pani odjechała, że nie było jak zapytać. Przyjmie pani przeprosiny?

– Niech pan nie przeprasza. Pójdziemy razem na kawę, to będziemy kwita.

Tomek podsumowuje to tylko skinieniem głowy.

*No i po problemie. Za to lubię tego faceta. Nie marnuje energii na czcze gadanie.*

Korki na szczęście nie są takie dotkliwe o tej porze dnia, więc stosunkowo szybko docieramy na miejsce. Tomek parkuje samochód na kopcach oznaczonej „tylko dla klientów” i otwiera Idzie drzwi.

– Dokąd mnie pan zabrał? – pyta Ida, rozglądając się po ulicy, na której znajdują się głównie sklepy.

– To tutaj. – Wskazuję witrynę i ruszam przodem, żeby otworzyć przed nią drzwi.

Tomek zostaje przy samochodzie.

Nasze przybycie do sklepu anonsuje cichy dzwoneczek. Pomieszczenie jest średnich rozmiarów, z wieszakami na ubrania po obu stronach i manekinami ustawionymi na środku. Widać wyraźny podział na część damską i męską. Podchodzi do nas atrakcyjna blondynka i chyba od razu mnie rozpoznaje.

– Dzień dobry, czym mogę panu służyć? – Sprzedawczyni całkowicie ignoruje kobietę u mojego boku.

– Ido, rozejrzyj się po sklepie, może coś ci się spodoba – mówię do mojej asystentki.

Myślę, że się sprzeciwi, ale tylko kiwa głową i kieruje się w stronę wieszaków z damską odzieżą. Ubrania są posortowane kolorystycznie, a Ida zgodnie z moimi przewidywaniami omija czerń, szarości i biel, zmierzając w kierunku jaskrawych kolorów. Przechodzi obok manekina, zatrzymuje się, po czym cofa i przygląda długiej, zwiewnej sukience w różę. Manekin ma zalotnie wystawioną jedną nogę i prezentuje wartość estetyczną rozcięcia do połowy uda.

*Trafiony, zatopiony.*

Jestem świadomy, że ekspedientka obserwuje, jak gapię się na poczynania Idy, i czeka, aż odpowiem na jej pytanie.

– Proszę przygotować propozycję strojów zgodnych z dress code'em biurowym i oficjalnym dla mojej asystentki. Mają wystarczyć co najmniej na tydzień. Poza klasycznymi kolorami proszę wziąć pod uwagę preferencje klientki. Jak pani widzi, to rajski ptak.

Oczy ekspedientki robią się okrągłe i wreszcie patrzy w stronę Idy, jakby dopiero teraz ją zauważyła. Wiem, co widzi. Kobietę po dwudziestce, niezbyt chudą, w kwiecistym kombinezonie przewiązany szeroką szarfą, z tanią czerwoną torebką i butami na niewielkim obcasie, które już wiele przeszły. Z rozczochranymi włosami i widocznym brakiem funduszy, żeby kupić cokolwiek w tym sklepie. Ida szuka metki przy sukience na manekinie, a kiedy ją

znajduje, aż odskakuje jak oparzona. Mamrocze coś do siebie i porzuca marzenia o sukience.

Ja widzę coś całkiem innego. Widzę miedziane fale kołyszące się na plecach w rytm jej kroków. Krągłe pośladki i długie nogi wyćwiczone od jazdy na rowerze. Delikatne, odporne na tuszowanie makijażem piegi wokół nosa, który teraz śmiesznie marszczy na widok kolejnych cenówek. Widzę energię i humor w jej błękitnych oczach. Kobiece krągłości podkreślone krojem kombinezonu zatrzymują mój wzrok na dłużej. Wiem, że jej pełne wargi ledwo muśnięte błyszcznikiem potrafią wyrzucać z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, ale też uroczo się uśmiechać. Widzę moją nową współpracownicę i już nie mogę się doczekać, dokąd nas ta wspólna praca doprowadzi.

Zostawiam oniemiałą ekspedientkę, podchodzę do kanapy znajdującej się zaraz koło lady i przymierzalni. Biorę dzisiejszą gazetę ze stolika i ją rozkładam. Ida od razu się do mnie teleportuje.

– Mam panu pomóc w wyborze garnituru? – pyta z niedowierzaniem. – Nie znam się na tym.

– Nie – mówię, strzepując gazetę. – Masz sobie wybrać ubrania do pracy.

Ida staje przede mną, pochyla się tak, że dzieli nas zaledwie parę centymetrów, i mówi z przesadną dykcją:

– Nie, panie prezesie.

Wybucham śmiechem na głos. Ida stoi nade mną z rękami wspartymi na biodrach i śmiesznie marszczy nosek.

– Sama kupię sobie ubrania! Zresztą zgodził się pan, że nie muszę nosić mundurku.

– Owszem, ale zgodziliśmy się, że od czasu do czasu mundurek będzie ci potrzebny. Poza tym zobaczmy, czy mają tutaj coś ciekawego. Jeżeli nic nam się nie spodoba, to nie kupimy.

– Nam?

– Ocenie, jak wyglądasz, i pomogę ci w wyborze – mówię najbardziej oczywistą rzecz.

Ekspedientka stwierdziła chyba, że nie da rady sama, i poszła po koleżankę, bo teraz są we dwie i już niosą naręczę ubrań.

– Zapraszam panią do przymierzalni.

Ida wygląda na zmieszaną i niezdecydowaną. Spogląda niepewnie na ekspedientkę, po czym przenosi wzrok na mnie, jakby z nadzieją, że zmienię zdanie i ją oszczędzę.

– Poczekam tutaj. Pokaż się, jak założysz – zachęcam ją, wracając do gazety.

*Temat uważam za zamknięty.*

– Pan prezes nie chce dołączyć do mnie w przymierzalni? – pyta Ida prowokacyjnie słodkim głosem.

– Nie, poczekam tutaj – powtarzam, nie odrywając wzroku od gazety i powstrzymując się od uśmiechu.

*Zapewne powstanie kolejna plotka o tym, że wziąłem sobie egzotyczną kochankę za asystentkę. A może asystentkę za kochankę? Hmm...*

Chwila ciszy, podczas której udaję, że czytam, aż w końcu mogę odetchnąć z ulgą, bo Ida rezygnuje z oporu i odchodzi. Jedna z ekspedientek podąża za nią do przymierzalni. Zwracam się więc do drugiej:

– Proszę pokazać mi garsonki i kostiumy w kolorach.

Ekspedientka kiwa głową i znika na poszukiwaniach. Po chwili słyszę kroki i z przymierzalni wychodzi Ida w czarnej garsonce o klasycznym kroju i białej bluzce z kołnierzykiem. Okręca się w kółko w parodii prezentacji, po czym dyga przede mną.

– Jak się panu prezesowi podoba? – pyta, trzepocząc do mnie rękami i wyginając się w komicznych pozach.

– Następna.

Chyba oczekiwała więcej uwagi z mojej strony, bo krzywi się niezadowolona. Kiedy znowu znika w przymierzalni, pojawia się

ekspedientka z kolorami.

– Ten, ten i... ten – mówię, wskazując na kostium w jakimś tam odcieniu zielonego, jasnoniebieską garsonkę i letnią wersję z rękawami trzy czwarte w kolorze lekko żółtym.

*Dzięki ci, mamo, że nakładłaś mi do głowy podstawowych informacji o damskich ubraniach, tak że potrafię rozróżnić coś więcej niż spódnicę od sukienki.*

– Przyniosłam jeszcze taką marynarkę. Myślę, że może się spodobać. – Ekspedientka prezentuje długą marynarkę w kolorze pudrowego różu z dużymi guzikami.

– Proszę zanieść do przymierzalni. – Kiwam z uznaniem głową.  
– Macie kombinezony?

Kobieta zaprzecza. Pośpiesznie chowam nos w gazecie, bo słyszę kroki. Ida ponownie wychodzi z przymierzalni, znowu w czarnej garsonce, ale teraz krój podoba mi się o wiele bardziej.

– Może być. Proszę odłożyć na bok – mówię na zakończenie ironicznego piruetu Idy.

– Są inne kolory w tym fasonie? – pytam, kiedy ekspedientka wychodzi z wybraną przeze mnie garsonką i kładzie ją na ladę, bo Ida bez komentarza wróciła do przymierzalni.

– Stalowy i popielaty, pokazać?

Popielaty wpada trochę w niebieski, podoba mi się.

*To mamy już dwa.*

Po raz nie wiem który próbuję przeczytać nagłówek artykułu, ale nie jest mi to dane, bo Ida wychodzi tym razem w kostiumie w kolorze stalowym.

*Nie myślę się co do jej nóg, muszą być fantastyczne...*

Spodnie są obcisłe i kiedy robi obrót, mogę się przyjrzeć, jak świetnie opinają jej nogi i tyłek.

– Bierzemy. Następne – rzucam już zza gazety.

Cierpliwość Idy chyba jest na wyczerpaniu, bo odchodząc, tupie głośno. A mnie cała sytuacja coraz bardziej bawi.

– Proszę pokazać inne kolory tego kostiumu – zarządzam, na co ekspedientka przynosi jeszcze granatowy.

Akceptuję i ten.

*Dla takiego widoku – warto!*

Wgapiam się w drzwi do przymierzalni, za którymi zniknęła Ida.

*Chciałbym zobaczyć jej nogi w pończochach... Ciekawe, jaką ma teraz bieliznę. Na pewno nie są to stringi. Zapewne bawełniane majteczki z zabawną kokardką. Pewnie w kwiatuszki.*

Poprawiam się niespokojnie na kanapie, czując, że spodnie zrobiły się ciasne. „Nie interesuje mnie praca asystentki do łóżka” – muszę przyznać, że jest sama sobie winna, że włożyła takie myśli do mojej głowy, bo kiedy wypowiedziała te słowa, gdzieś w środku odezwała się moja samcza natura i postanowiła podjąć rzucone wyzwanie.

*Do tego jest coś takiego w tej dziewczynie, że...*

Tym razem nie zdążam zasłonić się gazetą, Ida wychodzi z przymierzalni w niebieskiej garsonce. Pasuje idealnie do koloru jej oczu i włosów. Żeby ukryć powód, dla którego patrzyłem w kierunku przymierzalni, zerkam na zegarek.

– Musimy przyspieszyć. Jeżeli podobają ci się te kolorowe wersje, to nie musisz mi się w nich pokazywać, już je zaakceptowałem.

Ida rzuca mi spojrzenie, które zapewne od razu miało mnie położyć trupem, po czym wraca do przymierzalni.

– Potrzebujemy małej czarnej, na specjalne okazje. – Przypominam sobie o jeszcze jednym ważnym elemencie, który musi mieć koniecznie w swojej szafie.

Ekspedientka wskazuje model, w który jest ubrany manekin. Całe plecy i ramiona sukienki są wykonane z czarnej koronki.

*Chciałbym zobaczyć Idę w takim wydaniu, ale niekoniecznie na kolacji biznesowej.*

Kręcę więc głową, a ekspedientka zastanawia się chwilę i wraca z prostą sukienką, której jedyną ozdobą jest pozioma łązka wycięta nad biustem. Tę akceptuję kiwnięciem, więc kobieta zanosi sukienkę do przymierzalni. Patrzę jeszcze raz na zegarek, tym razem rejestrując, która jest godzina. Rzeczywiście czas się kończy. Wstaję z kanapy i rozglądam się po sklepie.

*Czego jeszcze potrzebuje kobieta?*

Biorę małą biało-czarną torebkę z łańcuszkiem, drugą większą z czarnej skóry i pasujący portfel. Rzucam je na coraz większą stertę ubrań. Następne są akcesoria. Te drobne elementy, na które nie zwraca się specjalnej uwagi, ale ich brak rzuca się w oczy. Apaszka w kwiaty, czarna i złota bransoletka, wisior z łańcuszkiem lądują na ladzie. Pobijam rekord czasu zakupów. Ekspedientka patrzy na mnie z uwagą. Ida coś długo nie wychodzi z przymierzalni.

*Nie zdziwiłbym się, gdyby uciekła już przez okno.*

Przeglądam wszystkie, ale nie podoba mi się żaden z zegarków, trudno. Z przymierzalni wychodzi ekspedientka i mówi, że niestety sukienka jest trochę za mała, ale na jutro mogą sprowadzić większy rozmiar.

– Tyle że pani nie chce wyjść w sukience, żeby się panu pokazać.  
– Rozkłada ręce ze zboląłą miną, jakby próbowała na Idzie wszystkich trików, łącznie z groźbami i przekupstwem.

– Jak pani zdaniem wygląda?

– Spodobałaby się panu – odpowiada kobieta z niedwuznacznym uśmiechem.

– Proszę w takim razie zamówić większą. I jeszcze pokazać mi różne rodzaje bluzek. Bez klasycznego kołnierzyka.

Siadam z powrotem na kanapie i czekam. Ida nadal się nie pokazuje. Ekspedientka znosi mi różnego rodzaju bluzki. Wybieram kilka, w tym jedną bez rękawów z grubym suwakiem przez cały przód, bo na jej widok moja wyobraźnia znowu zaczyna galopować.



– Jeszcze ta sukienka. – Wskazuję róże na zielonym tle z manekina. – Jeżeli nie macie odpowiedniego rozmiaru, to też proszę zamówić. Dla mnie garnitur w kolorze pasującym do granatowego kostiumu, który mi pani pokazała. Jeżeli jest, to krój podobny do tego, który zamawiałem ostatnio.

Ida w końcu wychodzi, znowu w swoim kombinezonie, kiedy jestem w połowie czytania artykułu. To oznacza koniec pokazu mody.

*W samą porę, bo jeszcze kwadrans i rzeczywiście będę spóźniony na spotkanie.*

Podnoszę się z kanapy.

– Gotowa?

– Panie prezesie, czy dobrze wykonałam swoje pierwsze polecenie służbowe? – pyta wyzywająco, chociaż widzę, jak nerwowo zerka na ladę zarzuconą ubraniami.

– Tak, Idalio, wzorowo. Podrzucić cię gdzieś?

Wiem, że użycie pełnego imienia ją zezłości. Nie myślę się, bo rzuca mi kolejne mordercze spojrzenie, które powoduje, że kąciki moich ust chcą powędrować w górę.

– Dziękuję, nie trzeba – mówi przez zaciśnięte zęby.

– W takim razie wyjdź ze mną, chcę zamienić z tobą jeszcze parę słów. – Kieruję się do drzwi, przy których czekają obie ekspedientki.

– Dziękujemy i zapraszamy ponownie. Zamówienie dostarczymy do biura najpóźniej jutro po południu.

Kiwam głową i żegnam je krótkim „do widzenia”. Ida również mamrocze pożegnanie i wychodzi za mną. Przystajemy przy samochodzie, gdzie już czekają na mnie otwarte drzwi samochodu.

– Tomek dostarczy ci zakupy jutro lub pojutrze. Muszę śpieszyć się na spotkanie. Daj mi znać, co ustalisz z restauracją, ale będę na ciebie czekał w poniedziałek. – Szybko wsiadam do samochodu

i zamykam drzwi, zostawiając oniemiałą dziewczynę przy krawężniku.



Prezes odjechał! Tak po prostu wsiadł do samochodu i odjechał. Zostawił mnie z tym całym bałaganem.

*Co ja mam teraz zrobić? Jak odkręcić to zamówienie?*

Przecież nie mam czym zapłacić nawet za jedną marynarkę, a co dopiero za całą stertę ubrań, które tam już pewnie pakują i drukują najdłuższy paragon, jaki w życiu widziałam. Nawet cała moja nowa wypłata nie wystarczy.

*Musiałabym sprzedać jeszcze co najmniej nerkę!*

Oddycham głęboko i wracam do sklepu. Ekspedientka, która za pierwszym razem nie zwróciła na mnie uwagi, teraz podchodzi od razu szybkim krokiem.

– Czy mogę pani jeszcze w czymś pomóc? – pyta usłużnie.

Gdybym kupiła te wszystkie ubrania, to zapewne obie dostałyby niezłą premię. Spędziliśmy tutaj wiele czasu, a poza nami nie przyszedł ani jeden klient.

*Nic dziwnego, z takimi cenami!*

– Czuję się trochę niezręcznie, po tym jak zajęliśmy paniom tyle czasu, ale niestety muszę anulować całe zamówienie. – Uśmiecham się do niej, wiedząc, że to i tak nie załagodzi moich słów.

Pocieszam się, że jestem tutaj pierwszy i ostatni raz.

– Jak to „anulować”? Nie rozumiem. Nie podobają się pani nasze ubrania? Pan prezes je zaakceptował, więc...

– Nie chodzi o ubrania, tylko o to, że... nie mam jak za nie zapłacić – dokańczam z rezygnacją.

Kobieta marszczy brwi.

– Przecież rachunek został już uregulowany.  
– Jak to? – Nie dociera do mnie, co powiedziała.  
– Pan prezes zapłacił za całość przed wyjściem.  
– Jak to? – Zacinam się.  
– Po prostu. Kartą. Zapłacił za całe pani zakupy i za swój garnitur. Nie musi pani nic dopłacać. – Teraz patrzy na mnie jak na wariatkę.

*Garnitur – czyli nie przyjechał tutaj tylko po to, żeby poczytać gazetę i poznęcać się nade mną.*

– Aha, rozumiem...

*Nie rozumiem nic.*

Wychodzę na ulicę, zdezorientowana. Najpierw dał mi pracę. Zabrał na zakupy. Kazał przechadzać się jak na wybiegu, chociaż ledwo na mnie patrzył, a na koniec za wszystko zapłacił.

*Mój szef chyba też nie jest do końca normalny. Aga będzie wniebowzięta.*

Do tego mam wrażenie, że ta scena już się wydarzyła, że o niej kiedyś czytałam, ale nigdy nie sądziłam, że przypadnie mi w udziale przeżycie czegoś podobnego.

Dobra, czas się stąd ruszyć. Rozglądam się w poszukiwaniu czegoś znajomego, co da mi punkt zaczepienia, gdzie jestem, i zdaję sobie sprawę, że czeka mnie spacer, bo rower zostawiłam niedaleko firmy. Wzdycham więc i z rezygnacją idę przed siebie. Może złapię autobus. Sięgam po komórkę, bo to dobry moment na telefon do Agnieszki. Odbiera po jednym sygnale. Zapewne nie rozstawała się z komórką, żeby mnie pocieszyć od razu, gdy zadzwonię z informacją o fiasku rozmowy kwalifikacyjnej.

– Jak ci poszło? – pyta od razu.

– Chyba nieźle, bo mam tę robotę. Rozmawiasz z asystentką prezesa.

– Serio?! Gratuluje! – wykrzykuje tak głośno, że muszę odsunąć telefon od ucha. – Tak długo nie dzwoniłaś, że zaczynałam się

martwić. Musisz mi wszystko opowiedzieć. Zaczynając od opisu prezesa. Przystojny? Mam nadzieję, że chociaż przed pięćdziesiątką?

– Spokojnie, wszystko ci opowiem, ale nie teraz. Muszę wrócić po rower.

*Aj, wygadałam się. Miałam się ugryźć w język.*

– Rower? Pojechałaś rowerem? W kasku? Co z włosami?! Jak ty w ogóle dostałaś tę pracę, jeżeli byłaś cała rozczochrana? – Aga wzdycha głęboko. – Dobra, upiecze ci się, bo przyszła klientka. Zadzwoń później. Pa.

W końcu do domu dowlekam się wieczorem, zbyt zmęczona, żeby przejmować się czymkolwiek. Rozmowę w restauracji przekładam w myślach na jutro, przecież nie ucieknie.



Następnego dnia budzę się jakby cała połamana, wszystko mnie boli. Ciało odreagowuje stres.

*Szkoda, że nie spała przy tym kalorii, bo nosiłabym upragniony rozmiar.*

– Skoro czuję się tak po kilku godzinach z panem Kapuśniakiem, to aż strach pomyśleć, co będzie, gdy rzeczywiście zacznę pracę – marudzę przy myciu zębów.

Docieram do restauracji chwilę przed otwarciem, żeby mieć czas na rozmowę z szefem. Nie cieszy się zbyt z informacji, że odchodzę, ale też nie robi problemów.

– Nie narzekałem na twoją pracę. Niech ci się wiedzie w nowej – mówi, wycierając blaty w kuchni. – Powieś jeszcze przed końcem zmiany kartkę z informacją, że szukamy pracownika.

Zgodnie z grafikiem do końca tygodnia miałam przyjść jeszcze tylko raz, więc ustaliśmy, że możemy rozwiązać umowę od dzisiaj.

Mój były szef okazuje się sentymentalny, bo na zakończenie dnia stawia przede mną parujący ramen z dodatkowym jajkiem.

– Prezent pożegnalny – mówi.

Zupa jest jakby trochę przesolona, ale to może przez łezkę kręcącą mi się w oku.

Pieniądze za przepracowane dniówki postanawiam od razu zainwestować w swoją przyszłość.

*W końcu Kopciuszek ustawiła się dzięki swoim pantofelkom, więc może i moje życie magicznie odmieni para butów.*

Dwa sklepy później jestem pozbawiona złudzeń, jakby przemysł obuwniczy został przejęty przez złą macochę, a ja bez matki chrzestnej z różdżką nie mam szans na znalezienie butów, które nie służą jako narzędzie tortur. Wybierając mniejsze zło, decyduję się na klasyczne czarne czółenka z obcasem, który nie powinien mnie zabić. Robię krótkie zakupy spożywcze w drodze do domu, gdzie czeka mnie kolejna wspinaczka po schodach z rowerem i pakunkami. Pokonując ostatnie półpiętro, przeklinam już głośno na wciąż zepsutą windę.

– Pomóc pani? – podnoszę głowę, ale na tle okna z korytarza widzę tylko czarną męską sylwetkę.

Dopiero kiedy sapiąc ciężko, stawiam rower na piętrze, zauważam, że mężczyzna stoi oparty o moje drzwi.

– Codziennie nosi pani ten rower po schodach? – pyta Tomek.

– Niestety, nie ma go gdzie zostawić. Zresztą towarzystwo tutaj jest różne, więc bałabym się o jego los. Co pan tutaj robi?

– Przywiozłem pani ubrania. – Tomek wskazuje na Mount Everest toreb.

Kiwam ciężko głową i zapraszam go do siebie.

*Jednak stanę się właścicielką kilku kompletów drogich ubrań, na które nie zapracowałam.*

Trzymam się kurczowo myśli, że przecież prezes wcale nie wybrał się na zakupy z mojego powodu, tylko potrzebował nowego

garnituru.

*Na pewno tak było, oczywiście.*

Tomek pomaga mi wprowadzić rower do środka, po czym wraca i przynosi torby.

– Proszę położyć je na kanapie. – Rozglądam się po mieszkaniu, zdając sobie nagle sprawę, że dawno nie sprzątałam.

Wykonuję szybki rekonesans, czy gdzieś nie leżą zapomniany stanik albo majtki, ale na szczęście nic takiego nie widzę. Może dlatego, że porozrzucane rzeczy zalegają jedna na drugiej i skutecznie maskują się nawzajem.

*Tak jakby miseczka stanika z jabłkiem w środku nagle stała się ekstrawagancką misą na owoce! Tak, Ida, idź w zaparte.*

Mam ochotę wyprosić Tomka za drzwi i powiedzieć, żeby wrócił za godzinę albo najlepiej jutro. Sądząc po jego minie, też przyszło mu to na myśl. Chyba jeszcze nie widział takiego mieszkania jak moje, bo nie rusza się z miejsca, tylko skanuje je wzrokiem. Nie ma tu wiele go oglądania, dlatego zalicza już szóstą rundę zwiedzania. Kuchnia, salon i sypialnia w jednym pomieszczeniu, a do tego kupa gratów – kawalerka nie robi dobrego wrażenia. W końcu ochroniarz przeciska się do kanapy. Musi unieść torby, żeby się z nimi zmieścić w przejściu.

– Ma pan czas, żeby zostać na kawę? Z chęcią dowiem się czegoś więcej o firmie – zagaduję z przyjaznym uśmiechem.

Przynajmniej mam nadzieję, że taki jest, bo w końcu będziemy się często widywać. Jednocześnie zbieram brudne naczynia ze stołu i zanoszę do zlewu. Tomek zwleka chwilę z odpowiedzią, może kalkuluje, czy wypada albo czy nie dostanie tutaj ataku klaustrofobii, i w końcu kiwa raz głową.

– Herbata.

*OK. Dam radę zrobić herbatę, trudniej ją zepsuć niż kawę.*

Orientuję się, że Tomek stoi i nie ma co ze sobą zrobić, bo przecież całą kanapę zajmują torby. Notuję w głowie, żeby lepiej

dbać o czystość, bo nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie jakiś gość, a sprawdzanie, czy na lampie nie wiszą majtki, nie jest komfortowym startem znajomości.

– Panie Tomku, w takim razie zanieś pan torby na łóżko, tam za parawan? Będziemy mieli gdzie usiąść. – Staram się pokryć zażenowanie uśmiechem. – Bo jak pan widzi, architekt bardzo się starał, żeby zaprojektować mieszkanie, w którym nie ma miejsca dla więcej niż jednej osoby.

Zyskałabym nieco przestrzeni, gdyby nie mój upór, że nie będę spała na kanapie. Jednak należy mi się w życiu trochę komfortu, prosty kręgosłup i chociaż teoretyczna możliwość zaproszenia faceta do własnego łóżka.

Tomek wykonuje moją prośbę i siada na kanapie akurat, kiedy czajnik cyka, oznajmiając gotowy wrzątek. Ustawiam na tacy kubki nie od kompletu, cukiernicę i ciastka, które na szczęście kupiłam z myślą o wieczornym obżarstwie.

– Proszę. Nie wiedziałam, czy pan słodzi. Ja nie używam cukru do herbaty, wolę zjeść ciastko. Takie drobne ograniczanie kalorii, ale nie kosztem przyjemności – paplam, bo mój gość jest chyba z tych małomównych.

Nie mylę się, bo bez słowa komentarza wrzuca dwie łyżeczki cukru do herbaty i miesza energicznie.

*Jeżeli rozmowa tak dalej pójdzie, to pożałuję, że nie dałam najmniejszych kubków, żeby szybciej wyszedł.*

– Dzisiaj rozmawiałam z szefem restauracji, w której pracowałam – nawijam dalej. – Rzeczywiście od poniedziałku będę mogła zacząć pracę dla prezesa Cardeckiego.

– Dała mu już pani znać?

– Jeszcze nie, może pan przekaże mu tę informację? – Mam nadzieję, że mi się upiecze i nie będę musiała dzwonić do pana Kapuśniaka.

– Jeżeli chce pani rady, to mogę powiedzieć tyle, że ociąganie się nie jest dobrym pomysłem. Dyskutowanie również.

Drapię się w nos z zastanowieniem.

*Zadzwoń czy wysłać wiadomość...?*

*W sumie nie jest to coś, co wymaga rozmowy, decyduję i wybieram opcję niewymagającą jąkania się do słuchawki.*

Potwierdzam, że mogę rozpocząć pracę w poniedziałek. Pozdrawiam, Ida.

Załatwione. Zwracam się z powrotem do Tomka z tematem, który mnie gryzie.

– Czy moglibyśmy przejść na ty? Nie wiem, jakie zasady panują w firmie, ale zdaje się, że bardziej niezręczne będzie zwracanie się do siebie formalnie.

Komórka, którą odłożyłam na stół, wibruje. Tomek aż się wzdryga, kiedy razem z telefonem dzwoni cukiernica.

– Dobrze, Tomek jestem – decyduje.

– Ida. – Wyciągam rękę, którą ściska mocno.

Przez chwilę milczymy, więc ponownie biorę ciężar rozmowy na siebie.

– Przyznam, że trochę mam wrażenie, jakbym poruszała się po cienkim lodzie, jeżeli chodzi o moje nowe obowiązki. Dlatego cieszę się, że mam w tobie starego znajomego.

Chyba poczuł się pewniej w moim towarzystwie, bo uśmiecha się szeroko, a nawet rechocze.

– Twoje wejście na rowerze było mocne. Gdybyś widziała miny wszystkich w budynku, kiedy prezes szedł przez cały hol do windy, żeby się przebrać, a po drodze gubił kapustę i co tam jeszcze było w jedzeniu, którym go „poczęstowałaś”.

Teraz rechoczemy już razem. Nic tak nie zbliża ludzi jak wspólny śmiech.

– Był bardzo zły? – pytam, bo cały czas mnie to zastanawia.



– Właśnie nie. Od razu kazał mi sprawdzić twój numer telefonu i zebrać wszystkie dane. – Tomek patrzy na mnie, oczekując chyba, że oburzę się na tę informację, ale nie jest to dla mnie niespodzianka, więc tylko kiwam głową. – Chyba zrobiłaś na nim dobre wrażenie. Chociaż nie rozumiem, dlaczego cię zatrudnił. Wybacz szczerłość.

Komórka na stoliku ponownie wibruje.

– Nie ma co wybaczać, bo ja też tego nie rozumiem. Tak samo nie rozumiem, dlaczego kupił to wszystko. – Macham ręką mniej więcej w stronę parawanu i ukrytych za nim toreb.

– Na ubraniach to ja się w ogóle nie znam. – Tomek łapie za poły marynarki, demonstrując swój garnitur.

– W takim razie to ciebie powinien zabrać na zakupy, bo wyobrażam sobie, jak co rano stajesz przed wyborem: czarny garnitur czy może dzisiaj czas na szaleństwo i ... czarny garnitur!

Znowu udało mi się go rozbawić.

*Jak na wielkiego, groźnego chłopca ze spluwą jest całkiem sympatyczny.*

– Można się przyzwyczaić. A jeżeli prezes coś postanowił, to ma powód.

Patrzę na Tomka z zainteresowaniem.

– Chyba czujesz duży szacunek do prezesa Cardeckiego. I masz do niego zaufanie.

– Tak. Kiedyś mi pomógł, chociaż nie musiał. Teraz ma moją całkowitą lojalność.

Nie mam okazji, żeby dopytać o szczegóły, bo rozdzwania się komórka Tomka.

– Słucham. Tak, dostarczyłem. Jakieś... – patrzy na zegarek – trzydzieści minut temu. Jestem w jej mieszkaniu, zaprosiła mnie na herbatę. Dobrze, przekażę.

Tomek bez pożegnania rozłącza rozmowę, chowa komórkę do kieszeni, jednym haustem wypija resztę herbaty i wstaje – cały ten

manewr zajmuje mu jakieś dwie sekundy.

– Muszę iść. Prezes prosi, żebyś odpisała na jego wiadomości. Dziękuję za herbatę. Widzimy się w poniedziałek. Nie zapomnij karty do windy.

Wychodzi szybko, jakby rozmowa z prezesem podpaliła mu ogon. Na komórce mam dwa SMS-y.

Dziękuję za wiadomość. Cieszę się, że nie miałas problemów w restauracji. Czy podobają Ci się ubrania?

Odpisz, proszę. Tomek do Ciebie dotarł?

Chyba rzeczywiście pan Kapuśniak nie należy do osób cierpliwych. Odpisuję więc:

Tomek właśnie wyszedł. Dziękuję za ubrania. Nie miałam jeszcze okazji podziękować, ale podkreślam, że NIE było to konieczne.

Nie muszę długo czekać na odpowiedź.

Z poleceniami służbowymi się NIE dyskutuje. Do zobaczenia w poniedziałek.

Nic nie odpisuję, bo z czym tu dyskutować. Zastanawiam się tylko, czy moja komórka zaraz zawibruje z wezwaniem do odpowiedzi albo do mieszkania wparuje Tomek z ponagleniem. Nic takiego się jednak nie dzieje. Zmywam więc naczynia i nalewam wody do wanny z nadzieją, że uda mi się przeczytać choć trochę książki, zanim oczy zaczną mi się kleić. Już w kąpieli przypominam sobie, że całe łóżko mam zawałone ubraniami, które nie zmieszczą się do szafy.



Sam nie rozumiem, dlaczego tak się zirytowałem na to, że Ida nie odpisała od razu na moją wiadomość, ani dlaczego jestem zły na Tomka za picie z nią herbaty. Moja nowa asystentka nie rozpoczęła jeszcze pracy, a już nie po raz pierwszy sprawia, że zachowuję się irracjonalnie.

*Co ze mnie za szef, który zabiera pracownicę na zakupy?*

Kiedy Tomek pojawia się na swoim posterunku, wołam go do siebie. Jesteśmy sami, więc nie bawi się w stanie na baczność, tylko przysiada na stole konferencyjnym i rozpina marynarkę.

– Wszystko poszło zgodnie z planem? – pytam neutralnie.

Kiwa tylko głową. Nie wiem, czego się spodziewałem, w końcu to nie jest typ, który zacznie się uzewnętrzniać z jakiegokolwiek powodu.

– Co sądzisz o Idzie?

Zamyśla się przez chwilę i przejeżdża ręką po czaszce.

– Po akcji na chodniku nie rozumiałem ani trochę, dlaczego chcesz ją zatrudnić. Po chwili rozmowy stwierdzam, że coś w niej jest. Na początku była strasznie spięta, chyba przez stan swojego mieszkania, ale później nawet nam się fajnie gadało. Tylko powiedz mi, co ty dokładnie w niej widzisz. Asystentkę czy dupę do zaliczenia?

To pytanie jest strzałem w dziesiątkę. Tak naprawdę sam nie wiem, dlaczego chciałem ją zatrudnić. Nie okłamałem Idy na rozmowie kwalifikacyjnej – mam dosyć lalek tańczących, jak im zagram. Tylko powiedzmy szczerze, po co mi jest potrzebny ktoś, kto będzie mówił „nie”? Mało jest takich sytuacji, o ile w ogóle, gdzie – patrząc ze strony biznesowej – jest mi potrzebna asystentka stojąca w opozycji do moich decyzji. Zwłaszcza że dziewczyna nie ma w zasadzie żadnych kwalifikacji.

*Nie wiem, może po prostu zrobiło mi się jej żal... Ale to nie wszystko.*

– Ida urzekła mnie osobowością, to po pierwsze. Dawno nikt nie poprawił mi tak nastroju mimo okoliczności. Dopiero dzisiaj miałem tak naprawdę okazję przyjrzeć się jej wyglądowi i nie powiem, podobało mi się to, co widziałem, ale nie to jest czynnikiem decydującym. Ona też, podobnie jak ty w jej sprawie, miała wątpliwości, czy będzie pracowała przy biurku, czy pod nim. Powtórzę ci więc to, co powiedziałem Idzie: wyglądam na desperata, który musi tak kombinować, żeby zaciągnąć kobietę do łóżka?

Tomek dobrze wie, że tak nie jest, bo nieraz byłem jego skrzydłowym, kiedy szukaliśmy damskiego towarzystwa.

– W porządku. – Wzrusza ramionami. – Jeżeli o mnie chodzi, to zanotowałem decyzję o zatrudnieniu dziewczyny, która obrzuciła cię jedzeniem, jako kolejną fanaberię szefa. Mnie tam wszystko jedno – mówi i saltuje mi niedbale.

– Jakim jestem szefem? – rzucam znienacka.

Tomek wygląda na równie zdziwionego jak ja, że o to pytam, ale widocznie fanaberie szefa są mu bardzo dobrze znane, bo nie komentuje.

– Nie do wytrzymania. Przypomnij sobie czystki zaraz po tym, jak zostałeś prezesem.

Wiem, co ma na myśli. Kiedy mój szanowny ojciec – niech mu ziemia ciężką będzie! – niespodziewanie odszedł z tego świata, zaczęły się spekulacje, a udziałowcy wstrzymali oddech, śledząc z palcem na guziku „sprzedaż”, czy akcje polecą na łeb, na szyję. Natomiast chwilowa ulga, że stery przejął młokos, którym z racji braku doświadczenia będzie można łatwo manipulować, szybko zniknęła. Nie jestem swoim ojcem, ale na pewno jestem jego synem. Na pierwszy ogień poszli poplecznicy poprzedniego prezesa, którzy z uśmiechem na ustach planowali wbić mi nóż w plecy. Później zająłem się nieuczciwymi partnerami i kontrahentami chcącymi ugrać swoje na boku. Na końcu poleciali pracownicy różnych szczebli niewywiązujący się z obowiązków. Jeżeli ktoś chce dostawać

pieniądze, to musi na nie rzetelnie zapracować. Nie toleruję niekompetencji, spychologii i wymówek. Wszystko, co ma być zrobione na jutro, chcę mieć na skrzynce dzisiaj do północy. Tak jak powiedziałem Idzie, zaufanie działa w obie strony. Jeżeli ja mogę polegać na jakimś współpracowniku czy partnerze biznesowym, to oddaję tę przysługę z nawiązką. Natomiast jeżeli ktoś zawiedzie moje zaufanie, cóż... to jest droga w jedną stronę.

– Osiągnąłem taki efekt, że wzbudzam raczej strach niż sympatię?

– Ty to powiedziałaś. – Tomek już w drzwiach rzuca przez ramię: – Dzisiaj na obiad kapuśniak.

W próbie ratowania wizerunku surowego szefa powstrzymuję się z trudem, żeby nie wybuchnąć śmiechem na całe biuro.



Ledwo otwieram oczy, a świat bezlitośnie atakuje mnie dźwiękiem samochodów jeżdżących pod oknem i daje z liścia promieniami słonecznymi wdzierającymi się przez niedokładnie opuszczone rolety. Składam mozolnie układankę z wczorajszego wieczora, próbując rozruszać pojedyncze szare komórki, które nie poległy pod wpływem zatrucia alkoholowego. Liczne dowody i kac wskazują, że wyskoczyliśmy razem z Agnieszką na parę drinków dla uczczenia mojej nowej pracy – tyle jestem w stanie wydedukować. Moja przyjaciółka chyba jeszcze śpi, więc idę na paluszkach do łazienki, żeby doprowadzić się do stanu używalności. Kiedy wracam, Aga grzebie w kuchennych szafkach.

– Gdzie masz kawę? – pyta zachrypniętym głosem.

Jej poranny image nie jest tak elegancki i dopieszczony.

– Druga na lewo, w słoiku. Mnie też zrób.

Aga mruczy niezrozumiale. Nawet nie pytam, czy chce coś na śniadanie, bo na samą myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze. Przy kawie próbujemy poskładać nasze wspomnienia w spójną całość.

– Kojarzę bardzo dobrze, jak opowiadałaś mi szczegóły rozmowy z prezesem. – Aga przeciera wierzchem dłoni napuchnięte powieki ze śladem rozmazanego makijażu. – Wyciągałam z ciebie historię, jak na niego wpadłaś, bo nie bardzo chciałaś mówić.

– Przerzywałaś mi na zmianę okrzykami niedowierzania i zachwytu, a kiedy doszłam do zakupów i tego, jak wydał na mnie fortunę, stwierdziłaś, że moje życie zaczyna brzmieć jak oparte na motywach filmu *Pretty Woman*. Pamiętam.

– A co było parę drinków później, bo wtedy pamięć zaczęła mi szwankować?

Drapię się w nos, przecierając na nowo szlaki nieużywanych neuronów w mózgu.

– Wiem! Zaczęłaś uporczywie nalegać, że chcesz zobaczyć ubrania i przekonać się, jak wygląda prezes, bo mój opis nie był wystarczająco obrazowy. – Pstrykam palcami, bo przypomina mi się reszta. – Byłaś już nieźle wstawiona, bo wychodząc z lokalu, mamrotałaś coś o prezesie w garsonce znanego projektanta mody i zataczałaś się ze śmiechu. Co w sumie mogło mi się przesyśleć, bo byłam pod wpływem. Ociupinkę. – Pokazuję palcami, jak mała ta ociupinka.

– Mhm, bez kompromitujących szczegółów, proszę.

– Ledwo cię powstrzymałam przed pojechaniem pod siedzibę firmy i wołaniem prezesa, aż wyrzy przez okno. Nie wierzyłaś, że dwudzieste szóste piętro to raczej wysoko i nic nie zobaczysz.

Aga kiwa głową, jakby nic z tego jej nie dziwiło.

– Dobrze, że nie pojechałyśmy. Co ja tu tak w ogóle robię?

– Uparłaś się, że chcesz zobaczyć ubrania, które kupił mi, tutaj cytat, pan Superciacho Bóg Seksu, więc przyszłyśmy. Nie pamiętam, czy ci je pokazałam, zanim odpadłam.

Muszę wzruszyć ramionami, bo końcówka wczorajszego dnia nadal jest dla mnie tajemnicą.

– Też nie pamiętam. Czekał, pójdę się wykąpać i mi pokazesz na trzeźwo.

Jakiś czas później wyciągamy ubrania z toreb. Nie miałam ochoty wcześniej się tym zająć, bo jakoś czułam niechęć na samą myśl, że ktoś wydał na mnie tyle pieniędzy. Oszukiwanie się, że jest to skutek uboczny kupna garnituru, już nie pomaga. Dla Agi nie jest to problem, a jedynie powód do radości. Oczy jej się świecą i zachwyca się każdym kolejnym ciuchem, jakby odkryła lek na raka, a nie kawałek szmaty za kasę mogącą przez miesiąc wyżywić wioskę w Afryce.

– Wreszcie masz w szafie coś, co nie wygląda jak z lumpeksu. No, no. Zadbaj nawet, żebyś miała coś kolorowego, w twoim stylu. Trzeba przyznać, że prezes ma gust. – Kończy, gładząc garsonkę.

Przewracam oczami na to stwierdzenie. Aga dokopuje się do małej czarnej i aż gwizdże z podziwu. Znowu przewracam oczami.

*Ledwo zakrywa tyłek! I jeszcze jest dziurawa z przodu. Musiałabym oszaleć, żeby ją założyć. Chyba że ze spodniami i golfem.*

Dziwne, ale jestem pewna, że nie wszystkie ubrania mierzyłam. Pamiętam dobrze zwiewną zieloną sukienkę w róże. Pięknie prezentowała się na manekinie i przyciągnęła mój wzrok do momentu, kiedy zobaczyłam, ile kosztuje. Teraz ta sama sukienka leży na moim łóżku.

*Skąd wiedział, że mi się spodobała?*

Nie kojarzę też torebek i innych dodatków. Nie było o nich w ogóle mowy, ale jakoś znalazły się u mnie. Przekopując się przez, jak mi się zdaje, nieskończoną liczbę toreb podświadomie szukam paragonu, który powie mi, jaki dług mam u pana Kapuśniaka. Żadne z ubrań nie ma metki, jakby specjalnie, żebym nie mogła ich zwrócić.

– Jutro twój pierwszy dzień, musisz zrobić piorunujące wrażenie na innych pracownikach. – Aga wyrywa mnie z zamyślenia. – Na

prezesie, jak widać, już zrobiłaś. Co założysz?

– Nie wiem... wybierz mi coś. – Macham obojętnie ręką, patrząc ukradkiem na sukienkę w róże.

Ubrania są na nowo przekładane i oceniane, aż w końcu Aga oznajmia z satysfakcją:

– Niebieska garsonka. Będziesz sobą, a jednocześnie elegancką wersją.

*Pierwsze co, to wyleję na siebie kawę albo potknę się na dywaniku u prezesa i wyląduję u jego stóp. Tyle będzie z mojej elegancji.*



## ROZDZIAŁ 3



Znowu stoję przed wieżowcem i patrzę na logo nad drzwiami. Tym razem mam zaktualizowane informacje, że kondygnacji jest dwadzieścia sześć, a z ostatniego piętra swoją władzę roztacza nieprzyzwoicie przystojny prezes Konrad Cardecki, miłośnik kapusty, słowa „nie” i drogich damskich ciuchów – od dzisiaj mój szef. W drodze do windy trzymam już w ręce czarną kartę, gotowa wymachiwać nią dookoła, gdyby ktoś chciał mnie zatrzymać. W dalszym ciągu czuję się nie na miejscu, chociaż teraz jestem już odpowiednio ubrana.

Przy windach natykam się na mały tłum. Dwie windy zjeżdżają niemal jednocześnie, ale w jednej jedzie sprzątaczką z ogromnym wózkiem do sprzątania, więc nikt nawet nie próbuje wsiadać. Ludzie zaczynają nerwowo wciskać guzik przywoływania i zerkać na zegarki.

*Co z trzecią windą? Czyżby była zepsuta?*

Rozgryzanie tajników firmy mogą równie dobrze zacząć od zapoznania się z działaniem wind. Naciskam guzik ze strzałką

w górę i widzę, że zaczyna się odliczanie pięter, czyli nie jest wyłączona z użytku. Kobieta stojąca najbliżej mnie mówi:

– Tą windą nigdzie pani nie dojedzie. Jest przeznaczona tylko dla prezesa i specjalnych gości.

– Dziękuję, to mój pierwszy dzień.

Wracam do kolejki czekającej na pozostałe windy. Na szczęście nie trwa to długo i mogę wsiąść. Nauczona doświadczeniem nie pcham się jako pierwsza, tylko czekam, aż inni wejdą, żebym miała swobodny dostęp do przycisków. Przyłożenie karty do czytnika i wybranie dwudziestego szóstego piętra po raz kolejny powoduje, że wokół mnie tworzy się miejsce, kiedy ludzie ścieśniają się w i tak już ciasnej przestrzeni.

– Prezes jest trędownaty czy co? – wymyka mi się półgłosem.

Jakbym brała udział w wyzwaniu do *Księgi rekordów Guinnessa*: ile osób da się rozpląszczyć na ścianach windy? Słyszę za plecami szepty. Kiedy wychodzę na kolejnych piętrach, żeby przepuścić wysiadające osoby, każdy kłania mi się lekko, unikając jednak patrzenia na mnie.

Serce wali mi coraz bardziej wraz z połykanymi przez windę piętrami.

*Nie denerwujesz się, że go znowu zobaczysz. To zwykły stres przed pierwszym dniem pracy.*

Kiedy dojeżdżam na miejsce, czeka mnie miła niespodzianka, jaką jest uśmiech Tomka. Wita mnie krótkim „dzień dobry” i przedstawia drugiemu ochroniarzowi, Wojtkowi.

– Karta służy nie tylko do windy, ale też do otwierania drzwi. Masz dostęp wszędzie tam, gdzie jest klawiatura numeryczna. Wystarczy przyłożyć – tłumaczy.

– Do sejfu za obrazem w gabinecie prezesa również mam dostęp?

Tomek parska, ale chyba nie trafiam z humorem do Wojtka, bo nadal patrzy na mnie jak na potencjalną terrorystkę. Mam ochotę

pokazać mu kupioną przez prezesa torbę, która ciąży mi na ramieniu – z racji nowości nie załęgły się w niej jeszcze zmutowane drobnoustroje planujące przejęcie władzy nad korporacją, więc nie powinien spoglądać na mnie tak krzywo.

Dotykam kartą czujnika, a drzwi klikają cicho. Tomek przytrzymuje je przede mną, więc pokazuję mu kciuk w górę i wchodzę do środka. Poza dodatkowym biurkiem nic się nie zmieniło od mojej ostatniej wizyty.

– Dzień dobry!

Sylwia i Dorota, jak prosto z okładki żurnala, odpowiadają prawie jednocześnie, ale nie nazwałabym tego gorącym powitaniem. Otwierają się drzwi do gabinetu i prezes Kapuśniak we własnej osobie wychodzi mi na powitanie. Na jego widok moje walące serce przyśpiesza jeszcze bardziej. Chyba był u fryzjera, bo jego włosy wydają się krótsze. Bez krawata, w białej koszuli i kamizelce wygląda zabójczo i pociągająco.

*W coś ty się, kobieto, wpakowała?*

Prezes lustruje mnie wzrokiem, ale nie umiem wyczytać z jego spojrzenia, czy podoba mu się efekt wizualny, jaki prezentuję.

– Jesteś – mówi po prostu i znika z powrotem w gabinecie.

Wszystkie trzy stoimy wgapione w drzwi, nie rozumiejąc, co się właśnie stało. Sylwia otrząsa się pierwsza.

– Ida, twoje biurko jest tam. – Bez ostrzeżenia mówi do mnie po imieniu, wskazując biurko naprzeciwko swojego. – Rozpakuj się i włącz komputer. Pokażę ci podstawowe rzeczy i oprowadzę po firmie.

Stawiam torebkę na swoim biurku. Jest spore. Poza częścią, gdzie znajduje się monitor, jest jeszcze dostawka z pustymi kuwetami na dokumenty i pojemnikiem z długopisami. Komputer okazuje się laptopem podłączonym do monitora. Sylwia stoi już koło mnie, chociaż system nie zdążył się w pełni załadować.

– Tutaj masz dane do logowania. – Podaje mi kartkę z ciągiem liter i cyfr. – Po przyjsciu musisz zalogowac sie do programu, który zlicza czas pracy. Oznaczasz kazde wyjście w systemie, nawet na lunch. Reszta później. Chodź – wyrzuca z siebie niemal jednym tchem.

Rusza do wyjścia, a ja grzebię w torebce w poszukiwaniu notatnika i długopisu.

*Kubek, talerz, komórka, drugie śniadanie, butelka wody, portfel... – szukam coraz bardziej nerwowo.*

Sylwia używa karty do otwarcia szklanych drzwi i przechodzi obok ochroniarzy, całkowicie ich ignorując.

*Znalazłam!*

Podbiegam kawałek, bo idzie tak szybko, że ledwo udaje mi się wejść do windy przed zamknięciem się drzwi.

*Tak masz zamiar ze mną pogrywać? Milutko.*

Zauważam, że trzymana przez Sylwię karta jest szara.

– Czy kolory kart mają znaczenie? – pytam, póki jako nowy pracownik mam prawo do pytania o wszystko.

– Tak, białe karty są dla gości. Działają tylko na windę, pozwalają na wjazd i zjazd, później się dezaktywują. Szarych kart używamy my, są do windy i drzwi, do których mamy dostęp. Pracownicy niższych pięter posiadają karty ze swoim zdjęciem. Rzecz jasna otwierają drzwi w zależności od posiadanych uprawnień. Prezes posiada unikatową czarną kartę, która otwiera wszystkie drzwi i działa w windzie dla VIP-ów.

– Tylko prezes ma czarną kartę?

Intuicja mi podpowiada, że lepiej się nie przyznawać, kto ma teraz kartę prezesa.

– I Tomek, jego ochroniarz. Chociaż nie jestem pewna, czy ma dokładnie takie same uprawnienia. Poza tym nikt.

Muszę przyznać, że od Sylwii nie bije sympatia, ale jest rzeczowa i odpowiada wyczerpująco na moje pytania. Niestety to za

mało, żebym zapałała do niej miłością.

*Zresztą to uczucie jest chyba obustronne...*

– Zaczniemy od stołówki, później pokażę ci najważniejsze działy, z którymi będziesz miała do czynienia. Wsiadamy. Tutaj, na trzynastym piętrze, znajdują się pomieszczenia socjalne. Po pierwsze stołówka, gdzie możesz zjeść, co chcesz. Wypić kawę. Płaci się bezgotówkowo. Po zeskanowaniu twojej karty rachunek zostanie odjęty od następnej pensji. Codziennie masz czterdzieści pięć minut na lunch.

Stołówka jest ogromna. W jaskrawych kolorach, z białymi stołami i żółtymi krzesłami. Przypomina mi jedno z tych miejsc, gdzie płaci się za wagę dania, a nie konkretną pozycję w menu. Wybór musi być niezły, bo lada z jedzeniem ciągnie się przez całe pomieszczenie. Ślinka napływa mi do ust, ale nie ma czasu, bo idziemy dalej.

– Po drugie, pokój do odpoczynku.

Sylwia otwiera drzwi do pomieszczenia, w którym przestrzeń jest podzielona na małe boksy – każdy wyposażony w leżankę, stolik i drzwi zapewniające minimum intymności.

– Możesz tutaj wypoczywać po odznaczeniu w systemie, że wychodzisz na przerwę – tłumaczy. – Czynności seksualne w pokoju odpoczynku nie są tolerowane.

*Jakie czynności?!*

Otwieram usta ze zdziwieniem, że w ogóle o tym wspomina. Sam pomysł możliwości relaksu w czasie pracy bardzo mi się podoba.

*Ciekawe, czy będę miała okazję robić sobie takie przerwy, bo widzę oczyma wyobraźni, jak zamykam się w takim boksie z książką. Zdecydowanie nie dla czynności seksualnych!*

– Masz jakieś pytania do tego piętra?

Korci mnie, żeby spytać, czy czynności seksualne w innym miejscu niż pokój do odpoczynku są tolerowane, ale chyba nie

takiego pytania oczekuje Sylwia. Wracamy do windy. Sylwia oprowadza mnie po działach HR, księgowości, prawnym, PR, marketingu. Opowiadając o poszczególnych zakresach odpowiedzialności, rzuca we mnie żargonem korporacyjnym, a prędkość notowania sprawia, że z głowy zaczyna mi się dymić. Podkreślam słowa kluczowe, żeby później wyszukać je w internecie i dowiedzieć się więcej. Klik, klik – rozlega się w każdym miejscu, do którego się udajemy. Stuk, stuk – jakby w biurze zatrudniano dzięcioły, a nie osoby. Spotykam dyrektorów, kierowników i ich zastępców. Na każdym piętrze jestem nowinką, ludzie przyglądają mi się uważnie i słyszę, jak półgłosem rzucają do siebie komentarze.

Kiedy wracamy do biurka, mam wrażenie, że chociaż ja nie zapamiętałam niemal żadnej z twarzy, to sama stałam się rozpoznawalna. Nie mam czasu na rozmyślanie, bo Sylwia tłumaczy mi takie rzeczy, jak obsługa programu pocztowego, obieg dokumentów, harmonogram prezesa czy lista kontrahentów. Nie ma litości dla mojego braku doświadczenia, niczego nie upraszcza. Kręci mi się w głowie od nadmiaru informacji. Do tego co chwilę dzwoni telefon.

– Sekretarka prezesa Cardeckiego, czym mogę służyć? – Dorota rozpoczyna rozmowę zawsze w ten sam sposób.

Nie mam czasu przysłuchiwać się, o czym rozmawia, bo szkolenie w tempie przyśpieszonym absorbuje mnie całkowicie. Mam dosyć. Nic już nie przyswajam, tylko mechanicznie zapisuję losowe słowa. Zaczynam się wiercić na krześle, ale Sylwia wydaje się niezmordowana.

*Nie musi zrobić przerwy na siku?*

Ja marzę o przerwie i dużej filiżance kawy.

Zastanawiam się, jak wbić się w jej monolog z pytaniem, czy po kawę trzeba specjalnie jechać na trzynaste piętro. Nie widzę tutaj żadnego ekspresu ani nawet dystrybutora na wodę.

*Dobrze, że zabrałam swoją butelkę. Tylko jak mam się napić, kiedy muszę cały czas notować?!*

Angażuję dodatkowe komórki mózgu, żeby sformułować bardziej ambitny komunikat niż „siku!”, kiedy nagle dzwoni telefon na moim biurku. Drrryń! Podskakuję przerażona i wpatruję się w aparat, jakby miał zaraz wybuchnąć. Przenoszę błagalne spojrzenie na Sylwię, ale ta wykonuje tylko ruch głową w kierunku telefonu, nakazując mi odebrać. Przełykam ślinę i przypominam sobie formułkę, której mnie nauczyła. Mówiła też o zasadzie odebrania po maksymalnie trzech dzwonekach.

*Przeczekałam już chyba z pięć!*

– Asystentka prezesa Cardeckiego, w czym mogę pomóc?

W odpowiedzi rozlega się męski głos:

– Prezes Cardecki czeka. Teraz. – Klik i połączenie zostało przerwane.

*Prezes czeka? Co to znaczy?*

Moja głowa nie funkcjonuje już najlepiej.

– Prezes czeka. Teraz – powtarzam Sylwii w nadziei, że rozszyfruje dla mnie tę wiadomość.

– To idź – odpowiada po prostu. – Będziemy kontynuować później.

*Iść do prezesa. Dobrze, mogę to zrobić. Jestem w końcu jego asystentką. Gdyby tylko tak bardzo nie chciało mi się siku...*

Mam świadomość, że „teraz” oznacza bezzwłocznie, a nie po opróżnieniu pęcherza i wypiciu kawy. Staję przed dwuskrzydłowymi drzwiami prowadzącymi do paszczy lwa. Pukam i łapię za klamkę, ale drzwi ani drgną. Chwila konsternacji.

*No tak, zapomniałam zeskanować kartę.*

Czuję spojrzenia Sylwii i Doroty na plecach. Skanuję kartę tak, żeby nie widziały jej koloru.

Prezes siedzi przy biurku, zapatrzony w monitory. Nie podnosi nawet głowy, żeby sprawdzić, kto wszedł.

– Chciał mnie pan widzieć?

Staję przed biurkiem i nerwowo splatam dłonie.

*Halo, tu asystentka do prezesa Kapusty!*

Zdecydowanie powinnam przestać tytułować go per Kapuśniak. Już widzę miny kontrahentów, kiedy to przezwisko wymsknie mi się na superważnym spotkaniu.

Cisza. Denerwuję się coraz bardziej, aż zaczynam wyłamywać palce.

*Czy to jakiś test? Zaraz go obleję i to dosłownie!*

Zdenerwowanie nie poprawia mojej kontroli nad pęcherzem.

– Napijesz się kawy?

To pytanie nie jest tym, czego się spodziewałam.

– Z chęcią, tylko... – *zaraz się posikam!* – Najpierw muszę do toalety.

Chyba się trochę rumienię, kiedy prezes patrzy na mnie z uniesioną brwią.

– Na przyszłość załatwiaj takie sprawy, zanim do mnie przyjdiesz. Idź, poczekam – odprawia mnie.

Wypadam szybko z gabinetu.

*Jestem asystentką prezesa, która nawet nie wie, gdzie na tym piętrze jest łazienka.*

– Dziewczyny, powiedzcie mi, gdzie tutaj jest toaleta?

Sylwia uśmiecha się triumfalnie, a ja mam wrażenie, że wszystko sobie zaplanowała.

*Założyłaś pampersa, żeby tylko mnie upokorzyć?*

– Nie zdążyłam pokazać ci jeszcze naszego zaplecza socjalnego – mówi słodko, wskazując na ścianę za sobą.

Teraz dopiero widzę dwie pary drzwi zamaskowane tak, że ledwo wyróżniają się ze ściany.

– Po prawej jest nasza minikuchnia. Posiłki jemy tylko tam. Po lewej toaleta.



– Dzięki. Zazdroszczę ci pęcherza jak u słonia, bo mój jest jak u skowronka.

Mrugam do Sylwii w drodze do łazienki, nie zważając na jej otwarte ze zdziwienia usta. Po prostu nie umiem się powstrzymać, żeby jej trochę w odwecie nie dopiec.

Nie tracę czasu. Kiedy wracam do gabinetu prezesa, na stoliku przy kanapie czekają dwie filiżanki z kawą. Prezes zaprasza mnie gestem, żebym usiadła. Zajmuję miejsce, podobnie jak poprzednio, jak najdalej od niego.

– Sylwia daje ci mocno popalić? – pyta prezes, a jego ręka metodycznie miesza łyżeczką w kawie.

*Ma naprawdę męskie dłonie.*

Drapię się w nos. Póki co Sylwia traktuje mnie trochę z góry, na samym początku próbowała mnie zgubić, zasugerowała, że mogłabym odbywać czynności seksualne w firmie, i specjalnie bądź też nie doprowadziła do wstydlivej sytuacji z przepełnieniem mojego pęcherza.

*Pikuś. Przecież nie będę się skarżyła szefowi.*

Nawet gdyby napluła mi do kawy, to i tak są to kwestie, które musimy rozwiązać między sobą. W ostateczności pazurami i ciągnięciem za kudły.

– Nie jest to miłość od pierwszego wejrzenia, będziemy się na pewno docierać, czasem może nawet boleśnie, ale póki co nie mogę narzekać. Jest konkretna i wszystko dokładnie tłumaczy. Tak, że aż boli głowa. Jest tego bardzo dużo do zapamiętania, więc proszę pana prezesa o wybaczenie przyszłych wpadek.

– Możesz pominąć pana prezesa i mówić mi po imieniu. – Jego oczy odnajdują moje, kiedy to mówi, a uśmiech błakający się na jego wargach jest kuszący.

W wyobraźni pochylam się nad prezesem siedzącym za biurkiem i kładę przed nim jakieś dokumenty, jednocześnie mówiąc: „Konrad, zerknij na to, proszę”. On obraca głowę w moją stronę,

przez co nasze twarze są nieznośnie blisko siebie. W mgnieniu oka przeskakuje między nami elektryzująca iskra, a później...

*Nie, nie!*

Macham gwałtownie rękami, jakbym próbowała rozwiąć pojawiające się przede mną obrazy, a policzki palą mnie od rumieńców. Zdaję sobie sprawę, że nic dobrego by nie wyniknęło ze skrócenia dystansu z prezesem. Muszę wybudować między nami mury formalności i konwenansów, które będą stanowiły ostatnią linię defensywy dla mojego serca. Moja wola słabnie od każdego jego charyzmatycznego spojrzenia, a przy najmniejszym uśmiechu kapituluje i wywiesza białą flagę – nie mogę sobie na to pozwolić. Zwłaszcza jeżeli prezes oczekuje, żebym zawsze była wobec niego szczera i mówiła wszystko otwarcie, bo to paradoksalnie może doprowadzać do nieporozumień.

Prezes patrzy na mnie trochę zdziwiony, jakby nie rozumiał, skąd u mnie taka gwałtowna reakcja z machaniem rękami.

– Nie, panie prezesie, nie mogę. Z tego, co zauważyłam, wszyscy w firmie zwracają się do pana w sposób oficjalny. Nie chcę być wyjątkiem.

– W takim razie kiedy jesteśmy sami? – Dalej patrzy na mnie intensywnie, jakby z nadzieją.

Kręcę głową.

*To chyba jeszcze gorzej.*

Jestem pewna, że firma zaczęłaby huczeć od plotek, gdyby ktoś nas przyłapał na takim skrytym spoufalaniu się. Kładę na stoliku czarną kartę w nadziei na zmianę tematu.

– Poproszę o szarą kartę. Przez tę wszyscy patrzą na mnie, jakbym była największą osobliwością w budynku. Nie chcę jej ani takiej uwagi.

– Nie, pani asystentko – drwi ze mnie. – Musisz mieć wejście tam, gdzie ja. Jesteś moją asystentką, więc patrzeć mogą, jak chcą, ale dla reszty jesteś nietykalna.

Nie wiem, czy dwuznaczność tych słów jest zamierzona, ale znowu się rumienię. Ukrywam się za filiżanką, chociaż mam ochotę schować się pod stołem.

*Idalio, wpadłaś w poważne tarapaty!*

Moje naiwne serce interpretuje wszystko po swojemu i jest gotowe wyskoczyć z piersi na każdą najmniejszą oznakę zainteresowania ze strony prezesa. Tak jak teraz; kawa, propozycja mówienia po imieniu – niby zwykłe rzeczy, ale to, co dzieje się we mnie, nie jest zwykłe. Muszę znaleźć antidotum na magnetyczne wręcz przyciąganie do tego mężczyzny, bo inaczej praca z nim nie będzie dla mnie łatwa. Jednak jest to szansa jedna na milion, żeby odbić się od dna i być może nawet zrealizować marzenie o własnej kawiarni.

*A niech mnie stado jadowitych skorpionów, jeżeli pozwolę, żeby kuszenie zielonych oczu odebrało mi tę szansę!*

Prezes przesuwa kartę w moim kierunku.

– Schowaj i nie zgub. Jeżeli ją gdzieś zapodziejiesz, od razu zgłoś to Tomkowi, bo w niepowołanych rękach może nabroić.

– Czyli jednak otwiera też sejf schowany za obrazem?

Rozglądam się po ścianach gabinetu, ale nie widzę żadnego obrazu. Ściany są po prostu gołymi ścianami pomalowanymi w sposób imitujący beton.

– Między innymi.

Znowu nie wiem, czy żartuje, w każdym razie się nie uśmiecha.

– Nie czuje się pan tutaj samotnie? – Pytanie wyskakuje jak królik z kapelusza, sama jestem zaskoczona, że wypowiedziałam tę myśl na głos.

Na pewno nie spodziewał się, że zapytam o coś tak osobistego. Prezes nie reaguje, patrzy tylko na mnie z lekko zmarszczonymi brwiami. Speszona zaczynam przeproszać, że nie pomyślałam, że tak mi się wymknęło, że...

– Dlaczego tak myślisz? – odpowiada w końcu pytaniem.

Uciekam wzrokiem w bok, świadoma, że wyjaśnienie może mnie jeszcze bardziej pograżyć.

– Tutaj, na najwyższym piętrze, jest pan niemal całkiem sam. Parafrazując bajkę, zamknięty jak księżę w wieży, czekający, aż na ratunek przybędzie piękna księżniczka na rumaku. Ten gabinet – wskazuję wokół ręką – jest urządony bardziej jak cela niż miejsce, gdzie spędza się większą część dnia. Żadnych osobistych dodatków, jak zdjęcia czy właśnie obrazy. – Wzruszam ramionami. – Takie samotne wydaje mi się bycie prezesem. Chociaż oczywiście nie wiem nic o pana życiu prywatnym, więc... – zawieszam głos.

Prezes znowu patrzy na mnie tak intensywnie, że aż spuszczam wzrok. Cisza się przedłuża.

*Głupio wyszło z moim za długim językiem, ale przeprosiny tutaj już nic nie pomogą.*

– Rozwesel moją wieżę – mówi przyciszonym głosem tak, że nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam.

– Słucham?

– Rozwesel wieżę. Bądź moją księżniczką pędzącą na rumaku zmian. Wprowadź tutaj trochę radości i koloru, nie tylko w gabinecie. Co uważasz za słuszne. Fundusz reprezentacyjny i ja jesteśmy do twojej dyspozycji.

*Zostałam dekoratorką wewnątrz czy mam szukać drugiego dna w tym, co powiedział?*

Moja wyobraźnia nie zna takich dylematów, już zrozumiała bycie jego księżniczką po swojemu. Wysłała impuls do ośrodka przyjemności w mózgu i rozlała endorfiny we krwi, powodując przyśpieszone bicie serca.

*Konrad... Uch! Prezes zapewne myślał o kupnie jakiegoś dywanika i zastonek, a ja mam przed oczami scenę z budzenia Królowny Śnieżki.*

Nieświadomy zmieszania, jakie spowodował swoimi słowami, prezes patrzy na mnie z lekkim uśmiechem.

– Poza tym, Ida, cieszę się, że założyłaś tę garsonkę. Chociaż obstawiałem, że pojawisz się dzisiaj w sukience w róże. – Jego uśmiech robi się coraz bardziej dwuznaczny, przez co moje serce podskakuje, a tętno jeszcze przyśpiesza.

Od samego rana nie założył marynarki, siedzi więc przede mną w koszuli i kamizelce, w których widziałam go wcześniej. Jest swobodnie rozparty na kanapie, a jedną rękę zarzucił na jej oparcie. Dzięki podwiniętym do łokci rękawom koszuli mogę podziwiać grę mięśni na przedramionach, później przenoszę wzrok na jego zdecydowaną linię szczęki oraz kawałek klatki piersiowej, ujawniony przez rozpięte guziki koszuli.

*Ida! – ganię samą siebie. – Nie molestuj prezesa spojrzeniami!*

– Sukienka w róże prosi się o specjalną okazję, a nie dzień w biurze – odpowiadam, nie spuszczać wzroku z jego oczu, bo nagle nachodzi mnie chęć, żeby sprawdzić, jak zareaguje.

Prezes nie ucieka spojrzeniem, tylko patrzy mi w oczy, a kontakt przedłuża się i elektryzuje. Nie zdaję własnego testu, bo pierwsza opuszczam wzrok. Chrząkam i próbuję jeszcze raz wydobyć głos, bo nagle zaschło mi w gardle. Jestem pierwszy dzień w pracy, powinnam być profesjonalna, a ślinię się na widok szefa.

*Nie jesteś bohaterką harlequina, żeby zabujać się w szefie od pierwszego wejrzenia.*

– Chciałabym oddać panu pieniądze za wszystkie ubrania – mówię, przerywając ciszę. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, jestem wdzięczna, ale nie jest to drobna kwota, którą mogę przyjąć jako prezent.

– Kto mówi o prezencie? – odpowiada. – Będiesz od razu wiedziała, kiedy dostaniesz ode mnie prezent. Ubrania potraktuj jako zapewnienie odzieży roboczej. W żaden sposób nie oczekuję od ciebie zwrotu pieniędzy, więc nawet o tym nie myśl. Jeżeli chcesz się odwdziaczyć, to całą swoją energię skieruj w naukę i wykonywanie

poleceń. – Tutaj robi pauzę. – Słyszałem od Tomka, że zaprosiłaś go na herbatę...

*Co to ma do rzeczy? Może boi się, że Tomek wygadał, jakie szkielety szef trzyma w szafie?*

– Tak, Tomek dosyć długo czekał na mnie pod drzwiami ze wszystkimi tymi zakupami. Pomyślałam więc, że w ten sposób mu się odwdzięczę.

*Po co się tłumaczysz?*

Nie powiem przecież, że zaprosiłam Tomka z nieczystymi intencjami, żeby wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji o firmie i prezesie. Ani o tym, że w trakcie picia herbaty coś między nami pozytywnie zagrało i chyba się zaprzyjaźniliśmy.

– Rozumiem – mówi po prostu i zmienia temat. – Chciałbym, żebyśmy rozpoczynali dzień od wspólnego wypicia kawy. W ten sposób wprowadzimy na stałe do naszego kalendarza spotkanie organizacyjne. Za każdym razem uzgodnimy plan dnia, rzeczy do zrobienia i omówimy tematy, które tego wymagają. Masz coś przeciwko?

– Nie, oczywiście się zgadzam.

*Czy ja się właśnie zgodziłam na codzienną randkę przy kawie?*

– Ma pan dla mnie dzisiaj jakieś polecenia? Jeżeli nie, to chciałabym wrócić do uprzykrzania życia Sylwii.

– Mam. Zwołaj wszystkich z działu marketingu do ich sali konferencyjnej. Spotkamy się tam z nimi za pół godziny.

Na widok prezesa maszerującego korytarzem rozmowy milkną jak ucięte nożem, a ludzie w drzwiach rozstępują się przed nim z lekkim ukłonem. Niewielka sala konferencyjna działu nie jest w stanie pomieścić wszystkich marketingowców, tak więc część siedzi, większość stoi ściśnięta jak sardynki, a niektórzy tłoczą się w drzwiach. Przeciskam się za prezesem, korzystając z wolnej przestrzeni, jaka wokół niego powstała, i stoję z boku.

*O co chodzi? Skąd taka nerwowa atmosfera?*

Prezes opiera łokcie na stole, splata przed sobą ręce i jakby bezwiednie zaczyna stukać kciukami po swoich zmysłowych ustach. Nie jestem jedyną, która reaguje na ten widok trzepotem serca, bo w ciszy słycać westchnienia rozchodzące się z różnych części sali. Wzrok prezesa ślizga się po obecnych, a cisza się przedłuża i potęguje nerwowość, która w końcu udziela się i mnie. Wreszcie, kiedy prezes odzywa się cichym, spokojnym głosem, wszyscy podskakują, jakby właśnie ryknął lew.

– Powiedzcie mi, kto tak spierdolił tę kampanię?

Nikt się nie zgłasza, a parę osób kuli się pod jego spojrzeniem. Większość ma spuszczone głowy i zapewne marzy, żeby być teraz gdzie indziej. Dociera do mnie, że starzy pracownicy od razu poznali, co się święci, i stąd ta gęsta atmosfera.

– Nikt? Sama się stworzyła i poszła do radia, żeby mnie wkurwiać, kiedy jadę samochodem? – Kolejna runda przeszywających spojrzeń po obecnych. – Może też sama się zwolni, zabierając ze sobą co drugiego z was?

Głos prezesa nadal jest spokojny, choć zaczyna pobrzmiwać w nim odrobina złości. Mam wrażenie, że obecni woleliby, żeby na nich po prostu nakrzyczał. Jeden z mężczyzn stojących pod ścianą podnosi drżącą rękę. Prezes od razu skupia na nim wzrok jak jastrząb.

– Tak, Krzysiu, masz nam coś do powiedzenia?

Inni jakby trochę odetchnęli, że jest ktoś, na kim może się skupić gniew szefa. Mężczyzna, którego imię pamięta sam prezes, przełyka ślinę, poluźnia krawat i przemawia, lekko się zacinając:

– Przepraszam, panie prezesie. Ma pan rację. Ta reklama nie powinna była ujrzyć światła dziennego. Niezwłocznie zdejmujemy ją z anteny.

Prezes nie zmienia pozycji, nadal opiera się na złączonych dłoniach i nadal wygląda morderczo, a do tego zabójczo przystojnie.

– Chcę mieć dzisiaj na biurku raport zatytułowany „Co poszło nie tak”, zaczynający się od słów: „Nie produkujemy czopków na hemoroidy, a jednak nasze reklamy są do dupy”. Wyciągnijcie wnioski. Nowa reklama ma przejść przez moje ręce. Do roboty.

Jakby tylko czekali na tę komendę, wszyscy marketingowcy rzucają się do wyjścia. Muszę oprzeć się o krzesło prezesa, żeby tłum ludzi nie porwał mnie ze sobą. Aż dziw, że się nawzajem nie tratują. Poza tupotem szybkich kroków nie słychać żadnych głosów ani rozmów.

– To było straszne... – wyrywa mi się niechcący.

Prezes podnosi się z krzesła i staje bardzo blisko mnie, tak że muszę zadrzeć głowę, żeby na niego popatrzeć.

– Co było straszne? – pyta tym samym cichym, spokojnym głosem, którym przed chwilą sterroryzował cały dział.

– Pan prezes – odpowiadam z wahaniem.

– Bałaś się mnie? – zadaje to pytanie jeszcze ciszej.

– Bałabym się, gdyby nie to, że... się nie boję. – Patrzę mu w oczy, a on uśmiecha się kącikiem ust. – Jeżeli zrobię coś nie tak, to będę musiała się bać?

– To zależy od wielkości przewiny. Może tobie wymyślę karę innego rodzaju... – Uśmiech nie opuszcza jego ust, a mnie przechodzi dreszcz pod tym sugestywnym spojrzeniem.

Mam na tyle pewności siebie, że wiem, że z Sylwią sobie poradzę. Z obowiązkami też dam radę. Nie jestem tylko pewna, czy potrafię zapanować nad uczuciami i siłą, z jaką moje ciało reaguje na tego mężczyznę.





Dzisiaj przychodzę do biura wcześniej niż zazwyczaj, więc nie ma nikogo poza mną i Tomkiem. Muszę przygotować się do ważnego spotkania z dyrektorami. Planuję rozszerzyć działalność Cardecki Investment, a ta wielomilionowa inwestycja wymaga omówienia założeń, strategii rozwoju, sieci powiązań z naszymi zagranicznymi partnerami. Co ważniejsze, musimy ocenić ryzyko biznesowe i podjąć decyzję, czy w ogóle się w to pakować.

Chwilę przed ósmą słyszę, że za drzwiami zaczął się ruch. Sylwia i Dorota rozmawiają głośno i się śmieją. Tomek musiał się schować w pokoju dla ochrony i chyba nie są świadome, że tutaj jestem. Równo piętnaście minut później uruchamia się ekspres w moim gabinecie i nalewa cappuccino do przygotowanych wcześniej filiżanek. Zerkam na drzwi. Powtarzam Idzie, że nie musi pukać, ale i tak zawsze to robi. Trzy charakterystyczne puknięcia, jedno wolne i następujące po krótkiej przerwie dwa szybkie. Już nie towarzyszy jej zażenowanie po wejściu do mojego gabinetu. Zaraz otworzą się drzwi, rzuci do mnie radosne „dzień dobry”, po czym weźmie filiżanki, zanieś je na stolik i usiądzie na kanapie. Zawsze siada jak najdalej ode mnie. Przez ostatnie parę tygodni nie tylko przyzwyczałem się do tego rytuału, ale wręcz wyczekuję go jak ulubionego momentu dnia. Ida stara się trzymać dystans i chowa się za profesjonalizmem, co tylko powoduje, że mam większą ochotę z nią flirtować i sprawiać, żeby się rumieniła. Stukam bezwiednie długopisem o umowy leżące przede mną. Z satysfakcją przypominam sobie moment, kiedy nasze palce się zetknęły przy sięganiu jednocześnie po ten sam dokument. Była to jedna z krótkich chwil dodających naszym relacjom pikanterii. Burza z piorunami – tak nazwałbym to wydarzenie, choć było odczuwalne tylko w naszym mikrokosmosie.

Dzisiaj nie możemy sobie pozwolić, żeby kawę wypić w luźnej atmosferze, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Mamy dużo do ustalenia i musimy od razu przejść do knucia, jak przejść świat.

Jest już ósma trzydzieści, a Ida jeszcze nie przyszła. Wybieram numer wewnętrzny jej telefonu na biurku, ale zamiast spodziewanej odpowiedzi po jednym sygnale słyszę kliknięcie charakterystyczne dla przełączania rozmowy i odbiera Sylwia. Jest zdziwiona, więc rzeczywiście nie wiedziała, że jestem w gabinecie.

*Słabo jak na sekretarkę siedzącą pod drzwiami.*

– Gdzie jest Ida? – pytam.

– Nie ma jej, panie prezesie.

Odkładam słuchawkę i próbuję dodzwonić się do Idy na komórkę. Jeden sygnał, dwa, kolejne... po czym informacja, żebym nagrał wiadomość. Próbuję jeszcze raz, coraz bardziej zirytowany.

Odkąd dla mnie pracuje, nie spóźniła się ani razu. Zawsze przychodziła o czasie, za to wychodziła nawet jako ostatnia. Często zdarzało się, że chciała jeszcze przejrzeć dokumenty, dopieścić prezentację albo wyszukać jakieś informacje. Wydaje mi się, że spędzała też wieczory w biurze, ucząc się do egzaminów na uczelni.

*Pewnie zasnęła* – próbuję racjonalizować sytuację i wracam do swoich dokumentów. Litery jednak nie składają się w logiczną całość, nie potrafię się skupić, a moje myśli uciekają. Z każdą mijającą powoli minutą pojawia się prawdziwy niepokój z towarzyszącymi mu scenariuszami możliwych wydarzeń. Co jedno to bardziej katastroficzne. Wstaję od biurka i zaczynam krążyć, jednocześnie dzwonię do Tomka.

– Widziałeś Idę?

– Nie, dzisiaj jeszcze nie przyszła. Zadzwoń do niej?

– Jak tylko przyjdzie, od razu daj mi znać.

*Cholera, to bardzo dziwne.*

Mój wzrok pada na kwiaty w betonowych donicach. Chociaż Ida nie zmieniła dużo w wystroju, to wnętrze gabinetu odżyło i nabrało charakteru, głównie za sprawą musztardowych dodatków. Nie myślałem, że to rzeczywiście robi. Trafiła słowami o samotności w samo sedno, więc odpowiedziałem jej pod wpływem chwili –

trochę myśląc o surowości wnętrza, a bardziej o moim życiu. Niemniej byłem zaskoczony, kiedy wszedłem do swojego gabinetu i zobaczyłem efekt jej starań. Tak jak się spodziewałem, nie wydała fortuny, ale osiągnęła rezultat, za który projektant wnętrz wystawiłby fakturę na okrągłą sumę. Najbardziej zadziwił mnie, zdumiał wręcz, obraz wiszący nad kanapą. W zależności od tego, jak na niego spojrzę, widzę kosmos, mgławice i bezkres gwiazd albo morską zatoczkę, gdzie mieszają się fale w różnych odcieniach błękitu i granatu, gdzieniegdzie poprzecinane spienionymi bałwanami. Kiedy zapytałem Idę, kto jest autorem, odpowiedziała tylko, że ktoś bardzo bliski jej sercu. Nie dopytywałem. Dodała do mojego gabinetu jeszcze jeden drobny szczegół. Na biurku czekała karteczka doczepiona do złotej ramki:

    Nie wiedziałam, czy jest Pan miłośnikiem kotków, czy piesków. Dlatego postawiłam na kompromis.

    PS To drapieżnik!

Cały kadr zdjęcia zajmuje ważka siedząca na źdźble trawy, a jej skrzydła mienią się połyskliwie na niebiesko i zielono.

*Ta dziewczyna nie przestaje mnie zaskakiwać.*

Mam wrażenie, że tańczymy jakiś przedziwny taniec, którego zasady nie są mi do końca znane. Ida odsuwa się ode mnie, jak najbardziej może, dosłownie i w przenośni. Następnie stawia taką ramkę, robi małą rzecz, a skraca dystans jednym ogromnym krokiem. Jakby sama nie zdawała sobie sprawy, że wysyła sprzeczne sygnały.

Stukam niecierpliwie palcami o biurko, zerkam na zegarek i próbuję znowu zadzwonić do Idy. Tym razem odbiera prawie od razu. Słyszę, jak ciężko dyszy do słuchawki:

– Przepraszam, panie prezesie, jestem w drodze! Wsiadam do windy.

– Jak przyjdiesz, to od razu wchodź do gabinetu.

Oddycham głęboko.

Po chwili dzwoni Tomek z informacją, że Ida wysiadła z windy. Niemal równocześnie rozlega się pukanie: raz... dwa, trzy. W drzwiach pojawia się Ida w czarnej spódnicy i bluzce bez rękawów. Tej, która spodobała mi się w sklepie ze względu na długi suwak z przodu. Nie wiem, czy specjalnie, czy z pośpiechu, ale suwak jest rozpięty do takiej wysokości, że jeszcze centymetr niżej i byłoby nieprzyzwoicie.

*Czarny stanik?*

Podoba mi to, co widzę, w połączeniu z jej szybkim oddechem.

– Słucham. – Mój ton jest ostry, chociaż nie na Idę się gniewam.

*Jak spóźnienie pracownicy mogło zrobić ze mnie kłębek nerwów?*

– Przepraszam. Autobus się zepsuł w połowie trasy, kierowca próbował na szybko naprawić, ale nie dał rady. Kolejny przyjechał tak wyładowany ludźmi, że nie było jak wsiąść. Musiałam więc biec.

– Rozkłada bezradnie ręce, jakby nie mogła nic na to poradzić.

Marszczę brwi. Nigdy jej nie pytałem, jak się dostaje do pracy. Na pewno nie podejrzewałem, że przyjeżdża rowerem, ale nie wpadłem na komunikację miejską. Zapisuję sobie to w głowie. Teraz są ważniejsze sprawy.

– Nie mamy dzisiaj czasu do stracenia. Za dwie godziny spotkanie z dyrektorami w sprawie rozwoju na Rosję. Chcę, żebyś w tym uczestniczyła i przygotowała mi parę danych o tamtejszym rynku. Zabieramy się do pracy, kawa już i tak wystygła.



Dwie godziny później zjeżdżamy na dół, do sali konferencyjnej. Kiedy winda rusza, staję przed Idą i bez słowa podsuwam odrobinę do góry suwak jej bluzki. Lubię ten widok, ale wolę się nim

delektować sam, a nie dzielić ze zgromadzeniem dyrektorów. Zwłaszcza że większość z nich to mężczyźni. Dzięki temu mam okazję spojrzeć w jej dekolt z bliska; nie myliłem się co do stanika, jest czarny. Spoglądam Idzie przeciągle w oczy, sugestywnie przedłużając kontakt. Dobrze wyczułem czas – winda akurat się zatrzymuje i musimy wysiadać, co ucina wszelkie protesty, jakie Ida mogłaby wygłosić. Zmuszam się do myślenia o tym, co mam powiedzieć, żeby nie pojawić się na spotkaniu w towarzystwie erekcji.

Kiedy wchodzimy do sali konferencyjnej, rozmowy cichną. Jestem zadowolony. Udało się zgromadzić dyrektorów wszystkich działów, którzy mają wpływ na decyzyjność w firmie. Siadam na szczycie stołu i wygląda na to, że jest to jedyne wolne krzesło, choć Sylwia miała przygotować salę na spotkanie. Ida nie daje po sobie poznać, że coś jest nie tak, i jakby nigdy nic ustawia się po mojej prawicy. Rozglądam się za kawą, ale stół poza materiałami, które przygotowałem na spotkanie, jest pusty.

– Proszę czarną kawę z dwiema łyżeczkami cukru – zwraca się do Idy Nowicki, dyrektor do spraw zakupów.

Też chętnie napiłbym się kawy, ale nie chcę degradować jej roli na spotkaniu do czegoś takiego. Ida zaciska ręce na trzymanym notatniku.

*Co ty na to, moja wojownicza asystentko?*

– Ja poproszę cappuccino – odpowiada, patrząc dyrektorowi w oczy.

Chyba pierwszy raz ktoś tak odpyskował Nowickiemu, bo robi się cały czerwony. Uśmiecham się w duchu.

– Jak pani śmie! Niech pani ze mną nie dyskutuje, tylko natychmiast przyniesie mi kawę!

– Jeżeli ma pan ochotę na kawę, to proszę ją sobie zrobić albo poprosić osobę, która ma to wpisane w zakres obowiązków. Jeżeli nie

wie pan, jak obsłużyć ekspres, mogę pana poinstruować. Ale to po spotkaniu, bo teraz mamy ważniejsze sprawy.

Wszyscy obecni patrzą zszokowani na Idę, rozlega się nawet parę stłumionych parsknięć.

*Warto było ją zatrudnić choćby dla tej sceny.*

Dyrektor nadyma się jak balon i chyba go zapowietrzyło, bo tylko otwiera i zamyka usta, coraz bardziej czerwieniejąc.

*Zaraz mi tu zejdzcie na zawał i szlag trafi agendę spotkania.*

– Koniec – mówię zdecydowanym tonem i wybieram numer Sylwii. – Przynieś do konferencyjnej kawę, już. Plus jedno krzesło – rzucam do słuchawki.

*Później z nią odpowiednio porozmawiam.*

– Panie prezesie! Zostawi pan tak tę sytuację? Ta dziewczucha nie ma w sobie krzty szacunku! Ja sobie wypraszam!

Dyrektor unosi się na swoim krześle, opierając się dłońmi o stół. Wzdycham ciężko w myślach.

– Myli pan moją asystentkę z ekspresem do kawy. Nie wchodźmy w dyskusję, kto dla kogo nie ma szacunku. Sprawę uznaję za zamkniętą. Jeżeli ma pan jakieś uwagi, to zapraszam po spotkaniu do mojego biura – mówię tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Na obecnych pada blady strach. Powszechnie wiadomo, że zaproszenie na moje piętro nie wróży nic dobrego. Dyrektor chyba zrozumiał, bo w końcu się zamyka.

– Dobrze, w takim razie nie marnujmy więcej czasu i przejdźmy do meritum. – Wodzę spojrzeniem po wszystkich obecnych, upewniając się, że mam ich pełne skupienie. – Jak dobrze wiecie, Cardecki Investment jest już obecny u naszych zachodnich sąsiadów. Teraz przyszedł czas ekspansji na rynek wschodni, który jest stosunkowo nowy dla europejskich firm. Mamy na oku Rosję i Japonię. Na pierwszy ogień bierzemy kraj, który wydaje się łatwiejszy ze względu na mniejsze różnice kulturowe. Jako że zawojowanie rosyjskiego rynku samodzielnie byłoby trudne, razem

z dyrektorem do spraw inwestycji – kiwam głową Łukaszowi – poczyniliśmy wstępne rozeznanie co do możliwości znalezienia partnera biznesowego w interesującym nas obszarze. Rynek ten jest wart miliardy euro rocznie. Mamy więc o co zawalczyć. Pan dyrektor przedstawi szczegóły.

Zanim Łukasz ma okazję się odezwać, drzwi do sali konferencyjnej otwierają się i do środka wchodzi Sylwia, pchając wózek, na którym stoją dzbanki z kawą, a za nią podąża Dorota niosąca krzesło. Uwaga zebranych znowu zostaje rozproszona. Zauważam, że paru sprośnych dziadków zapuszcza żurawia w dekolty moich sekretarek, kiedy te nalewają kawę. Znowu wzdycham w duchu.

Pochyliam się w stronę Idy, która wreszcie siedzi koło mnie.

– Przedstawisz swoje dane po Łukaszu.

Kiwa tylko głową, cała spięta. Sylwia i Dorota wychodzą, a Łukasz w końcu zaczyna mówić. Wszystko, co ma do powiedzenia, już wiem. Gdy przychodzi kolej na Idę, ta w pierwszej chwili chce wstać, ale się powstrzymuje. Mówi spokojnie, wyraźnie i nie widać po niej zbyt dużego napięcia. Kiwam z zadowoleniem głową. Spotkanie zdaje się iść w dobrym kierunku. Moje zadowolenie nie trwa długo – pryska, kiedy Ida kończy i dochodzimy do wyników sprawdzenia wiarygodności firmy, z którą mielibyśmy stworzyć syndykat.

– Czerwona flaga pojawiła się w związku z podejrzeniami o nielegalny handel bronią – słyszę i tak właśnie miesiące przygotowań pryskają w jednej chwili.

Zamykam oczy i ściskam nasadę nosa.

*Kurwa! Mógłbym to zignorować. Podejrzenia to nie pewność.*

Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco.

– Dlaczego, do cholery, dowiaduję się o tym dopiero teraz? – Uderzam otwartą dłońią w blat stołu, od czego moja filizanka aż podskakuje.

Oczywiście nikt nie odpowiada na to pytanie.

*Pieprzone strusie, chowają głowy w dokumentach!*

– Znajdźmy pewne źródła na miejscu, niech poszperają we wszystkich brudach. Póki nie dostaniemy odpowiedzi, temat zawieszam – kończę spotkanie.

Szuranie krzesel, stłumione rozmowy, chrząknięcia. W końcu cisza. Zostaliśmy sami z Idą. Siedzę wpatrzony w blat stołu.

*Pieprzyć to. Mój projekt nie dostał jeszcze kulki w łeb.*

Ida siedzi spokojnie i tylko na mnie patrzy. W końcu wyrywa mi się z płuc westchnienie, po czym wstaję i wychodzę z sali. Dopiero w windzie orientuję się, że Ida nie poszła za mną.



Nie chcę jechać znowu w windzie z prezesem. Na wspomnienie tego, jak złapał za suwak zwisający między moimi piersiami i go zapiął, aż trzęsą mi się nogi. To była najbardziej erotyczna sytuacja w moim życiu. Gdyby chociaż nie popatrzył mi przy tym w oczy, mogłabym się oszukiwać, że był to wyraz troski. Nie wiem, ile czasu chodziłam z rozpiętą bluzką. Jednak w jego zielonym spojrzeniu widziałam, że chciałby rozpiąć ten suwak do końca. A później zabrać się za spódnice.

*W ciasnej windzie, gdzie mógłby mnie oprzeć o ścianę i zrobić ze mną, co by tylko chciał, bo moje ciało zrobiło się jak z waty. Do tego przecież ktoś mógłby nas zobaczyć...*

Jeszcze to spięcie z dyrektorem o kawę! Myślałam, że zemdleję, kiedy broniłam swojego stanowiska pod spojrzeniami wszystkich szyc z firmy. Muszę się czymś zająć. Dla ludzi ze spotkania jest normalne, że po wypiciu kawy zostawiają wszystko bez refleksji i po prostu wychodzą. Ze mną jest inaczej, mam odruchy kelnerki.



Zaczynam więc sprzątać filiżanki i talerzyki, układam je z powrotem na wózek.

– Obie sekretarki kochają się w prezesie, jak nic – parskam do siebie. – Mogłyby zabić za moje stanowisko. Ale się nie dam, nie wygryziecie mnie tak łatwo!

Poznawałam prezesa coraz bardziej podczas naszych poranków kawowych, jednak oboje unikaliśmy tematów prywatnych, jakby żadne z nas nie chciało się nimi dzielić. W końcu nie zwolnił nikogo z marketingu za tamtą reklamę, a kolejną wersję przyjął bez uwag i przyznał zaangażowanym premię za szybką realizację. Przekonywałam się też, że bez dwóch zdań ma poczucie humoru, chociaż nie zawsze potrafiłam ocenić, kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie. Tak jak wtedy, gdy stwierdził, że mam być jego księżniczką. Nie wiem, co do końca miał na myśli, jednak potraktowałam słowa o wprowadzeniu koloru do jego gabinetu dosłownie i wzięłam sobie do serca misję dekoratorki wnętrz. Zastanawiam się, jaka była jego reakcja na zmiany wprowadzone w jego gabinecie, bo nie dostałam żadnego komentarza zwrotnego, nawet uniesienia brwi. Wydanie funduszu reprezentacyjnego wymagało ode mnie przekopania się przez procedury korporacyjne Cardecki Investment i wizyty w księgowości.

*Ciekawe przeżycie. Bardzo... pouczające. Obawiam się momentu, kiedy będę potrzebowała nowego długopisu.*

Nie wiem, czy dyrektor do spraw zakupów czekał w pobliżu na okazję, aż będę sama, czy po prostu miał szczęście. Wszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz.

*To nigdy nie jest dobry znak.*

Dyrektor jest facetem po pięćdziesiątce, trochę siwiejącym i z wystającym brzuszkiem. Teraz uśmiecha się obleśnie, przez co wygląda jak uosobienie zboczeńca. Przesuwam się tak, że oddziela mnie od niego stół.

– Co, laluniu – dyrektor nie przebiera w słowach – myślisz, że jak sypiasz z prezesem, to wszystko ci wolno? Jesteś nikim! Zwykłym śmieciem z ulicy, który zdepczę butem. Jeszcze się przekonasz. Pożałujesz tego, że mnie ośmieszyłaś. Przyjdiesz do mnie na kolanach przeproszać, ale wtedy to nie kawę każę ci zrobić.

Jestem przerażona. Za to on śmieje się sprośnie, przechodząc na moją stronę stołu. Szybko go okrążam, dopadam drzwi, przekręcam klucz i uciekam. Na korytarzu zwalniam kroku i próbuję się uspokoić.

*Za dużo tego jak na jeden dzień!*

Moje serce nadal galopuje, a brzuch boleśnie ściska panika. Muszę się jakoś uspokoić. Zjeżdżam więc do stołówki na pączka i kawę, bo są takie dni, że nic innego nie pomoże. Cukier i tym razem nie zawodzi, kojąc skołatane nerwy.

*Czy powinnam komuś powiedzieć o groźbach dyrektora? Może Tomkowi?* – zastanawiam się, pochłaniając donata z posypką.

Gdzieś podświadomie mam nadzieję, że kolorowe kuleczki zamienią ciemne chmury, które kumulują się w moim wnętrzu, w radosną tęczę.

*Jestem pewna, że to był mobbing. Tylko nie mam świadków, więc to moje słowo przeciwko słowu dyrektora. Kiepsko.*

W kieszeni odzywa się moja komórka, ogłaszając nadejście wiadomości od prezesa.

Możesz iść dzisiaj wcześniej do domu. Dobra robota.

Waham się z wysłaniem odpowiedzi. Prezes pokładał w tym projekcie naprawdę dużo nadziei. Nie chcę zostawiać go z tym samego. Wracam więc na górę i pukam do gabinetu. Prezes siedzi w fotelu z odchyloną głową i zamkniętymi oczami. Wygląda na wyczerpanego i zrezygnowanego.

*Czy byłoby dziwne, gdybym go przytuliła?*

– Nie przeczytałaś wiadomości? Idź do domu. – Jakoś zgaduje, że to ja.

– Przeczytałam. Chciałam się najpierw upewnić, że u pana wszystko w porządku.

Otwiera oczy i patrzy na mnie zmęczonym wzrokiem.

– Dlaczego miałoby nie być w porządku? To tylko mała przeszkoda. Tworzy opóźnienie, nic więcej.

Spoglądam na niego badawczo. Jego mowa ciała wyraża coś innego niż słowa.

– Chce pan mimo wszystko sfinalizować ten kontrakt?

To nie będzie krótka rozmowa, siadam więc na kanapie. Zapomniałam utrzymać dystans i zajęłam miejsce zaraz przy fotelu, ale nie będę się przecież teraz zrywać w popłochu i odsuwać. Prezes patrzy na mnie długo. Zieleń jego oczu jest teraz głęboka, prawie brązowa. Za blisko! – alarmują moje czujniki zbliżeniowe. Prezes wzrusza ramionami, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Wiesz, ile czasu i środków już zainwestowałem w umowę z Ruskimi? Razem z Łukaszem siedzimy w tym projekcie od dawna. Jeżeli teraz nie wypali, to jesteśmy co najmniej sześć miesięcy i okrągłą sumkę do tyłu.

– Nie, panie prezesie – mówię z naciskiem. – Nie za cenę swojego sumienia.

Nagle on znajduje się tuż obok. Szybko wstał z fotela i teraz góruje nade mną, opierając dłonie na oparciu kanapy po obu stronach mojej głowy. Pochyla się tak, że nasze twarze są niebezpiecznie blisko, a ja nie widzę nic poza zielenią.

– Dlaczego nie? Nasz biznes będzie w pełni legalny. Co mnie interesuje, jakie układy mają na boku? Czym handlują i z kim? W biznesie nie ma miejsca na sumienie.

Oczy prezesa świdrują moje, prześlizgują się po twarzy i zatrzymują dłużej na ustach. Przelykam z trudem ślinę, bo jego

bliskość powoduje, że wszystkie moje emocje skupiają się w dole brzucha.

– Po to mnie pan zatrudnił. – Staram się zachować rozsądek. – Właśnie dla takich sytuacji. W końcu mogę być przydatna i zastopować szaleństwo, w które chce się pan wpakować. Z jakiego powodu? Dla pieniędzy? – Parskam, starając się brzmieć zdecydowanie. – Dla podbudowania ego?

Oblizuję nerwowo usta, na co jego oddech lekko przyśpiesza.

– Zróbmy to – mówię, a jego oczy znowu odnajdują moje – ale zróbmy to tak, jak należy. Dzięki temu oboje będziemy mogli spać w nocy.

– Zróbmy to, ale nie chcę, żebyśmy spali w nocy – odpowiada, a ja wiem, że jego myśli niekoniecznie są teraz przy projekcie.

Sama mam problem z koncentracją. Moja zdradziecka wyobraźnia podsuwa pytania o miękkość i smak jego ust.

*Czy jęknąłby, gdybym go teraz pocałowała...?*

– Japonia? – Chcę wrócić jednoznacznie do głównego tematu, bo zdaję sobie sprawę, że jesteśmy na kursie ku katastrofie.

– Mhm – mruczy tylko, nie zamierzając zmienić pozycji.

Nie pomaga. Kładę rękę na jego przedramieniu, próbując je poruszyć. Bez szans, jakbym siłowała się ze skałą. Do tego dotyk jego skóry parzy nawet przez materiał koszuli.

– Skoro mamy to ustalone, to proszę mnie puścić – mówię, ale on uśmiecha się szelmowsko, zmniejszając dystans między naszymi twarzami o kolejne milimetry.

Na moich policzkach pojawiają się rumieńce, a tętno przyśpiesza i dudni w uszach.

*O raju...*

Zaciskam uda, zdając sobie sprawę, że moje ciało reaguje po swojemu i nie miałoby nic przeciwko, gdyby prezes chciał wykorzystać przewagę fizyczną, jaką ma nade mną. Próbuję się desperacko ratować i staram się wyrównać oddech. Wpatruję się

z uporem w jego policzek, bo zarówno oczy, jak i pełne usta są dla mnie zgubą.

– Miałam iść do domu, prawda? – pytam, choć sama słyszę, jak niepewnie brzmi mój głos.

Zaczynam wpadać w panikę, że prezes bardzo dobrze zna moją słabość. Wie, co się ze mną dzieje, i dobrze się przy tym bawi. Podpuszcza, czeka, aż dam się omamić, a kiedy ulegnę, będzie triumfować. Odkąd zostałam nastolatką, mama powtarzała mi, że są mężczyźni, od których należy trzymać się za wszelką cenę z daleka. Wiedziała, co mówi, bo była samotną matką i to nie z wyboru. Teraz, kiedy ulegam czarowi prezesa, wiem, jaki dokładnie typ mężczyzn miała na myśli.

– Proszę?

*Proszę, puść mnie, zanim się na ciebie rzucę!*

Słyszałam, co o nim mówią, i nie chcę zostać jedną z wielu kobiet, które zaliczył.

W końcu wolno odrywa jedną rękę od kanapy i pieszczotliwym gestem zakłada mi włosy za ucho.

– Idź do domu – mówi, odwracając się do mnie plecami.

Siada za biurkiem i wpatruje się w monitor, jakby nigdy nic. Chwilę zajmuje, aż moje ręce i nogi odzyskują sprawność i jestem w stanie podnieść się z kanapy. Na pożegnanie prezes dodaje:

– A jeszcze lepiej idź wyrobić sobie paszport. Lecimy do Japonii.



Oczywiste jest, że od razu gnam jak na skrzydłach zrobić zdjęcie do paszportu. Nigdy nie byłam za granicą! Do tego Japonia jest jednym z niewielu miejsc, które przyciągają mnie swoją magią. Dla niektórych będą to plaże z przejrzystą lazurową wodą, dla innych

niedostępne górskie szlaki, ale dla mnie spełnieniem marzeń jest pobyt w Kraju Kwitnącej Wiśni.

Następnego dnia do firmy docieram spóźniona z powodu wizyty w urzędzie, ale za to szczęśliwa, że udało mi się załatwić wszystkie formalności. Szklanych drzwi pilnuje tylko Wojtek, co może oznaczać, że Tomek siedzi w pokoju dla ochrony albo wyszedł z naszym szefem.

Jakiś czas temu wygłupiłam się w rozmowie z prezesem, kiedy stanęłam w obronie ochroniarzy. Zarzuciłam mu niehumanitarne traktowanie pracowników, którzy muszą cały dzień stać pod drzwiami.

– A gdzie przerwa, jedzenie czy chociażby krzesło? Umarłabym w takiej pracy po dwóch dniach!

Prezes popatrzył na mnie poważnie. Przyznał mi rację i zaproponował napisanie oficjalnej skargi.

– Nie zapomnij uwzględnić informacji, że ochroniarze mają szpilki wbite w kołnierzyki, żeby cały czas stali na baczność. – Pokręcił głową z niesmakiem. – Doprawdy niehumanitarne.

Po czym, kiedy ja gapiłam się na niego wielkimi oczami, wybuchnął śmiechem. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko do niego dołączyć i wyśmiać moją głupotę, choćby do łez.

Teraz już wiem, że koło wind jest pomieszczenie, w którym ochroniarze mają nie tylko krzesła, lecz także toaletę i lodówkę. No i całą ścianę w monitorach, dzięki czemu widzą, co się dzieje w budynku. Podobno tylko w gabinecie prezesa nie ma kamer.

*Ciekawe dlaczego...?*

Na myśl, że ktoś mógłby oglądać, jak wczoraj wiłam się na kanapie, nie potrafiąc uciec przed czarem prezesa, robi mi się gorąco.

Uśmiecham się do Wojtka, przechodząc przez szklane drzwi, ale u tego faceta i tak jestem na straconej pozycji. Nie tylko u niego. Obie sekretarki piorunują mnie wzrokiem, a jad aż z nich kapie.

Wyobrażam sobie, jak wyżera dziurę w podłodze przez dwadzieścia sześć piętér, przepalając wszystko, co napotka na drodze. Sylwia nie daje mi nawet odłożyć torebki, tylko od razu rzuca się do ataku.

– Wiesz, co narobiłaś?! Przez ciebie prezes wezwał mnie do siebie. To wszystko twoja wina. Nie mogłaś po prostu zrobić tej kawy? Korona by ci z głowy spadła? Uważasz się za lepszą czy co? – Rozkręca się coraz bardziej, aż w końcu na mnie krzyczy: – Popatrz na siebie! Na pewno ktoś taki jak ty nie jest od nas lepszy. Nie wiem, jak zdobyłaś stanowisko asystentki, ale ta posada powinna być moja!

– Widocznie czegoś ci brakowało, skoro nie zostałaś asystentką. Z tego, co wiem, to twoim obowiązkiem jest parzenie kawy. Moim na pewno nie jest zmiatanie twojej niekompetencji pod dywan.

Czerwone usta Sylwii otwierają się, tworząc okrągłe „O”, bo chyba się nie spodziewała, że jej odpyskuje.

– Jesteś bezczelna! Jeszcze mnie popamiętasz. Nie dam ci żyć. Nie wiesz, z kim zadarłaś! – Trąca mnie w bark, aż zataczam się na biurko. – Będziemy cię męczyć i dręczyć każdego dnia. Pożalujesz nie tylko, że tutaj pracujesz, ale w ogóle, że żyjesz!

*Ile jeszcze osób będzie mnie zastraszać? Mam dosyć. Mam po prostu dosyć!*

– Hej, prezes idzie! – ostrzega Dorota półgłosem.

Nie interesuje mnie to, jestem już w drodze do szklanych drzwi. Mijam pędem prezesa, ignorując to, że woła mnie po imieniu. Wpadam do windy dla VIP-ów, która nie zdążyła się jeszcze za nim zamknąć. W pierwszej chwili chciałam uciec z budynku. Iść gdzieś w miasto, pomyśleć. Ale zdaję sobie sprawę, że mogę w ten sposób narobić sobie tylko kłopotów. Jadę więc do pokoju odpoczynku. Zamykam drzwi boksu i chociaż nie chcę, to wybucham płaczem. Dobrze, że na wyposażeniu jest pudełko chusteczek; po moich odwiedzinach będzie puste.

*Uciekłaś jak jakaś głupia koza. Wyszło na to, że Sylwia wygrała!*

Jestem na etapie szlochania i użalania się nad sobą, kiedy do drzwi mojego boksu ktoś puka.

– Zajęte – mówię niewyraźnie.

– Ida, chodź na kawę. – Słyszę głos Tomka.

Otwieram drzwi i chyba wyglądam okropnie, bo ochroniarz mówi:

– Ogarnij się, poczekam w stołówce.

Kiedy dziesięć minut później pojawiaam się w stołówce, czeka już na mnie duży kubek kawy i pączek.

– Dzięki. Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

– Zapominasz o technologii szpiegowskiej, jaką tu dysponujemy. Po tym, jak prezes kazał mi cię odszukać, przejrzałem wszystkie kamery. W boksach nie są zainstalowane, ale jest widok ogólny na pokój odpoczynku.

*No jasne, że prezes kazał mnie szukać, skoro oddaliłam się z miejsca pracy bez słowa i do tego jawnie go zignorowałam.*

Wzdycham, bo dołożyłam sobie jeszcze konieczność tłumaczenia się.

– Przejrzałem też kamerę z biura. Rejestruje audio. Nie pokazałem prezesowi, chciałem najpierw zapytać ciebie, co chcesz z tym zrobić.

*W ciągu dwóch dni groziły mi już dwie osoby, moja popularność rośnie. Jak tak dalej pójdzie, to dorobię się na wejściówkach na własną egzekucję.*

Mimo wszystko kręcę głową.

– Nic. Była zła. Normalnie nie pozwoliłabym się w ten sposób potraktować ani by mnie to tak nie ruszyło, ale... – Nie chcę chyba tłumaczyć Tomkowi wszystkich „ale”, wzruszam więc tylko ramionami, niech resztę dopowie sobie sam. – Znasz to powiedzenie o cytrynach? „Jeżeli życie daje ci cytryny, to zrób z nich lemoniadę”. Próbuję się do tego stosować. Czasami mam wrażenie, że cytryny, które przypadają mi w udziale, składają się w najlepszym razie



w trzech czwartych z samej twardej skórki. Mojej lemoniady jest niewiele, a do tego jest gorzka.

Tomek patrzy na mnie poważnie. Widzę po jego spojrzeniu, że rozumie.

– Chcesz iść na piwo? – pyta znienacka. – Jutro sobota. Prezes nie ma nic w grafiku, więc oboje jesteście wolni.

– Zgoda, ale tylko jeżeli do piwa będzie duża pizza z podwójnym serem!



Chcę racuchy na śniadanie. Ta myśl towarzyszy mi już od poprzedniego wieczoru. Tym bardziej że pora śniadaniowa wypada u mnie bliżej obiadu. Zabieram się więc radośnie do przygotowania ciasta. Jaja, mleko i... nie mam mąki.

*No oczywiście, że nie mam mąki. Gdybym chciała jajecznicę, to nie byłoby jajek.*

Wzdycham, bo nie chce mi się ubierać, żeby iść do sklepu. Wybieram więc opcję awaryjną. Narzucam bluzę na piżamę, zakładam trampki i w drzwiach wracam się jeszcze po miskę, żeby mieć w czym zabrać mąkę.

– Pani Helenko! – walę do drzwi naprzeciwko, bo wiem, że dzwonek nie działa, a pani Helenka jest trochę przygłucha.

– O, to ty, dziecko. Wejdz, wejdz. – Wpuszcza mnie do mieszkania, które jest bliźniaczym odbiciem mojego.

Za każdym razem wchodzę do niego jak do krainy z bajki, bo pani Helenka gustuje w dywanikach, serwetkach, poduszkach i figurkach kotków. Jej mieszkanie nadawałoby się do katalogu z wystrojem dla staruszek.

– Cześć, Pankracy – witam się z czarnym kotem z białymi skarpetkami, który ociera się o moje nogi.

Głaszczę go pod brodą i dostaję pochwałę w postaci mruczenia.

– Pani Helenko, zabrakło mi mąki. Ma pani trochę pożyczyć? Odkupię całe kilo, jak pójdę na zakupy – krzyczę, żeby usłyszała.

Zaprasza mnie gestem do kuchni. Chyba właśnie robi przetwory, bo wszędzie stoją słoiczki, a z garnka na piecu smakowicie pachnie. Pani Helenka schyla się powoli, podpierając ręką o blat, i wyciąga z szafki pudełko z mąką.

– Bierz, dziecko, ile chcesz. Na zdrowie.

Jestem w trakcie ostrożnego przesypywania mąki, kiedy rozlega się głośny huk, a świat podskakuje. Po czym zapada ciemność.

## ROZDZIAŁ 4



Ziewam szeroko i przeciągam się w łóżku. Dzisiejszy dzień mam zamiar wykorzystać na same przyjemności. Układam w głowie plan na najbliższe godziny – jajecznicza, prysznic, bieganie, kolejny prysznic, a później się zobaczy. Obowiązkowo muszę zorganizować wieczorne wyjście do klubu, bo brak kobiety sprawia, że wariuję i przesadnie reaguję na Idę. Szukam kontaktu, jej wzroku i uśmiechu, jakby była jedyną na świecie.

*A jest po prostu kobietą, z którą spędzam najwięcej czasu. To dlatego zachowuję się przy niej jak napalony szczeniak.*

Po śniadaniu siadam z kawą do laptopa, mam jeszcze parę zaległych maili z wczoraj. Nic wielkiego, nie będę spędzał wolnej soboty na pracy. Jedna z wiadomości po angielsku przykuwa moją uwagę, nie zauważyłem jej wcześniej. Nadawcą jest właściciel firmy, z którą mieliśmy podjąć współpracę w Rosji.

– Co za skurwysyn – mamroczę do siebie, bo po cenzurze niewiele zostaje z treści.

Poza kolorowymi epitetami mail sprowadza się do groźby, że pożałuję cofnięcia słowa i poniosę konsekwencje zerwania naszych rozmów. Nie są to pierwsze pogroźki, jakie dostaję, nie robią więc na mnie specjalnego wrażenia.

– *Go fuck yourself*, Borys.

Klikam „usuń” i przechodzę do następnego maila, tamtemu nie poświęcając już uwagi.

Jakiś czas później jestem w stroju do biegania. Wkładam słuchawki do uszu i szukam odpowiedniej muzyki, kiedy dzwoni Tomek.

– Ida jest w szpitalu. W jej budynku był wybuch – rzuca szybko.

*O kurwa!*

– Przyjedź po mnie, wychodzę na zewnątrz.

Nie mija pięć minut i Tomek zwija mnie z chodnika.

– Co jeszcze wiesz? – pytam zamiast powitania.

– Nic. Nie wiem, w jakim jest stanie.

– Skąd masz tę informację?

Chwila ciszy. Bardzo krótka, ale zdradza jego wahanie.

– Byliśmy umówieni. Kiedy nie przyszła, podjechałem pod jej dom. Na miejscu była straż pożarna. Część budynku się zawaliła. Przeczesują gruzy. Powiedzieli mi tylko, do jakiego szpitala ją zabrali.

Przez resztę drogi się nie odzywamy. W szpitalu podaję się za brata Idy i szybko zdobywam informację, gdzie ją znajdziemy. Leży na izbie przyjęć. Ma lewą rękę na temblaku, obandażowane udo, zadrapania na twarzy i opatrunek na czole. Jest w brudnym, miejscami podartym ubraniu, ale poza tym wydaje się, że wszystko z nią w porządku. Wypuszczam wstrzymywane powietrze i rozluźniam napięte ramiona. Ida zauważa Tomka i woła do niego, machając energicznie zdrową ręką. Próbuje niezdarnie wstać z łóżka, ale Tomek wstrzymuje ją, chwytając za ramię. Ja jestem przeźroczysty, bo nie zwraca na mnie w ogóle uwagi.

– Nie wstawaj – mówi Tomek i przysiada obok niej na łóżku.

Ida rzuca mu się na szyję, obejmuje go mocno i zaczyna cicho szlochać.

– Zabierz mnie stąd, proszę.

– Dobrze – odpowiada Tomek, oplatając ją ramionami.

Na ten widok czuję się, jakbym dostał cios w brzuch.

– Pamiętasz cytryny? – pyta Tomek. Nie wiem, o czym mowa, ale ona zdaje się rozumieć, bo kiwa głową. – Zrobiłem rozeznanie. Takie cytryny z mnóstwem skórki nie są do końca bezużyteczne. Możesz je pociąć na plasterki i ususzyć jako ozdoby na Boże Narodzenie.

Ida, chociaż cała we łzach, zaczyna nerwowo chichotać, a po chwili śmieje się już na głos.

*Niech to jasna cholera!*

Chciałem dzisiaj wyjść na miasto, żeby się zabawić i o niej zapomnieć. Zamiast tego jestem w szpitalu, widzę ją w ramionach innego faceta i aż skręca mnie z zazdrości. Wszystko we mnie krzyczy „moja” i to do tego stopnia, że chcę zdzielić Tomka w twarz za to, że się nie odsunął, tylko trzyma ją za rękę i patrzy z głupkowskim uśmiechem, jak ona chichra się coraz bardziej histerycznie. Wiem, że nie miałbym z nim szans w bójce, mimo to pięści same się zaciskają. Nie zdawałem sobie sprawy, że Ida i Tomek utrzymują kontakt również po pracy.

*To powinienem być ja. Ja powinienem ją przytulać, pocieszać i powodować takie wybuchy wesołości.*

Zdaję sobie sprawę, jak żalosna jest zazdrość w tej sytuacji. I jak bardzo irracjonalne są moje myśli. Wolę się nie zastanawiać, dlaczego reaguję w ten sposób. Obawiam się, że coś się we mnie zmieniło, odkąd pierwszy raz zobaczyłem Idę, kiedy lądowała w moich ramionach w towarzystwie zupy i kapusty. Jednak ubranie tego w słowa przeraża mnie do tego stopnia, że zakopuję ten temat głęboko.

Chrząkam głośno. Chcę przerwać tę intymną bańkę, w której się znajdują. Tomek przypomina sobie, że też tutaj jestem, i jak oparzony wstaje z łóżka. Ida patrzy na mnie, przechyla głowę na bok i lustruje mnie od stóp do głów.

– Pan prezes? – pyta z wielkim znakiem zapytania.

Moje nogi nie chcą się ruszyć, żeby do niej podejść. Rzucam więc, że pójde porozmawiać z lekarzem, i uciekam.



– Czy to był prezes? W koszulce i adidasach? Bez garnituru? – Moje niedowierzanie sięga zenitu. – Bo wiesz, ja się trochę uderzyłam w głowę...

– Dobrze widziałaś. Prezes po pracy nie jest już taki... prezesowaty – mówi Tomek z szerokim uśmiechem.

– Są na tym świecie dziwy... – Kiwam w zamyśleniu głową, nie mogąc uwierzyć, że prezes nie śpi w wykrochmalonej koszuli z kołnierzykiem. – Tomek, dzięki, że się pojawiliście. Nie wiedziałabym, co mam ze sobą zrobić. Pożycz mi komórkę, muszę zadzwonić do koleżanki, żeby po mnie przyjechała.

Pod powiekami zbierają się kolejne niechciane łzy, więc mrugam szybko, żeby je odpędzić. Tomek uśmiecha się do mnie łagodnie.

– Poczekajmy na prezesa i na to, co powiedzą lekarze. Czy w ogóle cię stąd wypuszczą.

Nie czekamy długo, bo po chwili wraca prezes, a w ręce ma reklamówkę.

– Możesz opuścić szpital. Obiecałem obserwować, czy nie masz objawów wstrząśnienia mózgu. Poza tym trzeba regularnie zmieniać opatrunki na nodze. Za tydzień kontrola i zdjęcie szwów. Nie

będziemy teraz czekać na wypis. Przebierz się – mówi, rzucając mi na kolana reklamówkę.

Zaglądam do środka: czarny dres, koszulka, majtki. Patrzę na niego z niedowierzaniem.

*Kupił mi majtki?*

Chyba rozumie moje spojrzenie.

– Tylko to mieli w szpitalnym sklepiku. – Wzrusza ramionami, bo nie ma co robić z tego afery. – Dasz radę dojść do łazienki, żeby się przebrać?

Próbuję się podnieść. Spuszczam nogi za krawędź łóżka i czekam chwilę, aż miną zawroty głowy. Tomek klęka i zakłada mi trampki, z czego jeden jest sztywny od zakrzepłej krwi. Prawa noga, lewa i stoję niepewnie. Tomek łapie mnie pod łokieć i próbujemy iść. Prezes przygląda się całej scenie ze zmrużonymi oczami.

*Przepraszam, że rozczarowuję pana prezesa brakiem sprawności. Jutro będę skakać jak koziczka, ale dzisiaj proszę mi dać taryfę ulgową dla kulawego leniwca.*

Na szczęście łazienka jest niedaleko. Przebieram się w dres. Moje ubranie jest brudne i zniszczone, więc bez żalu wyrzucam je do kosza; i tak źle by mi się kojarzyło. Kiedy wychodzę z łazienki, czeka na mnie wózek inwalidzki. Siadam bez komentarza, bo inaczej dojście do samochodu zajęłoby nam wieczność. Przypomina mi się, że nie zadzwoniłam do Agi.

– Tomek, komórka?

Próbuję się obrócić, żeby spojrzeć do tyłu, i ze zdziwieniem odkrywam, że mój wózek pcha prezesa w jego małe prezesowym wydaniu.

– Tomek poszedł przyprowadzić samochód pod wejście. Nie musisz do nikogo dzwonić. Zajmę się tobą.

Moje brwi wędrują w górę ze zdziwienia i implikacji, jaką niesie za sobą takie stwierdzenie.

– Jaki byłby ze mnie prezes, gdybym nie zadbał o pracownicę w takim stanie – dodaje i znowu wzrusza ramionami.

Wzrok ma skierowany przed siebie, nawet na mnie nie patrzy. Nie wiem więc, jak bardzo jest niezadowolony z takiego obrotu sprawy. Gniecie mnie w środku poczucie winy, że jestem dla kogokolwiek ciężarem. Zwłaszcza dla niego.

– OK – mówię po prostu, bo nie jestem w stanie się teraz sprzeczać.

Na każde wspomnienie wybuchu mam ochotę się rozpłakać. Znowu próbuję odegnać łzy i wycieram oczy rękawem.

Podróż przez Warszawę wydaje się surrealistyczna. Wszyscy ci ludzie na ulicach, światła, samochody. Obrazek taki jak zazwyczaj. Trzymająca się za ręce para na przejściu dla pieszych. Matka pchająca wózek. Roześmiane nastolatki w za krótkich spódniczkach i makijażu. Dźwięk klaksonu. Jakby nic się nie stało. Wszyscy oni żyją swoim życiem, nieświadomi albo znieczuleni na to, że czyjś świat się właśnie zawalił. Dosłownie i bezpowrotnie.

Świat zewnętrzny znika w tyle, kiedy zjeżdżamy na podziemny parking. Tomek pomaga mi wysiąść z samochodu i razem kuśtykamy do windy. Prezes wybiera piętro. Jest to na pewno jakiś luksusowy budynek, widać to po samej windzie i korytarzu, którym idziemy niemal do samego końca. Prezes wyciąga swoją czarną kartę, przytyka ją do czytnika obok drzwi, następnie wprowadza sekwencję cyfr i przykłada palec.

*Nieźle zabezpieczenia. Chyba zobaczę, jak wygląda Fort Knox.*

– Wejdz. Czuj się jak w domu, bo póki co tutaj będziesz mieszkała.

Znajdujemy się w szerokim korytarzu. Po jednej stronie ciągnie się zabudowa szaf z lustrzanymi, przesuwnymi drzwiami. Widzę w nich niezłą ekipę: łysy osiłek w bojówkach i koszulce z logo jakiegoś zespołu, której za ciasne rękawki nie są przystosowane do takiego rozmiaru bicepsów, superprzystojny facet w antracytowej



sportowej koszulce, obcisłych kalesonach i założonych na wierzch krótkich spodenkach oraz czarownica w czarnym dresie, z kołtunami na głowie, poharataną twarzą i ręką na temblaku. Wrywa mi się krótki nerwowy chichot.

*Oto trzęsący światem biznesu prezes Cardecki i jego najbliżsi współpracownicy, bójcie się!*

Wchodzimy głębiej do mieszkania i opada mi szczęka. Pomieszczenie jest ogromne. Cała przestrzeń jest otwarta, bez choćby jednej ścianki czy przedzielenia. Hol, salon i kuchnia w jednym – tak jakby moje mieszkanie w skali 5 XL. Po bokach widzę drzwi do dalszych pomieszczeń. Całość jest utrzymana w nowoczesnym stylu, ale nie mam teraz siły przyglądać się detalom. Kuśtykam przez kilka kilometrów marmurowej posadzki do wielkiego, czarnego narożnika, który stoi na środku, i ciężko na niego opadam. Wszystko mnie boli. Chcę się zwinąć w kłębek i zasnąć.

– Kiedy ostatnio jadłaś? – pyta prezes.

– Chyba wczoraj...

Patrzy na mnie surowo i kieruje się do kuchni. Po chwili słysząc pischczenie kuchenki mikrofalowej. Tomek gdzieś zniknął.

– Jedz – mówi prezes i stawia przede mną na stoliku miskę z parującą zawartością.

Biorę posłusznie łyżkę i staram się trafić nią do ust, jednak ręka nie chce mnie słuchać. Zaczyna się trząść, przez co zupa ląduje na spodniach. Próbuję jeszcze raz, ale tylko wybijam dzwoniący rytm o ściankę miski. Cała się trzęsę. Wszystko do mnie wraca, wszystkie emocje i przeżycia. Napięcie próbuje znaleźć ujście. Nie chcę o tym myśleć, ale to wygląda tak, jakby pamięć próbowała pozbyć się niechcianych obrazów, więc mnie nimi zalewa.

*Pani Helenka...*

Prezes patrzy na mnie bezradnie. Zaczynam płakać. Zasłaniam twarz rękami, bo nie chcę, żeby mnie taką widział. Zamiast się

uspokajać, mój płacz przechodzi w wycie. Kanapa się ugina, a prezes przyciąga mnie do siebie. Tuli do klatki piersiowej i głaszcze po włosach. Pachnie mydłem. Moczę go łzami, bo bliskość drugiego człowieka tylko wzmacnia płacz. Im bardziej próbuję się powstrzymywać, tym bardziej rozpaczliwy staje się mój lament.

– Wypłacz się, wyrzuć to z siebie. Jestem tutaj, wszystko będzie dobrze – powtarza jak mantrę.

O dziwo, to działa. W końcu uspokajam się na tyle, że przypominam sobie coś ważnego.

– Cz mona t mie kta? – pytam między spazmami.

– Słucham?

– Czy można t mieć kta? – powtarzam, jak najwyraźniej potrafię, dalej do niego przyklejona. Chyba nie zrozumiał, więc zbieram się w sobie, odsuwam od jego klaty, pociągam nosem i próbuję jeszcze raz: – Czy można tu mieć kota?

– Kota?

– Kota. Zwierzę. Nie wszędzie można.

Prezes patrzy, jakby rozważał, czy nie zabrał mnie ze szpitala za wcześnie.

– Rozmawiałem ze strażą pożarną. Jutro będzie można wejść na miejsce i zabrać ocalałe rzeczy. Budynek będzie prawdopodobnie do rozbiórki. – Głos Tomka odzywa się gdzieś z tyłu.

Obchodzi kanapę i zauważa mnie zaryczaną w ramionach prezesa.

– Wszystko w porządku?

– Ida chce kota...

Prezes przeczesuje włosy dłonią w geście zakłopotania.

– Kota? – Tomek też wygląda na zszokowanego.

Kiwam głową.

– Bo pani Helenka... – Znowu zaczynam płakać, na co prezes kładzie mi rękę na barku. Zaczyna ze mnie wypływać potok słów: – Poszłam do niej po mąkę... i wtedy był ten huk, i nie wiem co dalej,

bo musiałam stracić przytomność. Kiedy się ocknęłam, leżałam na ziemi z kawałkiem szkła w udzie. Chyba ze słoika, bo pani Helenka robiła przetwory. Takie przepyszne dzemy i powidła. A ona... – Znowu zaczynają mną wstrząsać dreszcze. – A pani Helenka leżała obok, a głowę miała... tyle krwi...

Czuję, jak żółć podchodzi mi do gardła, zrywam się z kanapy, przytrzymując usta dłonią, i jak mogę najszybciej, biegnę w stronę zlewu. Niewiele zjadłam, więc wstrząsają mną suche torsje.

Wycieram usta papierowym ręcznikiem i spłukuję zlew.

*Fuj.*

– Przepraszam – mówię i osuwam się po szafce kuchennej w dół tak, że siadam na ziemi.

Chyba się już dosyć wypłakałam, bo teraz zawładnęła mną obojętność, choć łzy nadal spływają po policzkach. Wlepiam wzrok przed siebie.

– Wołałam o pomoc, ale nikt nie słyszał. Doczołgałam się do niej i sprawdziłam, czy oddycha. Widziałam wystarczająco wiele seriali, żeby wiedzieć, że z takim urazem nie miała szans. Część szafek kuchennych spadła ze ścian. Przypuszczam, że to ją... że tym... – Pociągam znowu nosem. – Po chwili przyszedł Pankracy. Powąchał panią Helenkę i zamiauczał tak żałośnie, tak rozdzierająco, że pękło mi serce!

Na to wspomnienie znowu zaczynam łkać. Prezes i Tomek patrzą na mnie ze współczuciem.

– Wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim usłyszałam syreny. Kolejna, zanim strażacy do nas dotarli. Pankracy zwinął się na mnie w kłębek, było mi tak strasznie zimno, ale patrzył cały czas na ciało pani Helenki i cicho miauczał... – Przerywam i obcieram łzy ręcznikiem. Oddycham głęboko i kończę już spokojnie: – Dlatego chciałabym go zabrać. Pankracego. Kiedy pakowali mnie do karetki, nie mógł ze mną jechać. Miał trafić do schroniska. Nie mogę go tak zostawić. Jestem to winna pani Helence!

Patrzę błagalnie na prezesa. Ten spogląda na zegarek.

– Jest już późno, schronisko pewnie zamknięte... Odnajdziemy go jutro.

– Dzisiaj! – Wstaję z podłogi. – On się tam na pewno boi!

*Nie może zostać sam na noc!*

– Zadzwoń do schroniska – mówi Tomek. – Jeżeli się uda, to pojedę po niego od razu.

Uśmiecham się do niego z wdzięcznością.

– Dobrze, Tomek to załatwi, ale pod warunkiem, że zjesz chociaż trochę zupy. Później weźmiesz prysznic i pójdziesz spać – mówi prezes jak do małego dziecka.

Odgrzewa po raz kolejny zupę, po czym przelewa ją do kubka, eliminując problem dzwoniącej łyżki. Wypijam parę łyków. Miło rozgrzewa mnie od środka.

– Jadę! – woła Tomek i słysząc trzaśnięcie drzwi.

*Oby Pankracemu nic nie było!*

Wypijam zupę do końca.

– Skończyłaś? Zaprowadzę cię do łazienki.

Prezes prowadzi mnie do pierwszych drzwi koło kuchni. Pomieszczenie okazuje się nie tyle łazienką, ile pokojem kąpielowym z wielkim prysznicem na co najmniej trzy osoby, stojącą na środku wanną i leżanką.

– Tutaj masz ręczniki i ubranie na zmianę. Nie pomyślałem, żeby kupić w szpitalu piżamę. Jutro niedziela niehandlowa, ale zajmiemy się ubraniami dla ciebie w poniedziałek. Dasz sobie radę?

– Dziękuję – mówię po prostu. – Z kąpielą jest tylko jeden problem, nie mogę zamoczyć szwów.

Patrzę na niego z zakłopotaniem. Prezes marszczy brwi z zastanowieniem, po czym rzuca, żebym poczekała. Wraca z rolką przezroczystej folii kuchennej i mi ją wręcza.

– Dasz sobie radę? – pyta ponownie.

Oceniam technikę zawijania uda i niestety muszę przyjąć jego pomoc. Wprawdzie nie złamałam ręki, ale boli, przez co nie umiem nią ruszać.

– Nie. – Oddaję mu folię.

Trochę niezręcznej ciszy później mamy za sobą niepatrzenie sobie w oczy, kiedy klęczał przede mną i zabezpieczał opatrunek folią. Zdjęłam tylko jedną nogawkę, a całe spodnie trzymałam mocno, żeby ta czynność była chociaż trochę mniej krępująca i bardziej przyzwoita.

Prysznic jest cudowny. Czuję, jak z brudem spływa ze mnie większa część napięcia. Wygadanie się też pomogło. Cieszę się, że żyję i mogę się delektować tą nieprzyzwoicie długą kąpielą. Wycieram się ręcznikiem przyniesionym przez prezesa i oglądam ubrania. Są to męskie szare spodnie od dresu i czarna koszulka z długim rękawem. Prezes chyba stał pod łazienką, bo kiedy wychodzę, od razu prowadzi mnie do drzwi naprzeciwko.

– Tutaj jest twój pokój.

Pokój, jak wszystko tutaj, jest bardzo duży. Mieści szerokie łóżko z tapicerowanym zagłówkiem, biurko, komodę, stół z dwoma krzesłami i trzydrzwiową szafę. Jedyne zapalone światło to lampka na stoliku nocnym. Okno jest zasłonięte roletami. Beżowa kolorystyka i jasne meble sprawiają ciepłe, przytulne wrażenie. Teraz mnie to nie interesuje, chcę tylko spać. Prezes zdaje sobie z tego sprawę, bo życzy mi dobrej nocy i wychodzi, zamykając drzwi.

Odrzucam beżową narzutę, którą jest zasłane łóżko, i pakuję się do śnieżnobiałej, wykrochmalonej pościeli. Gaszę światło. Odpywam już w krainę snu, kiedy słyszę, że ktoś uchyla drzwi i zaraz je zamyka.

– Miau? – rozlega się pytająco.

Siadam szybko na łóżku, zapalam nocną lampkę.

– Pankracy! – wołam i klepię kołdrę w zapraszającym geście. – Chodź do mnie!

Pankracy chyba też cieszy się z tego spotkania, bo przychodzi od razu. Bez protestów daje się głaskać i tulić. Mruczy przy tym i wydaje dźwięki, jakby mi coś opowiadał.

*Może przedstawia swoją wersję wydarzeń i opisuje smutek po stracie ukochanej pani, kto wie...*

Kiedy go w końcu puszczam, jego futerko jest mokre od łez. Pankracy kręci się chwilę po łóżku, aż w końcu układa na kołdrze w moich nogach. Gaszę światło.

– Dobranoc – mówię i zapadam w sen.



Budzi mnie skrobanie Pankracego o drzwi.

– Nie, nie! Nie drap drzwi, nie jesteśmy w domu. Już cię wypuszczam.

*W domu... Gdzie teraz jest dom?*

Moje mieszkanie nie było może imponujące, ale stanowiło bezpieczną przystań, do której wracałam po pracy i gdzie mogłam być sobą. Miejscem, które wybrałam, żeby je nazywać domem.

*Chociaż prawdziwy dom pachnący ciepłem i obecnością odszedł razem z mamą.*

Otwieram drzwi i wystawiam głowę, sprawdzając, czy mogę się bezpiecznie przemknąć do łazienki.

– Ida, w samą porę, robię śniadanie. – Zauważa mnie Tomek.

Teraz nie ma już odwrotu, wychodzę z pokoju i idę do kuchni, gdzie Tomek właśnie smaruje chleb masłem. Pomidory i ogórki ze szczypiorkiem już czekają pokrojone na talerzyku. Pankracy ociera się o moje nogi i miauczy.

– Kocie śniadanie już czeka. – Tomek wskazuje na miski z mokrą karmą i wodą ustawione pod ścianą. – Kuwetę postawiłem

póki co w łazience.

– Kiedy udało ci się to wszystko zdobyć?

Jestem pod wrażeniem. Z racji niedzieli niehandlowej zastanawiałam się, czy sprzedają kocią karmę na stacji benzynowej. Z mozołem wdrapuję się na wysoki barowy stołek przy wyspie kuchennej i porywam plasterek ogórka.

– Historia Pankracego wzruszyła wszystkich w schronisku, więc dostałem wyprawkę. Pokażny datek też nie zaszkodził. – Mruga do mnie.

– Kocham cię! Dziękuję. – Chyba spieszyłam Tomka tym wyznaniem, więc wskazuję na Pankracego i dodaję: – Chyba mu smakuje.

Tomek kiwa głową, zadowolony, po czym wydziera się na cały głos:

– Śniadanie!

Pankracy aż podskakuje i zmyka w przestrachu do łazienki. Jedne z drzwi w holu się otwierają i wychodzi prezes, chyba jeszcze w piżamie. Ziewa szeroko i próbuje palcami ujarzmić poranny nieład na głowie.

– Dzień dobry – mamrocze niewyraźnie przez kolejne ziewnięcie.

Mrugam zdezorientowana.

*Co jest?*

Widok Tomka mnie nie zdziwił. Przypuszczałam, że zostanie na straży, żeby w razie czego mnie pilnować. Prezesa nie spodziewałam się ani trochę.

– Obaj tutaj spaliście?

Nie wiem, co dziwi mnie bardziej. To, że prezes też nade mną czuwał, czy jego widok w kraciastych spodniach od piżamy, w których zresztą wygląda apetyczniej niż w garniturze. Jakby nigdy nic włącza ekspres do kawy.

– Przeważnie noc spędza się we własnym domu. Chyba że w planie jest na przykład zjedzenie śniadania u długonogiej piękności. Problem w tym, że takie plany lubią się czasem niespodziewanie zmieniać. – Odwraca się z kubkiem w ręce i patrzy na mnie wymownie.

Aluzję puszczam mimo uszu, bo coś innego zaprzęta moje myśli: podejrzenie.

– Czy to znaczy, że tutaj mieszkanie? *Razem?* – Koniec pytania wypowiadam drukowanymi literami.

Prezes i Tomek kiwają jednocześnie głowami.

– Czy wy jesteście... to znaczy... – Zacinam się. – Jesteście parą?

Prezes krztusi się kawą. Tomek gapi się na mnie, jakby się zastanawiał, co za dziwactwo wpuścili do swojego domu, po czym łapie się za głowę i mówi teatralnie:

– Nigdy nikt mnie o coś takiego nie posądził. Muszę złożyć wypowiedzenie! Konrad, po czymś takim nie możemy razem pracować, a tym bardziej razem mieszkać!

Prezes patrzy na niego z pełną powagą i kręci głową.

– Żadne wypowiedzenie. Rzucam... znaczy, zwalniam cię! Muszę dbać o swoją reputację – mówi znad kubka.

Obaj parskają śmiechem. Śmieją się tak przez chwilę, prawie do łez. Patrzę na nich i robi mi się ciepło koło serca. Tomek nazwał prezesa po imieniu, więc pewnie są ze sobą naprawdę blisko. Z tego, co widzę, o wiele bliżej, niż ujawniają w biurze.

– Haha – mówię. – Cieszę się, że dostarczyłam wam ćwiczeń przepony z samego rana, ale co z tym śniadaniem? Jestem głodna.

Prezes siada obok mnie na wysokim krześle i stawia przede mną kubek z parującą kawą.

– Ida, powiedz mi – zagaduje – co w moim stwierdzeniu o długonogich pięknościach kazało ci myśleć, że jesteśmy gejami? Czy kiedykolwiek dałem ci odczuć, że nie interesują mnie kobiety? – Patrzy mi sugestywnie w oczy, ale uciekam wzrokiem.



*Udajmy, że między nami nigdy nic nie zaiskrzyło, tak będzie lepiej.*

Biorę kubek i dmucham, żeby zyskać trochę czasu na odpowiedź.

– No nie wiem... Chyba miałam taką nadzieję – mamroczę w brzeg kubka, licząc na to, że nie dosłyszysz.

– Z ilu jajek chcecie jajecznicę? Ida? – Pytanie Tomka ratuje mnie z opresji.

– Z dwóch, dziękuję. Pójdę umyć zęby – mówię i pospiesznie znikam w łazience.

Oczywiście przy umywalce zdaję sobie sprawę, że nie mam ani szczoteczki, ani pasty do zębów. Robi mi się smutno.

*Tak niewiele, a jednak znaczy tak wiele...*

– Misja zęby zakończona niepowodzeniem z powodu braku koniecznych akcesoriów, ale przypomniało mi się coś bardzo ważnego. Nie zadzwoniłam wczoraj do Agi – mówię, wracając do kuchni.

– Nie martw się, już z nią wczoraj rozmawiałem – odpowiada prezes.

– Co? Jak to?

– Wypisując cię ze szpitala, zostawiłem swój numer, na wypadek gdyby ktoś chciał się z tobą skontaktować. Zadzwoniła, gdy już spałaś. Uspokoilem ją, że z tobą wszystko w porządku. Możesz do niej zadzwonić po śniadaniu.

Ulżyło mi, że mogę porzucić hodowanie pokaźnego poczucia winy, że zamartwiała się o mnie przez całą noc.

– Jest jeszcze jedna sprawa. W moim mieszkaniu było wszystko. Karta do windy, laptop, komórka...

– Tym też się nie martw – odzywa się Tomek. – Cały zdalny dostęp został zablokowany, twoja karta kredytowa również.

– O tym nawet nie pomyślałam, dziękuję.

– Jestem umówiony ze strażakiem. Pojadę na miejsce zobaczyć, czy coś z twoich rzeczy ocalało. Dowiem się też, jaka była przyczyna

wybuchu. Czy jest coś, na czym ci specjalnie zależy?

Zamykam oczy, wizualizując w myślach zawartość mieszkania.

– Album fotograficzny. Był w komodzie na lewo od wejścia. Za szafą z ubraniami trzymałam obrazy, które chciałabym odzyskać... – Wzruszam ramionami, bo reszta nie jest już tak istotna. – Ubrania, buty. Kosmetyki z łazienki. Nie miałam tam nic specjalnie cennego, bez czego nie mogłabym się obejść.

*I czeki. Ukryte w puszcze z napisem „ryż” w kuchennej szafce. Jedyna rzecz, którą liczę, że trafił szlag.*

Nawet o nich nie wspominam, bo co miałabym powiedzieć.

Tomek serwuje tak pyszną jajecznicę, że objadam się nią do pełna. Sam je na stojąco i jedzie na spotkanie ze strażakiem. Prezes odgradza się od świata gazetą, więc nie rozmawiamy. Kiedy on dalej czyta, ja zajmuję się naczyniami. Rzecz jasna w kuchni jest zmywarka, więc nie mam przy tym wiele roboty. Najbardziej zajęty jest Pankracy, bo wyrusza na wycieczkę i zwiedza każdy kąt mieszkania. Wskakuje na meble, wszystko wącha. Wciska pyszczek w szpary pod drzwiami, łapiąc zapachy z wnętrza.

– Sierściuchu, tylko nie do mojego pokoju, bo popamiętasz! – odgraża się prezes, wyglądając zza gazety.

– Nie lubi pan kotów? – pytam, wycierając blat kuchenny.

– Wolę ważki.

Obracam się w jego kierunku na oczywiste nawiązanie do zdjęcia, które zostawiłam na jego biurku.

– Mniej sierści – wyjaśnia z łobuzerskim uśmiechem i puszcza do mnie oko.

Znowu nie wiem, czy żartuje. Komórka leżąca na blacie ożywa i prezes spogląda na wyświetlacz, po czym przesuwa telefon w moim kierunku. Z rozbawieniem spoglądam na komunikat mówiący, że dzwoni „Aga BFF Idy”.

– Cześć, żyję! – melduję do słuchawki. – Pewnie się o mnie martwiłaś?

– No wreszcie! Czekam od rana, aż zadzwonisz. Nie byłam pewna, czy ten twój prezes mnie nie zwodzi, kiedy leżysz gdzieś martwa w kostnicy! Wszystko z tobą dobrze?

– Tak, parę siniaków, kilka szwów i dużo strachu.

– Dobrze. Muszę się z tobą spotkać, żeby sama zobaczyć. Znając ciebie, jesteś z góry na dół pokryta gipsem i tylko tak mówisz, żeby mnie nie martwić.

– Oczywiście, że musimy się zobaczyć. Wszystko wyleciało w powietrze. Nie mam nawet szczoteczki do zębów, a co dopiero ubrań. Musimy iść na zakupy. – Zakrywam usta dłonią i staram się szeptać jak najciszej: – Mam jedną parę majtek!

Posiadanie jednej pary majtek jest problematyczne o tyle, że kiedyś trzeba je też wyprać. Co samo w sobie nie jest tak trudne, jak cierpliwe oczekiwanie, aż wyschną. Do tego w ogóle nie mam stanika.

– Jutro o siedemnastej. Dasz radę podjechać do Galerii Mokotów?

*Cholera! Mój rower!*

Zapomniałam, że najcenniejszą rzeczą, jaką miałam, jest mój wysłużony, idealny, ukochany rower!

*Teraz już skwarek.*

– Tak – mówię tylko.

Rozglądam się za prezesem, żeby oddać mu komórkę, ale nigdzie go nie ma. Zostawiam więc telefon w kuchni i idę do swojego pokoju. Po chwili rozlega się pukanie do drzwi. Prezes nie czeka na zaproszenie, tylko od razu pakuje się do środka.

– Przyda ci się. – Rzuca na łóżko czarną kosmetyczkę i wychodzi.

W środku znajduję bambusową szczoteczkę z czarnym włosiem, pastę do zębów i męski żel do kąpieli typu 2w1 z szamponem.

*Prezes używa takich prostych kosmetyków?*

Patrząc na stan jego włosów, spodziewałam się co najmniej szamponu, odżywki, balsamu i jedwabiu w sprayu. Wącham żel i jest to ten zapach, który czułam, kiedy mnie przytulał. Czysty, niczym niezmacony zapach męskiego mydła. Zamykam oczy i zaciągam się nim tak długo, że wydaje mi się, jakby w ten sposób pachniał cały świat.

Tomek wraca późno. W pierwszej kolejności podaje mi jakieś papiery – zalecenia ze szpitala i wypis. Ma też dla mnie całą reklamówkę środków opatrunkowych.

– Musimy zmienić ci opatrunek – mówi, myjąc ręce w kuchni. – W reklamówce masz też antybiotyki.

– Ja to zrobię – oznajmia prezes i już zaczyna wyciągać gazy i środek do dezynfekcji.

Otwieram i zamykam usta. Wczoraj wprawdzie dopuściłam go w pobliże rozcięcia na udzie, ale byłam tak zamroczona, że nie szukałam w tej sytuacji drugiego dna. Dzisiaj, kiedy majtki wiszą na zimnym kaloryferze w moim pokoju, sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej.

– Dam radę sama, dziękuję.

Porywam reklamówkę i uciekam do pokoju. Lewa ręka nie dokucza mi już tak jak wczoraj, mogę ją zginać. Wprawdzie w torbie znajduję także listek środków przeciwbólowych, ale odkładam go na bok. Zmiana opatrunku idzie mi całkiem nieźle. Wracam do kuchni z pudełkiem antybiotyku, na którego ulotce dałoby się wydrukować pół książki telefonicznej. Tomek z prezesem rozmawiają cicho na kanapie, a na mój widok milkną.

*Oho, jest kiepsko...*

– Tomek, ile osób zginęło?

Ta informacja dręczy mnie od wczoraj. Zamiast po prostu odpowiedzieć, Tomek patrzy najpierw na prezesa. Ten kiwa zezwalająco głową.

– Jedna osoba, pani Helena.

– To dobrze. Znaczy, niedobrze, ale dobrze, że nikt więcej. –  
Plącze mi się język. – A co z moim mieszkaniem?

– Przykro mi, nic nie zostało. To, co nie wyleciało w powietrze,  
zdążyło się spalić, a dzieła zniszczenia dopełnili strażacy, kiedy  
zalali wszystko wodą.

– Nawet rower? – pytam z rezygnacją i broda zaczyna mi się  
trząść.

*Przecież to tylko rzeczy. Zwykle rupiecie. Nieistotne. Nie to, co pani  
Helenka!*

– Nic, przykro mi – powtarza Tomek. – Byłem w środku i nic nie  
ocalało. Ani zdjęcia, ani obrazy, o które pytałaś. Same zgliszcza.  
Nawet rozebrało część ściany i podłogę. Okazuje się, że do wybuchu  
doszło w twojej kuchni. Strażacy są pewni, że zawiniła nieszczelność  
dużej butli gazowej.

Coś mi się nie zgadza. Marszczę brwi.

– Butli gazowej? Ale ja miałam kuchenkę elektryczną.

Prezes z Tomkiem wymieniają spojrzenia.

– W mieszkaniu w ogóle nie było gazu. Ani z sieci, ani z butli.  
Wszystko na prąd!

*Jak to możliwe?*

– Znaleźli szczątki butli, a przynajmniej tak twierdził strażak.  
Nie ma jeszcze ostatecznej ekspertyzy. Zajmie dużo czasu. Czeka ją  
też na ekspertyzę budowlaną, ale sądząc po stanie budynku, na  
pewno go rozbiorą.

– Raczej nie odzyskam depozytu, który wpłaciłam przy  
podpisywaniu umowy najmu...

Silny skurcz ściska mój brzuch.

*Jeżeli do wybuchu doszło u mnie w mieszkaniu, czy była to moja  
wina? Mieszkania innych lokatorów też ucierpiały, cały budynek jest do  
rozbiórki, ludzie stracą domy, a pani Helenka...*

Pociągam nosem.

– Jeżeli właściciel budynku był mądry, to miał ubezpieczenie i nieźle się na tym wzbogaci. Ewentualnymi roszczeniami się nie przejmuj, od tego są prawnicy. Póki co mieszkasz z nami – oznajmia prezes, jakby czytał mi w myślach.

Kiwam smętnie głową. Pankracy, wyczuwając, o czym rozmawiamy, wskakuje mi na kolana i zwija się w kłębek. Głaszczę go machinalnie.

– Jak to? – Nagle dociera do mnie, co powiedział prezes. – Nie chcę siedzieć wam na głowie! Jestem wdzięczna za propozycję i całą pomoc, ale jutro porozmawiam z Agą i przeniosę się do niej.

– Nie ma mowy. To polecenie służbowe. Wrócimy jeszcze do tematu, ale póki co nie ma o czym rozmawiać.

– Konrad ma rację – popiera go Tomek. – Zostań.

Myślę o tym przez chwilę.

– Dobrze, ale będę wykonywała prace domowe typu pranie, sprząatanie, gotowanie, bo chcę zapracować na swoje miejsce tutaj.

Prezes wzrusza ramionami.

– Rób, co uważasz za słuszne, to teraz też twój dom.

Na to stwierdzenie nie wiem, co mam powiedzieć, bo aż ściska mnie w dołku.

Po zjedzeniu obiadokolacji wszyscy rozeszli się do swoich pokoi, a ja zwijam się w kłębek na narożniku i przysypiam. Budzę się przez silny skurcz brzucha.

*No nie, nie może być!*

Wizyta w łazience potwierdza, że oczywiście, może być i jest. Przygryzam wargę.

*Co teraz?*

Mam zapas materiałów opatrunkowych, które prowizorycznie mogą rozwiązać problem, ale raczej nie wystarczą do popołudnia, kiedy widzę się z Agą.

*No trudno, przecież to nie jest nic wstydliwego. Nie powinno być.*

Pukam do pokoju Tomka, bo prezes i tak jemu zleciłby to zadanie.

– Coś się stało?

– Nie. Chciałam cię prosić o przysługę. Przepraszam, jesteś dzisiaj cały czas na nogach z mojego powodu, ale...

Jakiś czas później Tomek wraca z kolejną reklamówką z apteki.

– Czułem się jak pod ostrzałem wroga. – Śmieje się. – Wszyscy w aptece jak na komendę zaczęli się na mnie gapić, kiedy wymówiłem słowo „podpaski”. Sprzedawczyni zapytała, czy moja dziewczyna używa kubeczka menstruacyjnego. – Chyba się rumieni. – To podobno najnowszy hit, bo jest eko i inne takie. Nie wiedziałem, więc też kupiłem.

– Dzięki.

Wprawdzie też nie wiem, co to ten kubeczek, ale jestem wdzięczna za jego starania. Kuśtykam jak najszybciej do łazienki. Biorę długi prysznic, a zapach żelu prezesa na moim ciele prowadzi myśli w niebezpieczne zakątki. Śni mi się, że zasypiam w jego łóżku, otulona męskimi ramionami jak w bezpiecznym kokonie.



Pankracy nadal śpi zwinięty w kłębek na kołdrze w moich nogach, więc próbuję wstać delikatnie, żeby go nie obudzić. Muszę sprawdzić, co to za odgłosy dochodzą z holu. Parskam śmiechem na widok prezesa i Tomka, którzy w garniturach wychodzą do pracy.

– Jesteście jak z komiksu. Superbohaterzy za dnia, zwyczajni ludzie w nocy.

Tomek mi saltuje, a prezes tylko prychnie i poprawia krawat.

– Musimy iść, mam ważne spotkanie. Aha, dzisiaj przyjdzie Lucyna, nie przestrasz się.

Wychoǳą, a ja zastanawiam się, kim jest Lucyna.

*Mam nadzieję, że nie kochanką prezesa, bo nie chciałabym się tłumaczyć, co tutaj robię.*

Jest wcześnie, a że nie mam nic lepszego do roboty, to wracam do łóżka.

Gwałtownie otwieram oczy, wybudzona tym, że w kuchni dzieje się coś niesamowitego, co wymaga mojej natychmiastowej uwagi. Wskakuję z łóżka, a za mną podąża Pankracy. Z kuchni rozchodzi się bajeczny zapach smażonych naleśników, mieszający się z cynamonem i rozpuszczonym masłem. Przy kuchence stoi starsza kobieta i obraca naleśnik na drugą stronę fachowym podrzutem patelni.

– Pani Lucyna? – ryzykuję.

– O, gołąbeczko, wstałaś. Zjesz naleśniki?

*Chyba się z panią Lucyną bardzo, ale to bardzo polubimy.*

– Oczywiście, że tak!

Pankracy podchodzi do swojej miski, gdzie czeka na niego karma, a ja siadam przy kuchennej wyspie. Pani Lucyna stawia przede mną talerz parujących naleśników, syrop klonowy i miskę z musem jabłkowym.

– Jedz, gołąbeczko, jedz. Musisz mieć siły. Te nicponie w ogóle dały ci coś zjeść? Mieli od razu do mnie zadzwonić, tobym ci nagotowała coś pożywnego. Od razu poczułabyś się lepiej. Jedz.

– Dziękuję pani.

Naleśnik smaruję musem, zwijam go w rulon i parząc sobie trochę palce, pakuję do buzi. Smakuje przepysznie! Mus jest obłądnie cynamonowy, ma też nutkę ostrości.

*Może od imbiru?*

– Pychota! – mówię z pełnymi ustami.

– Na zdrowie. Mów mi Lucyna, chłopcy też tak mówią. Zrobię jeszcze herbaty.



Lucyna krząta się w kuchni. Przewraca naleśniki, miesza w garnku z zupą, zalewa herbatę i sprząta jednocześnie. Do tego buzia jej się nie zamyka. Czuję się swojsko.

– Przychodzę tutaj w poniedziałki, środy i piątki. Sprzątam, robię zakupy i gotuję. Czasem okna umyję. Wiesz, gołąbeczko, jak to z kawalerami. Pranie do pralni zaniosą, pizzę zamówią, ale za szmatę nie chwycą. – Podaje mi na łyżce zupę. – Skosztuj.

Dmucham i próbuję pysznego krupniku. Kiwam głową z akceptacją.

– Od dawna tutaj pracujesz? – pytam z ciekawości, ale jestem świadoma, że nie zapracuję na swój pobyt w tym mieszkaniu, skoro dba o nie Lucyna.

– Będzie z pięć, sześć lat. Dawniej pracowałam na kuchni u starych Cardeckich. Kiedy mój syn miał wypadek samochodowy i został sparaliżowany, nie dawałam rady pracować, musiałam go karmić i przewijać. Ale do garnka trzeba mieć za co włożyć. Konrad zaproponował, żebym mu pomagała. – Lucyna sama próbuje zupy i dorzuca szczyptę soli do garnka. – I tak przychodzę, a w tym czasie mój Michaś jest na ćwiczeniach. Potrafi już parę kroków przejść sam. Zaczyna mówić pojedyncze słowa. Jestem wdzięczna. Póki mi sił starczy, będę ten dług spłacać. No, zupa gotowa. Co byś zjadła na drugie, gołąbeczko?

– Naleśniki? – Uśmiecham się do niej szeroko i pakuję kolejnego zawijańca z musem do ust.

Lucyna śmieje się gardłowo i grozi mi na niby łyżką.

– Na samych naleśnikach to ty daleko nie pociągniesz. Chłopcy to by powiedzieli schabowego albo golonkę. Mięso też trzeba jeść. Nie jesteś chyba z tych, co żyją na samej sałacie?

Schodzę ze stołka, okrążam wyspę i mocno przytulam Lucynę. Mam łzy wzruszenia w oczach. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi brakowało, żeby ktoś się tak o mnie zatroszczył.

– Dziękuję – mówię i ją puszczam. – Prawda jest taka, że zjem cokolwiek. Jeżeli będzie choćby w połowie tak pyszne jak naleśniki, to nawet golonkę.

Lucyna patrzy na mnie przez chwilę badawczo, po czym bez słowa wraca do smażenia naleśników.

– No i dobrze, gołąbeczko. Na stole jest coś dla ciebie.

Rzeczywiście, na stole leży koperta z moim imieniem. W środku znajdują kartę kredytową i krótką notatkę spisana pismem prezesa.

***Poczekaj na Tomka, zawiezie Cię na spotkanie z Agnieszką. Kup wszystko, czego potrzebujesz. W pierwszej kolejności komórkę. Pisanie listów ma swój urok, ale czas oczekiwania na odpowiedź jest nieakceptowalny.***

***PS Uważaj na siebie.***

***PS2 PIN to twoje urodziny.***

Klnę pod nosem, że muszę przyjąć od niego pieniądze, bo wiem, że nie będzie chciał zwrotu, jak Tomek za podpaski.

*Może powinnam poprosić Agę o pożyczkę?*

Wykorzystuję pustą stronę kartki do zrobienia listy zakupów. Jako pierwszą pozycję zapisuję majtki, podkreślam dwa razy i dodaję dla pewności wykrzyknik. Zaraz za nimi umieszczam stanik, skarpetki, piżamę, resztę ubrań, kosmetyki pierwszej potrzeby i te do makijażu, buty, szczotkę do włosów.

*Jakbym robiła checklistę na wakacje. Ile zabrać ze sobą skarpetek, żeby wystarczyło na tydzień bez prania?*

Moje rozważania nad liczbą niezbędnej bielizny przerywa dzwonek do drzwi.

– To do ciebie, gołąbeczko – woła Lucyna.

W drzwiach stoi ekspedientka, którą znam ze sklepu z drogiymi ubraniami.

– Dzień dobry, usłyszeliśmy od pana prezesa, co się pani przytrafiło, dlatego zamówienie dostarczam priorytetowo. Gdzie mogę rozładować? – Wskazuje na wózek transportowy wypakowany dobrze mi znanymi torbami.

– Ale... – zaczynam.

Ekspedientka nie daje mi skończyć.

– Wszystko zapłacone, proszę się nie martwić. – I już pcha się z wózkiem do środka.

– Proszę tutaj zostawić – mówię słabo.

Widzę, że rozgląda się dyskretnie na boki.

*Ciekawe, czy wie, czyje to mieszkanie?*

Zaglądam do toreb i zgodnie z moimi obawami jest to powtórzone poprzednie zamówienie. Każda marynarka, koszula i spódnica się zgadza, nawet akcesoria. Wyciągam sukienkę w kwiaty, przytulam i znowu zaczynam szlochać.

*Jak tak dalej pójdzie, będę musiała brać jakieś prochy na uspokojenie.*

Lucyna podchodzi do mnie i kładzie rękę na ramieniu.

– No już, gołąbeczko, nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Konrad nie pozwoli, żeby stała ci się krzywda. Nie siedź tak na podłodze. Pomogę ci zanieść rzeczy do pokoju.

Torby zajmują prawie całe łóżko, a ja szykuję się do wyjścia na zakupy z Agą. Cieszę się, że nie muszę pokazać się światu w szpitalnym dresie. Przymierzam spodnie ze stalowego kostiumu, ale nogawki są wąskie i boleśnie opinają udo. Nie chcę iść w spódnicy ze względu na opatrunek. Wybór pada więc na sukienkę w róże, bo sięga do kostek, a rozcięcie ma na szczęście z drugiej strony. Nie było jeszcze wyczekiwanej przeze mnie specjalnej okazji, żeby ją założyć, ale trudno. Będzie miała premierę z konieczności. Rozpuszczam włosy, a że nie mam nic do robienia makijażu, to ten problem znika. Trampki ze śladami krwi stanowią ciekawy dodatek

do mojego wyjściowego stroju. Jestem gotowa akurat w momencie, kiedy zjawia się Tomek.

– Zostawiłeś prezesa samego? – pytam go podczas jazdy windą.

– Jest z nim Wojtek. Nie ma dzisiaj już żadnych spotkań. Teraz ty jesteś moim priorytetem.

– Będziesz mnie chronił za cenę swojego życia? – pytam żartem, ale Tomek tylko kiwa poważnie głową. – Przed atakiem ze strony morderczych szpilek i za ciasnych biustonoszy? – próbuję dalej, ale zamiast spodziewanego śmiechu dostaję tylko kolejne skinienie.

Z Agnieszką spotykamy się na parterze centrum handlowego. Na powitanie najpierw ściska mnie mocno, a kiedy wydobywam z siebie jęknięcie bólu, ogląda mnie dokładnie, prawie zaglądając pod sukienkę. Chcę jej przedstawić Tomka, ale ten trzyma się parę kroków od nas i rozgląda dookoła ze srogą miną, zbyt zajęty byciem ochroniarzem, żeby się przywitać.

Jako pierwszy przystanek zarządzam sklep z bielizną. Spędzamy tam sporo czasu, ale za to wychodzimy z okazałymi zakupami. Aga ma wpływ na dokonywane wybory, więc zestaw mojej bielizny przechodzi metamorfozę z prostej bawełny w koronki.

– Aga... – zaczynam proszącym tonem, kiedy czekamy w kolejce do kasy. – Pożyczysz mi pieniądze?

– Nie dostałaś nic od prezesa? – pyta, jakby było oczywiste, że to on powinien płacić za moje zakupy.

– A czy ja jestem utrzymanką prezesa? – kontruję.

– Niby nie, ale skoro będziesz u niego mieszkała, założyłam, że nie puścił cię na zakupy bez kasy.

Wzdycham i wyciągam kartę prezesa, a na zadowoloną minę Agnieszki odpowiadam, pokazując jej język. Zachowuję paragon, żeby podliczyć mój rosnący dług.

Następny jest sklep z ciuchami, gdzie kupuję dwie pary jeansów, luźne spodnie, parkę, koszulki, topy i sukienkę. Nie chcę pakować

nie wiadomo ile do szafy, bo nawet nie wiem, gdzie ta docelowa szafa będzie się znajdowała. W przymierzalni zakładam jeden z kupionych wcześniej staników i odzyskuję część pewności siebie, kiedy mój biust dostaje wsparcie w walce z grawitacją.

Przechodzimy do poszukiwania butów. Pierwsze kroki kieruję na dział z obuwem sportowym, Aga podąża w stronę szpilek. Nagle bierze pierwsze lepsze i szybkim krokiem podchodzi do mnie, udając, że mi je pokazuje. Ścisza głos i konspiracyjnie szepcze:

– Widzisz tego faceta? – Wskazuje groźnie wyglądającego typa w garniturze. – Nie chciałam nic mówić, ale od jakiegoś czasu ciągle za nami łązi. Rozgląda się na boki, ale co chwilę się na nas gapi! Nie patrz tak ostentacyjnie, bo się zorientuje!

Parskam śmiechem i macham Tomkowi. Odpowiada służbistym skinieniem głową.

– To Tomek, ochroniarz. Prezes go na mnie nasłał i teraz biedak cierpi. Nie widziałaś, jaką miał minę, kiedy wymachiwałaś dookoła biustonoszami?

Agnieszka przygląda się Tomkowi dokładnie, przechyla głowę i ocenia.

– W sumie niezłe ciacho. Ile taki ochroniarz zarabia? Nosi broń? Ma dziewczynę?

Pacam ją w ramię, żeby przestała. Jest mi wystarczająco żal Tomka, że musi za nami łązić. Zakupy w obuwicznym kończymy na czarnych szpilkach z akceptowalnym przeze mnie obcasem, trampkach i zielonych espadrylach na koturnie z wiązaniem dookoła kostki, które od razu zakładam, bo pasują do sukienki. Stare trampki lądują w koszu przed sklepem. Zmierzamy teraz w kierunku znanej drogerii.

– Czy twój ochroniarz nie może ponieść zakupów?

Aga uparła się, że ja jestem kontuzjowana i nie mogę dźwigać, więc wszystkie pakunki ledwo mieszczą jej się w dłoniach.

– Gdyby mógł, to by sam zaproponował. Pewnie musi mieć wolne ręce, na wypadek gdyby zaatakował nas potwór z krainy cieni do powiek – odpowiadam w trakcie oglądania tuszów do rzęs.

Aga zakręca się koło testerów i chce robić mi naprędce makijaż.

– Fuj! Wiesz, ile osób z tego korzystało? – krzywię się z obrzydzeniem. – I ty pracujesz w salonie piękności?!

Patrzy na mnie ciężko.

– Dasz się pomalować nowymi kosmetykami, które sobie kupisz? Nie mogę na ciebie patrzeć, jak jesteś taka blada.

Kiwam głową, więc maluje mnie zrećznie i po chwili z lusterka patrzy na mnie trochę ładniejsza wersja Idy. Nawet udało jej się przykryć nieco zadrapania. Koszyk na zakupy waży coraz więcej. Najwięcej czasu spędzam przy płynach do kąpielii. Marzy mi się długa kąpiel w ogromnej wannie, z której grzech byłoby nie skorzystać, a obowiązkowe towarzystwo to książka i piana.

*Dużo piany. I żadnego prezesa. Wcale. Ani trochę go sobie tam nie wyobrażam. Nie. E-e. Nigdy.*

Po wyjściu z drogerii Aga wygląda jak prawdziwy wielbłąd, aż Tomek unosi brew na jej widok.

– Zanieś pan zakupy do samochodu? – Agnieszka się nie patyczkuje, a mina ochroniarza nie zbija jej z tropu.

Podejmuję próbę racjonalizacji jej słów:

– Tutaj jest operator komórkowy. Mam polecenie od prezesa, żeby kupić nowy telefon – zwracam się do Tomka. – Pewnie wybieranie zajmie nam dłuższą chwilę, możesz skoczyć w tym czasie do samochodu?

– Nie. Nie mogę zostawić cię samej. Niech twoja koleżanka pójdzie z zakupami, a my tutaj poczekamy. Później je przepakujemy do naszego samochodu.

Aga chce protestować, więc rzucam w jej kierunku błagalne:

– Proszę?

Odpowiada coś niezrozumiale, ale odwraca się i rusza w kierunku wind.

Jeżeli jest w życiu coś skomplikowanego, to na pewno kupno telefonu. Okazuje się, że nie mogę dostać duplikatu mojej poprzedniej karty SIM, ponieważ nie mam dowodu osobistego na potwierdzenie, że ja to ja. Z tego samego powodu nie mogę podpisać nowej umowy. Patrzę na Tomka bezradnie.

– Co teraz?

Tomek wyjmuje swoją komórkę i szuka w kontaktach jakiegoś numeru.

– Dzień dobry, dzwonię z polecenia prezesa Cardeckiego. Potrzebuję na już wciągnąć nowy numer telefonu do naszej puli. Jestem w punkcie w Galerii Mokotowskiej. Tak, poczekam. – Rozłącza się i zwraca do obsługującej nas kobiety: – Za chwilę dostanie pani wytyczne z centrali.

Spoglądam na Tomka ze zdziwieniem. Mija kilka minut i rzeczywiście coś się dzieje, bo z zaplecza wychodzi kierownik. Kłania nam się w pas i odsyła kobietę, żeby zająć się nami osobiście. Kiedy wraca Aga, jesteśmy już posiadaczami nowego numeru i pozostaje mi tylko wybrać telefon. Aga ma już chyba dosyć zakupów, bo rzuca do kierownika:

– Weźmiemy najdroższy.

Ja wytrzeszczam oczy, Tomek nic nie mówi, a kierownik ponownie gnie się w ukłonach. W taki sposób bez złożenia pojedynczego podpisu i wydania choćby złotówki staję się posiadaczką telefonu o rozmiarze małego laptopa.

– Będiesz więcej widziała przy poprawianiu makijażu. – Aga nie widzi problemu.

– Co zrobiłeś, że przeszli od „nie da się” do ekspresowej obsługi? – pytam Tomka, kiedy jesteśmy już poza sklepem.

Aga patrzy na mnie pytająco. Później jej opowiem.

– Cardecki Investment ma gigantyczną liczbę numerów wykupionych u różnych operatorów. Jesteśmy też ich inwestorem. – Wzrusza ramionami. – Zadzwoiłem do naszego opiekuna biznesowego, żeby potwierdził, kim jesteśmy.

– Jesteś wielki! – Biję mu brawo.

– Zadzwoń do niego – mówi Tomek.

Nie muszę pytać, kogo ma na myśli.

– A nie mogę zrobić tego, jak będziemy w samochodzie?

Patrzę na Tomka błagalnie.

– Jak chcesz – rzuca z obojętną miną, która może oznaczać wszystko. – Dokąd teraz?

Wyciągam z torebki pomietaną listę zakupów. Właściwie wszystko już kupiliśmy. Została mi jeszcze wizyta w banku, ale okazuje się, że tutaj nie ma mojego oddziału, poza tym obawiam się, że bez dowodu nic nie wskóram. Dobrze, że jeszcze nie zdążyłam odebrać swojego nowiutkiego paszportu.

*Stwierdzam, że posiadanie czegoś na własność jest zdecydowanie niedocenianym uczuciem. Zwłaszcza jeżeli tym czymś jest własna tożsamość i kilka kompletów bielizny.*

– Chodźmy coś zjeść – mówi Aga. – Bolał mnie już nogi.

Zgadzam się z nią bez sprzeciwu, zdążyłam zgłodnieć od obiadu. Pytam Tomka, czy zje z nami, ale odmawia krótko i staje przy drzwiach restauracji tak, że ma na widoku nas i całą salę. W środku jest sporo osób, a prawie wszystkie stoliki zajęte. Wzdycham, spoglądając ukradkiem na Tomka.

*Chyba muszę wrócić z prezesem do tematu nieludzkiego traktowania pracowników.*

Zamawiamy jedzenie, po czym zaczynam opowiadać o wybuchu i wszystkim, co Agę ominęło. Próbuję się znowu nie rozkleić, opowiadając o pani Helence, a Aga ściska moją rękę pocieszająco. Nie kończę opowieści, bo bez zapowiedzi do naszego stolika przysiada się dwóch facetów. Widzę kątem oka, jak Tomek rusza



w naszą stronę, ale powstrzymuję go ruchem ręki. Nie chcę tu rozróby.

– Jeżeli piękne panie potrzebują pocieszenia, to my służymy, możecie się nam wyplakać – proponuje jeden z typów.

– Nie, dzięki. Spływajcie – mówi od razu Aga złym głosem.

Faceci nic sobie z tego nie robią. Chyba określili nas jako łatwą zdobycz do podrywu, bo zaczynają bajerować o drinkach. Patrzą na Agę wymownie, chyba to my przeniesiemy się do innego stolika albo restauracji. Nagle czuję za sobą czyjąś obecność.

– Pomyliliście stoliki. Panie nie życzą sobie towarzystwa – odzywa się spokojnym, ale stanowczym tonem prezes w obstawie dwóch ochroniarzy.

Tomek niby przypadkiem uchyla połą marynarki, pokazując, że rzeczywiście ma przy sobie broń. Faceci podrywają się szybko i wychodzą z restauracji, oglądając się za siebie. Prezes patrzy na mnie, jednak nic nie mówi. Agnieszka wstaje i zaczyna dziękować, zapraszając go, żeby przysiadł się do naszego stolika. Prezes kiwa jej głową i siada naprzeciwko mnie. Kiedy kelnerka przynosi jedzenie, Tomek wraca do swojego punktu obserwacyjnego przy drzwiach, a Wojtek żegna się krótko i wychodzi.

– Proszę coś zamówić. My stawiamy w ramach podziękowań za to, że nas pan uratował. Podobno mają tutaj świetne drinki. – Aga próbuje oczarować prezesa, posyłając mu jeden ze swoich uwodzicielskich uśmiechów.

Niestety dla niej uśmiech nie trafia do celu, bo prezes dalej patrzy tylko na mnie.

*Jest zły. Nie wiem dlaczego, ale jest zły.*

Utwierdzam się w tym przekonaniu, kiedy bez słowa sięga do mojego talerza i zabiera z niego frytkę, nadal patrząc mi w oczy.

– Przepraszam... – zaczynam niepewnie.

*Wiem, że czekał na telefon i pewnie się martwił.*

– Porozmawiamy o tym w domu – mówi, kradnąc mi kolejną frytkę.

– W domu? – Oczy Agi wychodzą z orbit. – Jak to w domu? – Wodzi wzrokiem ode mnie do prezesa i z powrotem.

– Aga, przedstawiam ci prezesa Konrada Cardeckiego. Panie prezesie, to Agnieszka, znana także jako BFF Idy.

Aga jest w ciężkim szoku. Pewnie myślała, że przesadzam, kiedy mówiłam jej, że prezes jest nie tylko przystojny, lecz także charyzmatyczny. Teraz patrzy na niego z niemądrze otwartymi ustami. On, przyzwyczajony do zachwyków ze strony kobiet, nic sobie z tego nie robi, tylko dalej pochłania frytki.

– Zamówić panu frytki? – pytam z przekąsem. – I tak pan za nie płaci.

– Twoje smakują lepiej. Jedz, mną się nie przejmuj. – Bierze serwetkę, żeby wytrzeć palce, po czym wyciąga do mnie rękę – Daj mi swoją komórkę.

Mój nowy telefon zajmuje tyle miejsca, że nie jest trudny do odnalezienia w torebce. Prezes wstukuje swój numer i wybiera. Usatysfakcjonowany jeszcze przez chwilę klika w klawiaturę, po czym oddaje mi komórkę z nowym kontaktem zapisanym jako „Konrad <3”. Czekam na edycję, bo przyzwyczaiałam się, że wyświetla mi się jako „Pan Kapuśniak”.

*Może jako kompromis zostawię symbol serduszka.*

– Nie było żadnych problemów? – pyta.

– Nic, z czym Tomek by sobie nie poradził.

Aga uświadamia sobie, że nie jest w stanie zwrócić na siebie jego uwagi, więc wzdycha ciężko i zabiera się za sałatkę. Jem frytki na wyścigi z prezesem. Żartobliwie nabijam kawałek mięsa na widelec i kieruję w jego stronę. Spodziewam się, że mnie zignoruje, ale on pochyla się i zjada, patrząc mi w oczy.

– Ooch... – Aga wydaje z siebie przeciągłe westchnienie.

Drugie takie samo wyrywa jej się, kiedy prezes wyciąga gotówkę z portfela, nawet nie patrząc na wysokość rachunku. Kelnerka ma dzisiaj szczęśliwy dzień.

Jedziemy windą na parking w towarzystwie krępującej ciszy. Aga podjeżdża swoim samochodem, żeby Tomek mógł przepakować zakupy.

– Dziękuję za dzisiaj. Napiszę do ciebie wieczorem. – Ściskam Agnieszkę mocno na pożegnanie.

Prezes otwiera przede mną drzwi i sam wsiada do samochodu. Cisza znowu jest ciężka.

– Tłumacz się – rzuca.

Zbieram się do odpowiedzi, ale on nie patrzy na mnie, tylko na Tomka. Ich oczy spotykają się we wstecznym lusterku.

– Chciałem zainterweniować, ale Ida mnie powstrzymała. Cele oeniłem jako niezagrażające, więc się nie mieszałem. Wiem, że nie jest to żadne wytłumaczenie. Przepraszam, nie dopuszczę więcej do takiej sytuacji.

*Był zły na Tomka, nie na mnie?*

– To nie wina Tomka. Może trudno sobie to wyobrazić, ale chodzimy z Agą do knajpek czy klubów i wiemy, jak sobie radzić z niechcianym podrywem. Myśli pan, że daliby radę nas stamtąd porwać pod nosem Tomka?

– Niedawno zostałeś ranna, miałeś na siebie uważać. Zamiast tego chodziłeś kilka godzin, nie zadzwoniłeś, a zastałem cię na flirtowaniu z nieznajomymi.

– Panie prezesie, z całym szacunkiem i wdzięcznością za troskę, nie jest to pana sprawa. Jestem dorosła i mogę sama o siebie zadbać. To samo tyczy się flirtowania, gdyby do takowego w ogóle doszło.

Widzę, jak bębni palcami po kolanie.

– Nazywaj mnie po imieniu. Proszę.

Niespodziewanie wraca do tej kwestii.

*Wybrał sobie zdecydowanie zły moment na spoufalanie się!*

– Nie, panie prezesie!

*Za kogo on się ma, że chce mi dyktować, co mam robić?*

Jestem mocno wkurzona. Prezes zamyka oczy, nie odpowiadając. Otwiera je dopiero wtedy, kiedy Tomek oznajmia, że jesteśmy na miejscu. W mieszkaniu znika od razu w swoim pokoju i tyle go widziałam.



Mam ochotę trzasnąć drzwiami tak, żeby zadzwoniły szyby w oknach. Powstrzymuję się jednak. Nie powinienem się złościć na Idę. Zwłaszcza że znam prawdziwy powód swoich emocji. Jestem zły sam na siebie, bo widok Idy z tymi facetami wywarł na mnie zdecydowanie za duży wpływ, chociaż wbrew temu, co powiedziałem, wiem, że nie był to flirt.

*Jeszcze ta jej sukienka...*

Nadeptuję na coś, co okazuje się kartką z wiadomością. Musiała zostać wsunięta przez szparę w drzwiach.

*„Dziękuję, panie prezesie. Najbardziej za przyjęcie mnie pod swój dach i dopuszczenie do sekretu, jak wygląda superbohater bez garnituru.*

*PS W listach najpiękniejsza jest właśnie niepewność oczekiwania na odpowiedź.*

Czytam i klnę w duchu.

*Co jest w tej dziewczynie, że działa na mnie jak płachta na byka, a jednocześnie przyciąga jak magnes?*

Otwieram prywatny sejf. Nie jest wcale ukryty za obrazem, jak sugerowała Ida, ale owszem, jednym z systemów zabezpieczeń jest

czarna karta. Wyciągam z niego zawiniętą w kawałek płótna puszkę z lekko zatartym napisem „ryż” na boku. Jest bez pokrywki, wgnieciona i trochę osmolona. Zawartość częściowo spłonęła, ale pozostało wystarczająco dużo, żeby rozpoznać zwitek czeków, których łączna suma daje niezłą kwotę. Strażacy podobno znaleźli ją w mieszkaniu Idy podczas przeczesywania gruzów. Tomek zrozumiał znaczenie, jakie może mieć zawartość, dlatego przyniósł ją do mnie.

*Wątpię, że czeki stanowią zapłatę za zabicie mnie. Gdyby tak było, to już bym nie żył. Za to jestem w stanie uwierzyć, że konkurencja marzy o podrzuceniu mi kreta.*

Od wczoraj maniakalnie przypominam sobie każdą spędzoną z Idą chwilę, minuta po minucie. Analizuję i przeżywam na nowo.

– Czy nasze pierwsze spotkanie mogło być wyreżyserowane? Sprytnie ulokowany szpieg przemysłowy pod postacią z pozoru niegroźnej, biednej dziewczyny. Dziewczyny, która posiada cechy, co do których nie miałem pojęcia, że mnie pociągają, ale jednak... – Rozważam różne opcje. – Zapewne jest możliwe profilowanie pozwalające odgadnąć, jaką kobietę należy mi podstawić, żeby niepostrzeżenie weszła do mojego wewnętrznego kręgu zaufania. Tylko skąd ktokolwiek mógłby wiedzieć, że będę chciał ją zatrudnić?

Z tej pozycji w firmie Ida ma idealny dostęp do wszystkiego. Sam jej go umożliwiłem. Do wszystkich projektów, danych, patentów i prototypów. Nawet do mojego domu. Nie czarujmy się, dostępu do mojego łóżka też bym jej z chęcią udzielił. Teraz myślę, że bycie niedostępną to również gra z jej strony. Nie chcę mieć racji. Jednak Tomkowi też zapaliła się czerwona lampka i nie możemy pozwolić sobie na zignorowanie takiego zagrożenia.

*Decyzja o zatrudnieniu Idy może okazać się najlepszą albo najgorszą, jaką w życiu podjąłem.*

Otwieram laptopa i włączam pocztę. Zleciłem odnalezienie właściciela konta, z którego wystawiono czeki. Nie jest to proste, bo transakcję ktoś starał się ukryć. Przy pierwszym rutynowym

sprawdzeniu przeszłości Idy nie wyszło nic niepokojącego. Teraz kazałem prześwietlić ją dokładnie, do dwóch pokoleń wstecz, z pełnym sprawdzeniem jej finansów. Agencja detektywistyczna, z którą pracuję, potrzebuje więcej czasu na szczegółowy *background check*, ale dane z banku mam już na mailu. Raport nie mówi nic nadzwyczajnego, marne saldo na koncie. Jedna operacja rzuca się w oczy – Ida zrealizowała czek. Za pomocą tych pieniędzy wykonała przelewy za media, zapłaciła chesne, rachunek z hospicjum i firmy pogrzebowej. Wpłaciła też depozyt za swoje mieszkanie, widocznie to wtedy się przeprowadziła. Część wypłaciła gotówką, a to, co zostało, przelała na lokatę. Od tamtej pory nie wykonała żadnych większych ruchów na koncie.

– Idiotyzm! Brak profesjonalizmu! – Dostrzegam dziury w swoim rozumowaniu. – Jeżeli ktoś jej zapłacił za szpiegowanie, to dlaczego w tej formie? Dlaczego nie założyła konta na inne nazwisko, żeby ukryć pieniądze?

Ściskam nasadę nosa, czując zbliżający się ból głowy. Póki co wszystko wskazuje na to, że incydent w mieszkaniu Idy nie był przypadkowy.

*Czy Rosjanie byliby w stanie szukać zemsty na mnie poprzez Idę? Jeżeli tak, to pozostaje pytanie, czy wybuch wyrównał nasze rachunki.*

Gdy następnego dnia wracamy z pracy, Ida wita nas radosnym okrzykiem:

– Myjcie ręce, obiad czeka!

W pierwszej chwili chcę zbyć ją wymówką, że jadłem, ale w końcu siadam do stołu i już po chwili żałuję swojej decyzji. W trakcie chrząkamy z Tomkiem i zapijamy wodą, bo obiad jest na granicy zjadliwości – w żaden sposób nie przypomina posiłków, do jakich przyzwyczała nas Lucyna. Jak przystało na dżentelmenów, bohatersko staramy się trzymać fason, żeby nie zrobić Idzie przykrości.

– Ida, zamienię się z tobą pokojem. W moim jest łazienka, nie będziesz musiała biegać przez hol – odzywa się Tomek po opróżnieniu kolejnej szklanki wody.

*Czemu sam nie wpadłem na to, że Ida nie ma zapewnionej intymności, jaką daje łazienka w pokoju?*

– Dzięki, mój pokój mi się podoba. Przyzwyczyłam się już. Zresztą ta gigantyczna wanna jest moją wielką miłością. – Ida uśmiecha się do Tomka i puszcza mu oko.

*Czy ten kawał chłopca właśnie się zarumienił?*

– Tomek ma rację. Pomieszkasz z nami trochę dłużej, niż zakładaliśmy. – Uznaję swój konsumpcyjny obowiązek za spełniony, więc z ulgą odkładam nóż i widelec. – Nie chcę, żebyś się przestraszyła. Nie mamy pewności, ale sprawa jest na tyle poważna, że musisz wiedzieć.

Ida patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami, chyba już ją przestraszyłem.

– Podejrzewamy, że za wybuchem w twoim mieszkaniu stoi nasz niedoszły rosyjski partner. Na to wskazuje użycie butli gazowej do wywołania wybuchu i mail z pogroźkami, który dostałem krótko przed tym.

Chyba znowu zacznie płakać. Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

– Przykro mi, że cię w to wciągnąłem. Nie myślałem, że praca dla mnie będzie stanowiła zagrożenie życia. – Chrząkam. – Jeżeli chcesz odejść, zrozumieć.

*Proszę, nie.*

– To nie jest pana wina... Nie jest też moja? Że czegoś nie dopilnowałam? – Ida wodzi wzrokiem między mną a Tomkiem.

*Chyba dręczyło ją poczucie winy, że wysadziła część kamienicy w powietrze.*

– Nie jest. To był zamach – mówię zdecydowanym głosem. – Dlatego najbezpieczniej będzie, jak zostaniesz z nami. Budynku

i mieszkania będą strzegli dodatkowi ochroniarze. Tomek cały czas jest przy nas, więc nic nam nie grozi.

Uśmiecham się do Idy w próbie przekazania pewności siebie, której nie czuję. Mówimy o nielegalnych handlarzach bronią. Jeżeli strzelą teraz z bazooki z budynku naprzeciwko do salonu, to żadna liczba ochroniarzy nic nie zdoła – będą tylko kolejnymi ciałami do identyfikacji. Nie jest to oczywiście nic, nad czym Ida powinna się zastanawiać. Ja też zakopuję tę myśl głęboko, bo do niczego nie prowadzi.

Kolejną opcją pasującą do mojej paranoi jest możliwość, że cały atak na Idę był sfingowany. *W końcu wyszła z mieszkania chwilę przed wybuchem. Przypadek?*

Przyglądam jej się uważnie. Każdemu gestowi, mimice, rozkładam słowa na czynniki pierwsze. Nie dopatruję się jednak żadnego fałszu. Niczego, co by wskazywało na nieszczerłość czy zdradę. Mam bolesną świadomość, że nie jestem obiektywny. Gdy patrzę na Tomka i jego interakcje z Idą, wiem, że on też stracił trzeźwe spojrzenie.

Ida dzisiaj wygląda jakby nigdy nic. Nie ma śladu po jej załamaniu nerwowym, a przecież właśnie usłyszała kolejną złą nowinę.

*Czy to też gra?*

Założyła luźne granatowe spodnie z obniżonym krokiem i bluzkę odsłaniającą jedno ramię. Piegi, które dzięki temu ujawniła, pobudzają moją wyobraźnię. Pachnie inaczej niż do tej pory. Chyba kupiła inne perfumy, z odrobiną kwiatowej nuty.

*Chciałbym zanurzyć nos w zagłębieniu jej szyi i przekonać się, jak pachną na skórze. Później odkryć, czy piegi sięgają niżej.*

– Panie prezesie? Halo! – Ida coś do mnie mówi.

Otrząsam się z własnych myśli.

– Tak?

– Chce pan kawałek ciasta? Upiekłam rano.



*A jest jadalne?*

– Tak, oczywiście, ale zjem w pokoju – mówię tylko, bo krytyka zdolności kulinarnych nie jest jej teraz potrzebna.

Biorę talerzyk z ciastem drożdżowym z truskawkami i znikam w pokoju. Na moim łóżku leży kot, jednak wbrew moim wcześniejszym deklaracjom nie przeszkadza mi to. Jego towarzystwo jest wyczuwalne, ale nienachalne. Istnieje szansa, że ciasto pomimo zakalca nie powinno mnie zabić. Do późna słyszę śmiech i rozmowy dobiegające z salonu, Tomek z Idą oglądają jakiś film. Pierwszy raz żałuję, że ochroniarz jest też moim kumplem i współlokatorem, przez co nie mogę wydać mu tak po prostu polecenia, żeby poszedł precz.

## ROZDZIAŁ 5



Wytrzymuję w domu równo tydzień, po czym oznajmiam prezesowi, że mam dosyć, zwariuję i ma mnie wypuścić do pracy albo pogryzę mu kolekcję jedwabnych krawatów! Nie wiem, czy zgadza się bez gadania za sprawą mojej groźby, wyrazu szaleństwa w oczach czy po prostu współczucia. Nie stawia przy tym żadnych dodatkowych warunków ani nie żąda wymuszonych obietnic, że będę na siebie uważać. Czuję się z tym tak nieswojo, że stawiam mu swój warunek. Nikt nie może się dowiedzieć, że mieszkamy razem! Oznacza to, że nie możemy dojeżdżać razem do pracy. I to również zbywa zwykłym skinieniem głowy.

Oto więc jesteśmy – ja i moja duma – w autobusie. Większą część nocy spędziłam na gapieniu się w sufit i rozważaniu, kto chce mnie zabić, przez co jestem niewyspana, prawie spóźniona i bez makijażu. Nic z tego nie ma jednak znaczenia, bo pozostałam wierna swoim ideałom i nie uległam wygodzie luksusowego samochodu w zamian za parę ploteczek.

*Brawo ja!*

Autobus cudownie podskakuje i zarzuca na zakrętach, a ja cieszę się, że mogę w pełni świadomie i w zgodzie ze sobą odczuwać ból w ledwo zagojonym udzie. Oczywiście o tej porze nie ma mowy o miejscu siedzącym. Kiedy wysiadam, czuję się już gotowa na powrót do łóżka.

Mijam kolejkę przy windach i wsiadam do tej dla VIP-ów. Prezes wręczył mi wczoraj kolejny czarny prostokącik otwierający drzwi niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Jednymi z takich drzwi są te do jego mieszkania. Chociaż mieszkamy pod jednym dachem, to jednak nasze kontakty są ograniczone, a ja czuję, jakby specjalnie mnie unikał. Staram się wierzyć, że nie chce, żebym czuła się niekomfortowo w jego towarzystwie, i dlatego daje mi przestrzeń. Większość wieczorów z ostatniego tygodnia spędziłam z Tomkiem i Pankracym na oglądaniu filmów, śmianiu się i objadaniu popcornem. Nie wiem, czy Tomek poświęcał mi czas z litości, ale dobrze się bawiłam w jego towarzystwie. W sobotę obydwaj wyszli do klubu. Tomek wrócił nad ranem i chociaż starał się iść na paluszkach, żeby mnie nie obudzić, to narobił hałasu jak pijany słoń. Prezes wrócił dopiero przed południem. O nic nie pytałam.

Ochroniarze przy szklanych drzwiach witają mnie szerokimi uśmiechami. Natomiast Sylwia z Dorotą udają, jakbym w ogóle nie przyszła.

*W porządku, niech i tak będzie.*

Zastanawiam się, czy codzienny rytuał wspólnej kawy z prezesem jest nadal aktualny. Pukam do drzwi gabinetu, po czym wchodzę. Prezes siedzi przy biurku i nie podnosi głowy na mój widok. Sprawdzam ekspres do kawy w poszukiwaniu wskazówki, czy chce, żebym została. Cieszy mnie widok dwóch filiżanek świeżo parzonej kawy, czekających, aż je przeniosę na stolik. Robię to i zatrzymuję się przed obrazem wiszącym nad kanapą.

*Teraz to jedyny, jaki pozostał...*

Decyzja, żeby go tutaj powiesić, okazała się słuszna. Łzy mimowolnie spływają mi po policzkach. Podskakuję lekko, gdy prezes kładzie ręce na moich ramionach. Nawet nie zauważyłam, kiedy za mną stanął.

– Powiesz mi teraz, kto namalował ten obraz? – pyta cicho.

– Moja mama – odpowiadam mu prawie szeptem. – Wszystkie inne były w mieszkaniu.

Nic nie mówi, oplata mnie rękami na wysokości barków i przytula od tyłu. Łapię go za przedramiona, jednak nie odpycham. Przeciwnie, przenoszę ciężar ciała tak, że opieram się o niego. Potrzebuję tej chwili bliskości z drugim człowiekiem. Oddech prezesa leciutko porusza włosy na czubku mojej głowy. Czuję jego ciepło i mocne bicie serca. Zamykam oczy.

*Na chwilę... Ociupinkę, na moment. Choćby tylko przez sekundę, ale nie chcę być sama.*

W końcu wycieram łzy i się odsuwam. Prezes bez słowa siada na swoim miejscu i sięga po filiżankę. Tak po prostu wracamy do służbowej relacji i rozmawiamy już wyłącznie o kwestiach związanych z pracą.

W drugiej połowie dnia jestem głodna jak wilk, zjeżdżam więc na trzynaste piętro, gdzie już od windy słyszę podniesione głosy. Stołówka jest miejscem, które zawsze brzęczy rozmowami wielu osób i dźwięczy stukaniem sztućców o talerze, ale teraz nikt nie je, a oczy obecnych są zwrócone na scenę rozgrywającą się przy bufecie. Dyrektor do spraw zakupów, cały czerwony, wydziera się na Sylwię stojącą ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Co się stało? – pytam osobę siedzącą najbliżej wejścia.

– Sekretarka nie zauważyła dyrektora. Odwracała się z pełną tacą i uderzyła w niego. Całą zawartość wylała mu na garnitur. Dyrektor krzyczy już jakiś czas. Wcześniej szarpnął ją tak, że upadła. Aż żal patrzeć.

*To dlaczego wszyscy tylko patrzą?*

Podchodzę do Sylwii i dyrektora. Biedna stoi ze spuszczoną głową i łyka łyzy. Rajstopy na kolanie ma podarte, rzeczywiście musiała upaść. Przód garnituru dyrektora jest upiększony nitkami makaronu, koszula zyskała czerwony kolor. Ubranie Sylwii też jest ochlapane.

*O! Uwielbiam pomidorową. Dyrektor niech się cieszy, że to nie kapuśniak.*

Pod ich nogami leży rozsypana, zdeptana sałatka. Dyrektor nakręcił się już do tego stopnia, że razem ze słowami wypluwa nitki śliny.

– Przepraszam, panie dyrektorze. Uważam, że już wystarczy – mówię podniesionym głosem, żeby mnie w ogóle usłyszał.

Uwaga obecnych skupia się na mnie, kiedy dobrowolnie dołączam do obsady tego teatrzyku.

– To znowu ty – cedzi dyrektor. – Nie przeszkadzaj mi, dziewczucho, to nie twoja sprawa!

– Tak, panie dyrektorze, to też moja sprawa. Pana krzyki nie pozwalają mi i innym pracownikom zjeść w spokoju. – Staram się być opanowana i rzeczowa. – Z tego, co widzę, był to wypadek. Proszę wysłać pani Sylwii rachunek za pralnię i uznajmy sprawę za zamkniętą.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – Dźga palcem powietrze. – Znowu chcesz mi dyktować, co mam robić?

Ten stary cap rozgląda się za czymś, czym mógłby we mnie rzucić. Pod ręką ma tylko swój lunch, więc w powietrze leci kolejna miska pomidorowej.

*O co chodzi z tymi latającymi zupami?* – udaje mi się pomyśleć, zanim moja ranna noga odmawia posłuszeństwa i unik powodzi się jedynie częściowo. Na szczęście wystarczająco, żeby uniknąć większości makaronu i samej miski, która rozbija się z brzdękiem na podłodze. Dyrektor chwyta za schabowego z ziemniakami i chce się zamachnąć w stronę Sylwii, nadal stojącej ze spuszczoną głową.

*Tylko spróbuj!*

W porę chwytam talerz, nie pozwalając, żeby dyrektor roztrzaskał go na głowie dziewczyny. Obserwatorzy szemrają coraz głośniej.

*Tego już za dużo.*

– Zadzwońcie po ochronę!

Wiodę wzrokiem po obecnych, ale nikt nie chce się ruszyć.

– Ty dziwko! Jesteś martwa. Zrobię ci taką opinię w branży, że nikt cię nie zatrudni, nieważne, jak dobra jesteś w łóżku!

Wyjmuję komórkę i wybieram numer Tomka.

– Ochrona? Potrzebna interwencja w stołówce. ASAP.

Dyrektor pluje się jeszcze trochę, rzucając w moją stronę niewybredne groźby i komentarze, ale zmierza już w stronę wyjścia.

*Kto w ogóle zatrudnił go na takiej pozycji w firmie?!*

– W porządku? – zwracam się do Sylwii.

Kiwa głową smętnie, nie podnosi nawet wzroku.

– Co tu się dzieje? – Przybywa spóźniona kawaleria.

– Spicie z dyrektorem do spraw zakupów. – Muszę zapamiętać w końcu jego nazwisko. – Uciekł chwilę temu.

Zdejmuję marynarkę, wywijam ją plamami do środka i przewieszam przez ramię. Nie chcę bardziej pobrudzić Sylwii, która stoi jak słupek soli i potrzebuje teraz wsparcia. Obejmuję ją ramieniem.

– Wracajcie na górę – mówi Tomek. – Wypytały świadków.

– Chodź – zwracam się do Sylwii i popycham ją w stronę wyjścia ze stołówki.

Kilka osób czekających przy windach wgapia się w nas z niezdrowym zainteresowaniem, więc kieruję się do tej dla VIP-ów. Dopiero w środku Sylwia podnosi głowę. Rozgląda się ze zdziwieniem, ale nic nie mówi. Na nasz widok Dorota wybiega zza biurka.

– Co się stało?

– Dyrektor do spraw zakupów dał popis swojego wybuchowego charakteru. Sylwia była w złym miejscu o złym czasie – zbywam ją krótką wersją wydarzeń. – Usiądziesz? Trzeba opatrzyć zadrapanie na kolanie – zwracam się do Sylwii.

– Dziękuję, że się za mną wstawiłaś. Nie musiałaś tego robić. Zwłaszcza po tym, jak cię potraktowałam... – Sylwia patrzy na mnie ze łzami w oczach.

Jej makijaż się rozmazał i nie wygląda już jak modelka na wybiegu, tylko jak sto nieszczęść.

– Musimy się nawzajem wspierać. *Girl power* i takie tam. – Mrugam do niej, bo prawda jest taka, że pomogłabym każdej innej w takiej sytuacji i nie miało znaczenia, że tym razem padło na Sylwię.

*Dupek.*

Prezes wychodzi z gabinetu akurat w momencie, kiedy naklejam plaster na kolano Sylwii. Marszczy brwi na ten widok.

– Co się stało?

– Ida uratowała mnie przed furią dyrektora Nowickiego. Przez przypadek oblałam go zupą, ale on nie chciał przyjąć przeprosin ani zapłaty za pralnię. Zaczął na mnie krzyżeć. Nikt nie zareagował. Dopiero Ida.

– Oblałaś go zupą? – Prezes zaczyna rechotać, na co Sylwia i Dorota patrzą na niego ze zdziwieniem.

*Czyżby miłościwie panujący prezes nie zaszczycił pracowników śmiechem?*

– Sylwii nie było do śmiechu, panie prezesie. Ma otarte kolano, dyrektor zaczął rzucać talerzami. Nie była to miła scena – wyjaśniam, zanim uznają, że oszalał, bo w tym towarzystwie tylko ja mam prawo rozumieć, co go rozbawiło.

Od razu poważnieje.

– Zajmę się nim. Z wami wszystko OK? – pyta.

Wszystkie kiwamy głową.

– Możesz iść wcześniej do domu – mówi do Sylwii. – Ida, jak tutaj skończysz, to przyjdź do mnie.

– Dlaczego prezes się śmiał? – pyta Dorota, kiedy drzwi do gabinetu się zamknęły.

Drapię się w nos.

– Może kiedyś pójdziemy razem na drinka, to wam opowiem, jak poznałam prezesa. Wtedy zrozumiecie.



Gotuję się ze złości. Wysyłam do ochrony prośbę o zapis wideo ze stołówki. Oglądam film i zaciskam dłonie w pięści, kiedy widzę, jak ten obleśny knur traktuje Sylwię. Głośno przeklinam na widok Idy wkraczającej do akcji i ściągającej na siebie jego gniew. Szpieg czy nie, nie mogę na to patrzeć. Kiedy Ida osłania Sylwię przed atakiem Nowickiego, jestem już spokojny. Decyzja została podjęta. Wybieram numer jego sekretarki.

– Proszę przysłać do mnie dyrektora Nowickiego. Natychmiast.

Kolejny telefon wykonuję do Tomka.

– Śledźcie każdą aktywność Nowickiego. Jak pójdzie do kibla, chcę wiedzieć, co tam robił.

Pukanie do drzwi oznajmia przyjście Idy. Na żółtej spódnicy i bluzce w drobne kwiatuszki widać ślady pomidorowej.

– Weź świeże ubranie z szafy. – Wskazuję gestem na szafę w kącie.

– Czy jesteśmy tak blisko, żebym chodziła w koszuli pana prezesa? – pyta zaczepnie, przekrzywiając głowę.

*W koszuli i niczym więcej... Chciałbym.*

– Przypominam, że już chodziłaś w moich ubraniach, a nawet w nich spałaś... – prowokuję i dostaję w zamian widok rózu na jej



policzkach.

Ida bez słowa komentarza podchodzi do szafy, chwilę przegląda zawieszane tam zapasowe garnitury i koszule.

– Co to tu robi? Dlaczego ma pan moje ubranie w szafie? – wyciąga swój granatowy kostium i bluzkę z długim suwakiem.

Patrzy na mnie podejrzliwie, a ja śmieję się z jej zdziwienia i braku domyślności.

– Kazałem przywieźć tutaj dodatkowy zestaw, właśnie na takie okazje.

Ida drapie się w nos.

– A dlaczego akurat ten?

*To z tego kostiumu najchętniej bym cię rozebrał. Zabrał do sypialni, rozpiął zębami suwak w bluzce i torturował. Znęcałbym się nad tobą, aż nie miałabyś już sił krzyczeć. Dopiero kiedy przyznałabyś się, że jesteś szpiegiem, pozwoliłbym ci dojsć.*

Wzruszam ramionami, możliwie najbardziej obojętnie, chociaż to, co dzieje się pod osłoną blatu biurka, jest dalekie od obojętności.

– W tym lubię cię najbardziej – mówię po prostu.

Chyba satysfakcjonuje ją to wytłumaczenie, bo nie każe mi wyjaśniać i opisywać, jak apetycznie wyglądają jej nogi w tych spodniach.

– Przebierz się i wróć do mnie, bo mamy trochę rzeczy do omówienia. Chcę przyspieszyć Japonię.

Mam mieszane uczucia, czy dalej wkręcać Idę w ten projekt. Może powinienem znaleźć wymówkę, żeby ją od niego odsunąć. Nie chcę przy Japonii nikogo, kto budzi moje wątpliwości, bo to kluczowy projekt. Jednocześnie nie chcę Japonii bez Idy.

*Szach mat, cholera.*

Dopiero późnym popołudniem pojawia się dyrektor Nowicki. Przebrał się w nowy garnitur, więc nie ma śladu po wcześniejszym incydencie. Już od progu zaczyna się uzewnętrzniać.

– Rozumiem, panie prezesie, że miło popatrzeć na fajną dupę zza biurka, ale te święte krowy siedzące przed pana drzwiami mają poprzewracane we łbie.

Pozwalam mu mówić. Niech wyrzuci z siebie, co ma do powiedzenia. Może łatwiej przyjdzie mu przełknięcie tego, co powiem ja. Nie żeby mnie to w ogóle interesowało. Nie mam do niego sentymentu i wiem, że ma braki w charakterze, jednak nie mogłem nigdy narzekać na jego skuteczność. Ograniczał się zawsze do wodzenia wzrokiem za pracownikami, ale nigdy nie spowodował żadnej sceny. Przynajmniej o niczym takim nie wiem.

*Jak wiele sytuacji molestowania i mobbingu w firmie jest zamiatane pod dywan z obawy o utratę twarzy lub pracy?*

– Wydaje im się, że są lepsze od całej firmy i mogą rozkazywać dyrektorowi tylko dlatego, że mają biurka ustawione piętro wyżej. Chodzi tak jedna z drugą, świeci cyckami, kręci dupą i myśli, że dzięki temu wszystko jej ujdzie płazem. Już ja z nimi zrobię porządek! Proszę mi pozwolić ustawić je do pionu.

Aż zaciera ręce na tę myśl, a w oczach pojawia mu się jakiś niezdrowy błysk.

– Pan już zrobił wystarczający bałagan, teraz to ja muszę sprzątać. Jest pan zwolniony w trybie natychmiastowym – oznajmiam chłodnym tonem.

Patrzę beznamiętnie, jak cała krew odpływa z jego do tej pory czerwonej twarzy.

– J-jak to? – jąka się.

– Zgodnie z kodeksem pracy zostaje pan zwolniony za zakłócenie porządku w miejscu pracy. Lepiej niech pan ładnie przeprosi moje dziewczyny, żeby sprawa nie trafiła do sądu. Proszę natychmiast opuścić budynek, zostawiając kartę dostępu na biurku. Resztę informacji przekaże panu HR, a teraz żegnam. – Tracę zainteresowanie nim.

Stoi jeszcze chwilę niezdecydowany, po czym opuszcza gabinet.

Jakiś czas później przeciągam się za biurkiem. To był długi dzień, czas ruszać do domu. Dziewczyny już chyba wyszły, bo jest cicho. Dzwoni telefon.

– Konrad, dwudzieste drugie piętro!

Marszczę brwi. Tomek nie zwraca się do mnie po imieniu w czasie pracy. Coś musiało się stać.

Widok, jaki zastaję przy windach na dwudziestym drugim piętrze, jednocześnie mrozi moje serce i powoduje, że krew gotuje się w żyłach. Poza wianuszkami ochroniarzy widzę siedzącą pod ścianą Idę. Nogi ma zgięte w kolanach i opiera na nich czoło. Kiedy podnosi na mnie wzrok, widzę w jej oczach łzy. Ma potargane włosy, rozciętą wargę i ślad po uderzeniu na policzku. Na mój widok zaczyna jej się trząść broda.

– Kto? – pytam, a przez mój głos przebija stal.

Ochroniarze jak jeden wskazują głowami otwartą windę, w której leży nieprzytomny eksdyrektor Nowicki. Doskakuję do niego, łapię za poły marynarki i zaczynam nim potrząsać.

– Obudź się, gnoju, żebym mógł ci sprać ryj!

Widać, że ktoś zasadził mu niezłego sierpowego, bo ma spuchniętą połowę twarzy i chyba złamany nos. Oddycha, a ja mam ochotę to zmienić. Tomek musi odciągać mnie siłą.

– Szkoda brudzić ręce, panie prezesie – mówi Ida trochę niewyraźnie przez spuchniętą wargę.

– Zadzwoniliście na policję?

Próbuję wyrównać oddech i myśleć racjonalnie.

– Tak jest – odzywa się szef ochrony budynku.

– Jak, do cholery, do tego doszło? Kazałem go pilnować!

– Dlatego go zauważyliśmy. Był sprytny, zatrzymał windę między piętrami. Musieliśmy przełączyć się na zdalne sterowanie, żeby ściągnąć ją na piętro i go dorwać. W tym czasie zdążył... – Ochroniarz wskazuje moją asystentkę.

Zdejmuję marynarkę i otulam nią Idę. Uśmiecha się do mnie słabo.

– Nic więcej ci nie zrobił? – upewniam się.

– Nie. Zaskoczył mnie. Zdążyłabym wysiąść, ale grzebałam w torebce w poszukiwaniu drobnych na autobus. Dopiero jak zatrzymał windę, zorientowałam się, z kim jestem uwięziona. Zaczął krzyczeć i wygadywać świństwa. Próbował mnie macać, a kiedy się wyrywałam, uderzył mnie. – Krzywi się. – Naplułam mu w twarz i kopnęłam. Celowałam w jaja, ale nie trafiłam. Kiedy drzwi się otworzyły, wpadł Tomek i położył go jednym ciosem. – Patrzy na Tomka z podziwem. – Dzięki.

W tym momencie z drugiej windy wysiadają policjanci. Ida składa zeznania. Wkurwiam się ponownie, słysząc, że Nowicki nie pierwszy raz jej groził.

*Zabiję skurwysyna!*

Patrzę na Tomka, ale kręci głową. Też nic o tym nie wiedział. Policjanci spisują dane Sylwii jako świadka, zabezpieczają nagrania wideo, skuwają zalanego krwią Nowickiego i uprzedzają, że może być konieczność stawienia się na posterunku w celu złożenia dodatkowych wyjaśnień. Zabieram Idę do samochodu. Nic nie mówi całą drogę, otula się tylko bardziej moją marynarką i zamyka oczy, jakby chciała zasnąć.

W domu zamykam się w swoim pokoju, jak zawsze głuchy na pytania Idy, czy przyłączę się do oglądania telewizji. Po takim dniu nie zdziwię się, jeżeli do ich wieczorku filmowego dołączy alkohol, tym bardziej że Ida skończyła brać antybiotyki. Sam bym się napił, ale nie mogę stracić kontroli. Boję się, że Ida odgadnie, jak wielką ma nade mną moc. Jeżeli rzeczywiście jest szpiegiem, może to wykorzystać na wiele sposobów, z których żaden nie budzi we mnie entuzjazmu.

*Jeżeli nie mogę zaufać Idzie, to wszystko nie ma sensu!*

Te cholerne czekci męczą mnie jak kamyk, który wpadł do buta biegacza na początku maratonu.

Otwieram sejf i wysypuję zawartość puszek na biurko; ląduje na nim sporo sadzy i nadpalonych skrawków papieru. Ostrożnie rozwijam czekci, rozkładam na biurku każdy z osobna i wgapiam się w nie, jakby miały dać mi jakąkolwiek wskazówkę. Po wybuchu nie było czasu, żeby się im bliżej przyjrzeć.

*Jesteśmy kretynami!*

Zaczynam śmiać się na głos. Ulżyło mi tak, że aż mam ochotę tańczyć. Dzwonię do Tomka, żeby przyszedł.

– Co jest? – pyta od drzwi, z butelką piwa w ręce.

– Popatrz na czekci. Co widzisz?

Tomek pochyła się nad biurkiem i przygląda każdemu skrawkowi z osobna.

– Jakaś podpowiedź?

– Daty.

Jestem niezwykle dumnym z siebie idiotą.

– O cholera! Masz rację! Jesteśmy debilami! Super! – Tomek też zdaje się zadowolony z własnego uszczerbku na rozumie. – Obejrzeliśmy je na szybciora i nie popatrzyliśmy na lata. Uznaliśmy, że wszystkie czekci wystawiono jednego dnia. Dzień jest rzeczywiście ten sam, ale lata się zmieniają.

– Co roku jeden. Na urodziny?

– Raczej nie, data się nie zgadza. Zagadka dalej nie jest rozwiązana, ale Ida jest czysta! Trzeba to uczcić. Piwo? – Wskazuje na butelkę.

Kręcę głową. Chcę go ostrzec, żeby nie pił za dużo. W mojej paranoidealnej głowie rodzi się myśl, że dzisiaj jest niebezpiecznie, bo Tomek stał się dla Idy wybawcą i bohaterem. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby w nocy obudziły mnie odgłosy seksu. Jednak mam świadomość, że takie ostrzeżenie nic nie da.

– Oddamy jej czekci? – pyta Tomek przed wyjściem.

– Jeszcze nie. Możemy rzeczywiście uznać, że Ida nie jest nasłanym szpiegiem, ale coś mi i tak nie pasuje w tej historii.

Tomek kiwa głową i wychodzi dołączyć do Idy, która właśnie śmieje się z jakiejś sceny w telewizji. A ja jestem jednocześnie uspokojony i trochę zaniepokojony, że nie mam teraz żadnego realnego powodu, żeby trzymać się z daleka od swojej asystentki.



Siedzimy z Tomkiem prawie do rana. Chyba wyczuwa, że nie mam ochoty na sen. Boję się, że przyśni mi się klaustrofobiczna winda, dyrektor i jego obleśne łapy. Policzek boli mnie od ciosu, warga pęka przy każdym uśmiechu.

*To nic w porównaniu z wybuchem, zagoi się. Zapomnę.*

Póki co szukam aktywnie zapomnienia w piwie. Liczba pustych butelek pod stołem rośnie. Jest nam coraz bardziej wesoło. Tomek właśnie opowiada o swojej pierwszej dziewczynie.

– I wyobraź sobie, że ona nie była, uwaga!, chłopakiem. – Śmiesz nas to okropnie.

Jedną ręką trzymam się za brzuch w obawie, że pęknę ze śmiechu, a drugą kładę Tomkowi na kolanie. Taki bezwiedny gest, bez znaczenia. Przynajmniej był bez znaczenia do momentu, kiedy Tomek poważnieje i spogląda mi głęboko w oczy. Śmiech zamiera mi na ustach, bo czuję przeskakującą iskrę. Nigdy do tej pory nie patrzyłam na Tomka w ten sposób. Jasne, nie mam wątpliwości, że jest dobrze zbudowanym i niebrzydkim facetem o pięknym wnętrzu. Jednak do tej chwili był dla mnie jak kumpel. Teraz patrzę mu w oczy i zagryzam wargę, a w mojej głowie pojawiają się dziwne myśli. Jego wzrok automatycznie ląduje na moich ustach. Zastygamy tak,

a żadne z nas nie ma wystarczającej odwagi na kolejny krok. Tomek otrząsa się pierwszy.

– Późno już, czas iść spać. Tobie prezes pozwolił jutro zostać w domu, ale ja muszę wstać do pracy. Dobranoc.

Zostaję sama z Pankracym zwiniętym w kłębek na dywanie i zamętem w głowie.

Następnego dnia problematyczne okazuje się samo otworzenie oczu. Świat się kręci, a moje wnętrzości wirują, kiedy ledwo dobiegam do toalety.

*Jednak nie, fałszywy alarm.*

Przez chwilę klęczę jeszcze w łazience, próbując się pozbierać. Ochlapuję twarz wodą, a z lustra spogląda na mnie blade czupiradło z worami pod oczami. Widok, jaki zastaję po libacji w salonie, jest równie uroczy.

– Dobrze, że dzisiaj nie ma Lucynki, zachowam chociaż godność – gadam do siebie, jednocześnie zbierając butelki rozsypane po podłodze.

Ich liczba nie wskazuje, że piliśmy tylko we dwoje. W głowie świta mi, że o czymś powinnam sobie przypomnieć.

*Ale o czym?*

Niemal cały dzień marnuję na uzalaniu się nad swoim stanem i popijaniu wody małymi łykami. Dopiero w porze obiadu ożywam na tyle, żeby pochłonąć dużą porcję tostów.

Prezes i Tomek wracają wyjątkowo wcześniej. Tomek rzuca tylko „cześć” i zamyka się w pokoju, więc nie mam szansy zapytać, czy jemu też od rana wali po głowie młot kowalski. Prezes jest za to w wyjątkowo dobrym nastroju.

– Ida, chciałbym ci coś pokazać, masz czas? – pyta podczas zdejmowania marynarki i krawata.

Kiwam tylko głową, bo właśnie zaczął rozpinać guziki koszuli i mój mózg stracił możliwości operacyjne.

*Dawaj, jeszcze jeden guziczek, jeszcze...*

– W takim razie widzimy się tu za piętnaście minut – rzuca i znika w pokoju.

Stoję na środku z idiotyczną miną.

*Piętnaście minut? Przecież nie zdążę!*

Wciągam jeansy, białą koszulkę, trampki, a na górę zarzucam długą pudrową marynarkę. Skoro prezes zdjął krawat, to znaczy, że nie wybieramy się na spotkanie biznesowe. Szybki makijaż, na który Aga wyróciłaby oczami, i jestem gotowa prawie na czas. Dobrze, że wargi zaczęła się goić, a na policzku nie zrobił się siniak. Prezes już na mnie czeka, opierając się niedbale o ścianę. Na mój widok rusza do drzwi. Przebrał się w przetarte jeansy i czarny golf, uwidaczniający jego sylwetkę i bicepsy.

*Żadne zaskoczenie, że podoba mi się jego kolejne nieprezeso-  
wydanie.*

– Dokąd jedziemy? – pytam już w windzie, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Zobaczysz.

Zjeżdżamy na parking, gdzie prezes mija swój samochód i zatrzymuje się przy czerwonym sedanie. Wyciąga z kieszeni kluczyki i mi je rzuca.

– Jest twój. Nie chcę słyszeć po raz kolejny, że masz jakieś problemy z powodu jazdy autobusem. Skoro nie podoba ci się dojeżdżanie do pracy ze mną – wzrusza ramionami – to jeźdź sama.

– Ale... – Patrzę na świecąca karoserię, wypolerowane felgi i jasną skórę tapicerki. – Mówiłam, że nie chcę prezentów. Zwłaszcza takich.

– A ja mówiłem, że jak dostaniesz ode mnie prezent, to będziesz o tym wiedziała. Samochód jest służbowy. Nie sprzedasz go, żeby zamienić na kocią karmę.

Przez chwilę toczę wewnętrzną walkę.

*Co tam, skoro auto jest służbowe!*



– Iiiii! Jest cudowny! – Wydaję z siebie przeciągły pisk zachwytu, który wychodzi tym głośniej, że powstrzymywałam się, odkąd zobaczyłam samochód.

Podskakuję jak dziecko na widok lizaka. Ściskam w ręce kluczyk i odstawiam taniec radości. Prezes włożył ręce do kieszeni i przygląda mi się z pobłażliwym uśmiechem.

– Chcesz się przejechać?

– Jasne!

Naciskam największy guzik na pilocie i okazuje się, że trafiłam, bo kierunkowskazy oznajmniają mignięciem, że alarm został wyłączony. Prezes otwiera przede mną drzwi od strony kierowcy, po czym siada jako pasażer. Wszystko muszę obmacać, wszędzie zajrzeć. Kiedy przekręcam kluczyk, a silnik odpala, klaszczę w dłonie z zachwytu.

*To jednak nie atrapa!*

Ruszam ostrożnie. Wyjeżdżam z miejsca parkingowego i zakręcam z marginesem, jakbym prowadziła ciężarówkę. Prezes nic nie mówi, dalej tylko patrzy z lekkim uśmiechem. Skupiam się całą sobą, żeby nie popełnić jakiegoś błędu i nie zarysować auta na pierwszych metrach. Nagle hamuję ostro, głowy lecą nam do przodu.

*Nieplanowany test hamulców – zdany.*

– A co z Tomkiem? Możemy tak bez niego?

Rychło w czas przypominam sobie o konieczności zabrania ochrony.

– Zepsułaś Tomka. – Prezes wygląda na rozbawionego. – Nie wiem, co mu zrobiłaś wczoraj wieczorem, ale dzisiaj nie nadaje się do niczego. Widziałem, ile wypiliście, ale nawet gdyby te wszystkie flaszki obalił sam, to nie powinien być w takim stanie. W każdym razie mnie się nigdy nie udało upić go do stanu nieużywalności.

Prezes się śmieje, ale mnie nie jest do śmiechu, bo nagle mam przebłysk.

– O kurza blaszka! Jasna pelargonia!

Ukrywam twarz w dłoniach na wspomnienie wczorajszego wieczoru. Przypomina mi się wszystko, łącznie z tym, jak prawie pocałowałam Tomka. Albo on mnie.

– Ha, więc to jednak twoja sprawa. Co zrobiłaś Tomkowi?

– Nie powiem – mamroczę z nadal ukrytą twarzą. – Musiałby mnie pan upić, ale ja od dzisiaj nie tknę alkoholu. Nigdy.

Śmieje się ze mnie.

*Normalnie się ze mnie śmieje, kiedy ja mam ochotę zapaść się pod ziemię!*

– W takim razie może wypijmy kawę zamiast alkoholu, ja stawiam.

– I ciacho? – pytam, patrząc na niego przez palce.

– I ciacho. – Zgadza się od razu. – Znam świetne miejsce.

– W takim razie w drogę!

Odrywam ręce od twarzy i ruszam, prawie z piskiem opon. Śmiech prezesa powoduje, że i ja zaczynam mieć na twarzy rogała.

Prezes sprawnie kieruje mnie przez miasto. Jazda nowym autem sprawia mi prawie tak wielką frajdę jak jazda rowerem. Samochód zostawiamy na parkingu, skąd mamy krótki spacer do wspomnianej kawiarni. Prezes wyciąga z bagażnika długą, czarną parasolkę i informuje, że dzisiaj ma padać. Patrzę w bezchmurne niebo, ale nic nie mówię. Z parasolką wygląda bardziej zawadiacko.

Kiedy idziemy tak ramię w ramię ulicami Warszawy, nie czuję się, jakbym szła z szefem. Prezes zwierza mi się ze swojej fascynacji samochodami i ich osiągami. Chyba jest to pierwsza prywatna informacja, jaką mi o sobie wyjawiał. Większość nazw marek nic mi nie mówi, a techniczne szczegóły ulatują zaraz po usłyszeniu, ale podoba mi się pasja, z jaką opowiada. Lubię słuchać jego głosu. Obiecuje pokazać mi swój prywatny garaż, gdzie trzyma całą kolekcję samochodów.

Nie miałabym nic przeciwko, gdyby ten spacer trwał dłużej, ale już po chwili wchodzimy do niewielkiej kawiarenki. W prostym

wnętrzu urządzonym w skandynawskim stylu mieści się zaledwie parę stolików, z których wszystkie poza jednym są zajęte. Prezes siada i wskazuje mi ladę z ciastkami.

– Wybierz sobie jakieś.

Prościej powiedzieć, niż zrobić. Tort bezowy z malinami powoduje, że ślinka cieknie mi na sam widok, za to brownie z solonym karmelem jest spełnieniem moich snów. Rozdarta wewnętrznie drepczę przed ladą, kiedy za moimi plecami pojawia się prezes.

– Na które masz ochotę? – pyta, nachylając się przez moje ramię.

– Beza i brownie...

Drapię się w nos. Moja dusza cukroholika pragnie zjeść oba, ale mam obawy, że wyjdę na największego obżarciucha. Do tego bliskość prezesa wcale nie poprawia mojej decyzyjności.

– Poprosimy dwie duże latte, tort bezowy i brownie z karmelem – zamawia.

Nie musi pytać, jaką lubię kawę, bo rozmawialiśmy o tym przy ekspresie, choć dziwi mnie trochę, że zapamiętał. Jestem przeszczęśliwa do momentu, kiedy kelnerka przynosi zamówienie i pyta dla kogo tort bezowy.

– Dla mnie! – odzywam się od razu.

Kelnerka nie zadaje więcej pytań, tylko zakłada, że drugie ciastko jest dla prezesa. Kiedy sięgam po talerzyk z brownie, ten odjeżdża poza mój zasięg.

– To moje. Na pierwszej randce powinnaś zachować pozory wstrzemięźliwości. Podzielimy się po połowie – mówi prezes.

Jestem pewna, że odgłos szczęki uderzającej o stół słychać w całym lokalu.

– To my jesteśmy na randce? – pytam, bo chyba w harmonogramie spotkań prezesa przegapiłam informację mówiącą, że dzisiaj wieczorem ma ze mną randkę.

– Widzisz tutaj gdzieś salę konferencyjną i teczki z dokumentami? Na pewno nie jest to spotkanie biznesowe. Zaprosiłem cię na kawę, a to znaczy, że jesteśmy na randce. – Wzrusza ramionami, ale jego zielone oczy śmieją się do mnie i chyba jest z siebie bardzo zadowolony.

*Randka z prezesem... Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nigdy o tym nie fantazjowałam.*

Niejedną noc spędziłam bezsennie, wyobrażając sobie, że puszczam wszystkie hamulce, ignoruję światła ostrzegawcze i przeskakuję stawiane przez siebie samą mury. Wracałam myślami do tego momentu w gabinecie prezesa, kiedy przyszpilił mnie do kanapy. Wyobrażnia pchała fabułę do przodu, pozwalając naszym ustom zetknąć się w namiętym pocałunku. A później...

Zagryzam wargę, bo zagalopowałam się zdecydowanie za daleko. Prezes patrzy na mnie uważnie. Wiem, że żadna z moich reakcji mu nie umknęła.

– Dobra strategia. Prosta do spełnienia definicja zapewni panu bogate życie randkowe, jeżeli wystarczy do tego tylko kobieta plus kawa – kpię z niego.

– Gdybym chciał podbijać statystyki. Ale nie, nie zawsze takie spotkanie jest randką. Przeważnie moje randki wyglądają inaczej. Są bardziej – szuka słowa – intensywne. Ta jest wyjątkowa, bo ty jesteś tu ze mną. – Już się nie śmieje.

Na jego twarzy i w oczach widzę samą powagę. Im dłużej się we mnie wpatruje, tym bardziej mój świat zawęża się do jego zielonych tęczywek. Chcę powiedzieć coś zabawnego, zbyć go inteligentną ripostą, ale mam pustkę w głowie.

– Ido. – Muska opuszkami moją dłoń leżącą na stole, a mnie przechodzi dreszcz rozchodzący się wzdłuż ramienia. Nie cofam się, nadal zahipnotyzowana zielonym spojrzeniem. – Znamy się już jakiś czas. Mieszkamy pod jednym dachem. Pijemy razem kawę na randce. Zależy mi, żebyś w takich sytuacjach nazywała mnie po imieniu.

Mimo mojej woli powoli, ale metodycznie przedziera się do mojego serca, stając się Konradem. Próbuję się przed tym bronić, ale moje starania mają w sobie coraz mniej przekonania. Prawie się łamię.

*Przecież to tylko imię...*

Powstrzymuje mnie jedynie przecucie, że nazwanie go po imieniu jest pierwszym krokiem na drodze, na której czyha na mnie wielka przepaść pełna łez i rozczarowań.

*Atak jest najlepszą obroną.*

– Panie prezesie – przechodzę na służbowy ton – nie interesują mnie pana randki ani ich intensywność. Nie chcę być jedną z kobiet, z którymi – robię palcami znak cudzysłowu – pija pan kawę. Dzisiaj niewinna randka z Idą, w niedzielę intensywne śniadanie z blondynką poznaną w klubie. Różnorodność i brak nudy gwarantowany. Dziękuję, ja wysiadam. Je pan to ciastko?

Zabieram mu talerzyk z ledwo napoczętym brownie i nie czekając na odpowiedź, zaczynam jeść, ostentacyjnie rozglądając się po kawiarni, jakbym straciła nim zainteresowanie. Nawet tego nie zauważył, bo wpatruje się we mnie uważnie. Chyba podoba mu się to, co we mnie wyczytał, bo uśmiecha się z zadowoleniem, jakby na jego twarzy rozświetliły się butelkowozielone gwiazdy.

– Jesteś zazdrosna! – stwierdza triumfalnie.

Grozę mu tylko widelczykiem, bo jestem zbyt zajęta pochłanianiem ciastka, żeby zaszczycić go odpowiedzią na tak absurdalne stwierdzenie. Kiedy kończę, od razu podnoszę się z miejsca, dziękuję i kieruję się w stronę wyjścia. Z chichotem towarzyszy mi na zewnątrz. Rzeczywiście pada. Prezes rozkłada parasol i proponuje mi ramię. Deszcz nie jest może ulewny, ale wystarczający, żeby przemoczyć mnie do suchej nitki w drodze do samochodu. Biorę więc prezesa pod ramię i staram się za bardzo do niego nie kleić. Mimo to serce zaczyna mi szybciej bić, kiedy czuję jego ciepło i zapach. Jest to pewien rodzaj intymnego przeżycia,

takie wspólne zamknięcie się w świecie pod parasolem. Wsłuchuję się, bo mój towarzysz mruczy jakąś melodię. Po chwili oboje podśpiewujemy pod nosem piosenkę o deszczu z amerykańskiego musicalu.

Niespodziewanie prezes przerywa i oznajmia, że zatrzymamy się po drodze w sklepie zoologicznym.

– Twój sierściuch panoszy się po całym domu. Pomyślałem, że jak kupimy mu jakieś legowisko i drapak, to będzie znał swoje miejsce.

Wiem, że tak naprawdę nie ma tego na myśli. Wiele razy widziałam, jak po nalaniu mleka do kawy częstował też kota albo jak rozglądał się, czy nikt nie patrzy, po czym wołał go do swojego pokoju. Chyba wziął sobie za punkt honoru, żeby nie okazywać przywiązania do Pankracego.

Dział z akcesoriami dla kota wciąga nas oboje jednakowo mocno. Po chwili nie ma rzeczy, której byśmy nie obejrzel, dotknęli albo skomentowali.

– To mi się podoba. – Prezes próbuje połaskotać mnie po policzku piórkiem na giętym patyku.

Zaczynam przed nim uciekać i ze śmiechem robimy rundę dookoła regałów.

*Już widzę pierwsze strony gazet z naszym zdjęciem i podpisem „Gra wstępna z pracownicą w sklepie zoologicznym – fetysz prezesa Cardeckiego ujawniony”. Taka gratka dla tabloidów.*

– Czy mogę w czymś pomóc? – pyta sprzedawczyni, zapewne zaniepokojona, czy nie rozniesiemy jej sklepu.

Młoda i ładna dziewczyna rzuca spojrzeniami w kierunku prezesa.

– Szukamy rzeczy dla kota. Ten pan – wskazuję na prezesa – wyda każde pieniądze, żeby rozpieścić swojego ukochanego sierściucha.

Chichoczę pod nosem zadowolona, że go wkręciłam. Jednak on nie wydaje się ani trochę speszony.

– Oczywiście. Jak już wpuszczę kogoś do swojego serca, to nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych – odpowiada poważnie, patrząc mi w oczy.

Teraz to ja się peszę i spuszczam wzrok. Prezes ignoruje dziewczynę i odchodzi w kierunku półki z karmą dla kotów, a ekspedientka nachyla się do mnie i mówi cicho:

– Ma pani szczęście, że znalazła takiego chłopaka. Przystojny i na dodatek kocha zwierzęta. Zazdroszczę.

– Nie jesteśmy parą.

*Czy ja właśnie poczułam żal z tego powodu?*

– Och, czy w takim razie mogę dostać jego numer telefonu?

*Dziewczyno, myślisz, że tak ci ułatwię życie?*

– Może pani próbować – mówię i wracam do przeglądania kocich akcesoriów.

Przy kasie prezes dopytuje o rodzaje drapaków. Wybiera w końcu największy, jaki jest w sklepie, zbywając machnięciem ręki komentarz ekspedientki o cenie.

*Jeżeli kiedykolwiek wylądujemy na bruku, to spokojnie zamieszkać z Pankracym w jego drapakach.*

Prezes podaje adres do dostawy, bo chociaż jesteśmy już blisko parkingu, to dwa metry kociego placu zabaw nie zmieszczą się do samochodu. Ze sklepu wychodzimy z mniejszymi zakupami w postaci legowiska oraz masy zabawek i smakołyków.

– Przepraszam! Nie podałem panu numeru telefonu do zamówienia!  
– woła za nami ekspedientka, choć zdążyliśmy już kawałek przejść.

Parskam z rozbawieniem nad przedsiębiorczością dziewczyny. Podziwiam jej determinację. Spodziewam się, że najdalej w weekend prezes odbierze telefon zaczynający się od słów „też kocham koty”. On wraca parę kroków, żeby podać namiar, a ja patrzę na wystawę jubilera, przy której akurat stoję.

*Ładne świecidełka.*

Mój wzrok przyciąga zegarek z drobnymi kamyczkami dookoła tarczy. Za szybą nie widzę cen, co oznacza tyle, że mnie na niego nie stać.

– Podoba ci się któryś? – Prezes staje za mną i opiera brodę na moim ramieniu.

– Nie. Oglądam z nudów.

– Oj, nuda na randce ze mną. Niedobrze. – Udaje zatroskanie. – Następnym razem bardziej się postaram.

– Dałeś jej swój numer? – pytam, choć sama nie wiem dlaczego.

Tym bardziej że w odbiciu witryny widzę, jak jego uśmiech się poszerza.

– Zazdrość na randce ze mną. Bardzo dobrze!

Wzruszam ramionami, żeby strącić jego głowę, i ruszam dalej. Na szczęście przestało padać. Wyraz zadowolenia, który nie chce zejść z jego twarzy, wkurza mnie do tego stopnia, że nie mam ochoty z nim rozmawiać.

– Wiesz, czym powinna się zakończyć randka? – To pytanie zaskakuje mnie, gdy jesteśmy już w windzie.

Nie rozumiem, co ma na myśli. Odruchowo robię krok w tył, kiedy się do mnie przybliża. Mnóstwo myśli przelatuje mi przez głowę.

– Co pan robi? Mam złe wspomnienia z windy... – Podnoszę rękę w obronnym geście.

– Chciałbym zmienić te wspomnienia – mówi, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Nie mam gdzie uciec, moje plecy dotykają już ściany. Prezes opiera jedną rękę koło mojej głowy, a drugą łapie mnie za brodę i ją unosi. Nasze spojrzenia się spotykają. Chciałabym się odsunąć, ale nie tylko nie mam gdzie – nie potrafię się już ruszyć, omamiona zielenią. Coś w moim brzuchu fika koziołka. Prezes przymyka oczy i muska moje wargi w lekkim pocałunku. Jak trzepot skrzydła



motyla, ledwo wyczuwalny, a jednak dotyk jego ust posyła elektryczny impuls przez całe moje ciało. Prezes nadal patrzy mi spokojnie w oczy. Słyszę w głowie telepatyczny przekaz: „Dałem ci czas na protest”, po czym pochyla się nade mną ponownie i tym razem całuje naprawdę. Jego wargi zapoznają się z moimi powoli, nieśpiesznie. Jakby chciał się nacieszyć chwilą. Oddaję pocałunek. Moje ciało traci łączność z rozumem, bo zamiast go odepchnąć, łapię za materiał golfu na piersi i przyciągam bliżej. Nic więcej się nie liczy. Tylko ten zmysłowy taniec naszych ust i obezwładniające uczucie, które mnie ogarnia. Mimowolnie rozchyłam wargi i muskam go leciutko koniuszkiem języka. Wydaje z siebie głęboki pomruk i przyszpila mnie całym ciałem do ściany.

*Smakuje lepiej niż połączenie brownie z bezą...*

Gdzieś w tle słyszę szum rozsuwających się drzwi windy, który po chwili powtarza się przy ich zamykaniu. Prezes pogłębia pocałunek, nadal smakując mnie nieśpiesznie.

*Nie chcę, żeby ta chwila się skończyła* – przelatuje mi przez głowę, kiedy odrywa usta od moich. Nie odsuwa się jednak. Łapię oddech jak ryba wyjęta z wody, on też oddycha ciężko. Opiera swoje czoło o moje i mówi:

– Teraz to była prawdziwa randka.

Całuje mnie w czoło, podnosi zakupy i czeka, aż drzwi się otworzą, żeby go wypuścić. Ja nie potrafię się ruszyć. Najchętniej zamknęłabym się teraz w windzie, żeby na spokojnie przeanalizować, co się właśnie stało.

*Jeżeli posiedzę tu ze trzy dni, to dojdę do wniosku, że wszystko mi się przyśniło. Tak byłoby najlepiej.*

Drzwi windy zaczynają się znowu zamykać. Prezes blokuje je ręką.

– Idziesz? – pyta, nadal z głodem w spojrzeniu.

W domu od progu wołam Pankracego, ale to Tomek wystawia głowę ze swojego pokoju i lustruje nas uważnie.

– Wychodziliście?

*Mam nadzieję, że wyglądam normalnie, bo czuję czerwien na policzkach i pulsowanie ust.*

– Pokazałem Idzie samochód i byliśmy się przejechać – odpowiada prezes, jakby scena w windzie się nie odbyła.

– Dlaczego nic mi nie powiedzieliście? Wzięliście ochronę? – Tomek wygląda na złego.

– Nie było takiej potrzeby, a ty byłeś zbyt zajęty wzdychaniem, żeby w ogóle zauważyć, że nas nie ma.

– To mnie płacisz za ocenę, czy potrzebujesz ochrony. Zwłaszcza teraz, kiedy Ruscy podkładają bomby. Pomyśl, jak naraziłeś Idę! – Pierwszy raz jestem świadkiem podniesienia głosu przez Tomka.

– Jeżeli ci płacę, to wywiązuje się z obowiązków! – Prezes nie pozostaje mu dłużny.

Stają przed sobą i mierzą się groźnie wzrokiem. Prezes jest parę centymetrów wyższy, ale za to Tomek zdecydowanie szerszy w barach.

– Stop! Pas, panowie. – Wchodzę między nich i wyciągam ręce, żeby ich powstrzymać. – Tomek się o nas martwi i ma rację. Przepraszamy, następnym razem cię powiadomimy. Nic się jednak nie stało, nie ma więc powodów do złości.

Obaj jakby na niewidzialny znak robią pół kroku do przodu, przez co moje ręce stykają się teraz z ich klatkami piersiowymi. Zrobią kolejne pół kroku i mnie zmiążdżą.

*Ciekawe, kim jestem w tej kanapce – szynką czy serem?*

Pod dłońmi czuję bicie ich serc. Miarowe, silne uderzenia serca prezesa i szybszy puls Tomka. Wszystko to powoduje, że moje serce wali jak oszalałe. Nadmiar testosteronu aż fruwa w powietrzu.

– Tomek? – Patrzę na niego prosząco. – Panie prezesie? – Spoglądam w jego twarz z nadzieją.

Sytuację rozładowuje nieoczekiwany negocjator w postaci Pankracego, który wkracza do akcji ze swoją kocią energią. Miauczy i ociera się o nogi, krążąc pomiędzy nami w nieskończonym slalomie. Parskam śmiechem.

– Nawet Pankracy nie chce, żebyście się kłócili.

Oddycham z ulgą, kiedy odpuszczają i odsuwają się prawie równocześnie. Prezes znika w swoim pokoju bez słowa.

– Możemy porozmawiać? – pytam Tomka.

Ten patrzy na mnie przez chwilę w milczeniu.

– O czymś związanym z bezpieczeństwem?

– Nie, po prostu chcę pogadać.

*Chociaż nie jestem pewna, czy rozmowa o pocałunku, którego nie było, jest dobrym pomysłem chwilę po całowaniu się z kimś innym.*

Widzę, jak jego wzrok ślizga się po moich włosach i twarzy. Patrzy na usta, unika jednak patrzenia mi w oczy.

– Nie dzisiaj, Ida. Jeżeli czegoś potrzebujesz, to proś Konrada. Ja dzisiaj nie mogę. Jutro będzie jak zawsze, ale... nie dzisiaj – mówi niejasno i zamyka się w pokoju.

*Naprawdę go zepsułam.*



Wiercę się z boku na bok i co chwilę dotykam swoich ust. Pankracy przychodzi spać ze mną, czego szybko żałuje, bo umyka, kiedy nie potrafię zasnąć.

*Czy naprawdę prezes mnie pocałował, czy była to moja kolejna fantazja? Jak zwykły pocałunek mógł być taki, że czułam go w całym ciele? Jasne, całowałam się wcześniej z facetami, ale nigdy nie było to tak... elektryzujące.*

Zasypiam grubo po północy.

Następnego dnia spotykamy się wszyscy na śniadaniu. Wydaje się, że atmosfera jest taka jak zawsze. Nie wyczuwam żadnego napięcia. Tomek też zachowuje się w stosunku do mnie tak jak wcześniej, a prezes wszedł w tryb uprzejmego ignorowania mnie.

Przyjechał drapak dla Pankracego, co daje nam pretekst do wesołości.

– Wyobrażasz sobie, jakie kompleksy musi mieć właściciel tego kociego wieżowca? – nabija się Tomek.

– Taaakie wielkie! – Pokazuję rękami więcej, niż byłabym w stanie objąć.

– A jakie musi mieć to, co powoduje kompleksy?

Po wskazaniu przez mnie milimetra odległości między dwoma palcami oboje wybuchamy śmiechem. Prezes zbywa nas wzruszeniem ramion i chowa się w pokoju.

Za to w biurze nie potrafię zapanować nad emocjami. Codzienna, czysto biznesowa kawa z prezesem powoduje, że staję się drażliwa.

– Amant od siedmiu boleści, kapuśniak z boczkiem, Casanova zakompleksiony! – mamroczę do siebie, żeby choć trochę dać wyraz swojej frustracji.

Prezes zachowuje się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Przez to czuję, jakbym nie zdała jakiegoś testu.

*To tyle? Spróbował, nie spodobało mu się i koniec, bez komentarza?*

Kiedy wracam do biurka, znowu bezwiednie dotykam ust. Jestem zła sama na siebie, że wystarczył pocałunek, żebym nie potrafiła przestać o nim myśleć. Dla prezesa zapewne był to nic nieznaczący epizod, jeden z wielu w jego intensywnym życiu randkowym.

*Za to wystarczył jeden pocałunek, żeby świat biednej Idy się zakołysał. Żałosne.*

Z rozmyślań wyrywa mnie Sylwia, komunikując, że mamy gościa. Dziwię się bardzo, ponieważ odkąd tutaj pracuję, na górę nie wjechała żadna osoba, która nie miałaby wcześniej umówionego spotkania. Przez szklane drzwi wchodzi kobieta. Jest zjawiskowa – to słowo jako pierwsze przychodzi mi na myśl. Ma proste blond włosy sięgające do połowy pleców, idealne rysy twarzy, figurę bogini w koronkowej małej czarnej i nogi długości... brakuje mi porównania. Przechodzi obok, nie zaszczycając nas spojrzeniem. Sylwia próbuje ją zatrzymać uprzejmym „przepraszam”, ale kobieta nawet nie zwalnia. Kiedy podchodzi do gabinetu, błyskając czerwonymi podeszwami szpilek, drzwi otwierają się przed nią.

– Kto to był? – pytam, usilnie ignorując uczucie, które właśnie się we mnie pojawiło.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Dorota. – Nigdy jej tutaj nie było. Musi być znajomą prezesa, skoro czekał na nią pod drzwiami.

*Czego się spodziewałaś, że jesteś jedyną, którą całuje? Przecież wiedziałaś, że nie. Kretynka. Skup się na pracy!*

Kobieta spędza w gabinecie prawie dwie godziny, a kiedy wychodzi, prezes odprowadza ją do windy. Przystają i rozmawiają jeszcze chwilę, a ja jestem bardzo zajęta udawaniem, że na nich nie patrzę. Dzięki temu „nie widzę”, jak kobieta poprawia prezesowi krawat, a na pożegnanie całuje go w policzek.

Zarządzam sobie kurację z pączka i kawy.

Nie przerywam kuracji także w weekend. Wiadomo – leki należy spożywać regularnie i w dawkach dopasowanych do wagi i wieku. Oba te parametry ciągle u mnie rosną, więc muszę się odpowiednio dostosowywać. Prezes z Tomkiem wyszli do klubu, jak co sobotę, a propozycji, że poszłabym z nimi, nie potraktowali ani trochę poważnie.

*Zapewne prezes znowu wróci w południe, po kolejnej intensywnej randce ze śniadaniem. Nie zająknął się ani słowem o pocałunku, bo*

został już w jego pamięci nadpisany jakimś innym. A raczej innymi. Głupia!

Zostaję więc sama z przepisem Lucyny na brownie i solony karmel. Podwajam proporcje, bo dzisiaj przyda mi się zintensyfikowana kuracja. Pomysł na upieczenie brownie pojawił się, żeby zrekompensować prezesowi zjedzone przeze mnie ciastko. Teraz wyzywam się w myślach od idiotek i piekę je w formie babeczek z myślą, że zjem wszystkie sama.

– Co zrobiłam nie tak? – pytam samą siebie, bo ostatecznie wychodzą mi bardziej kule armatnie niż muffinki.

Pomysł zjedzenia ich wszystkich nie wydaje się już tak atrakcyjny. Wzdycham ciężko nad swoją głupotą i niosę do pokoju prezesa jedną babeczkę na talerzyku.

*Niech ma. Przecież nie jestem zazdrosna.*

Drugą zostawiam u Tomka. W ten sposób mogę się uspokoić, że jest to zwykłe dzielenie się ze współlokatorami, gest bez znaczenia. Chociaż może to być też podświadoma próba zamachu na życie prezesa, której Tomek jest tylko niewinną ofiarą.



Nocne życie Warszawy jest fascynujące. W miejscach takich jak to zbiera się cały przekrój społeczeństwa. Ładni, brzydki i nijacy tańczą na jednym parkiecie, a przy migających światłach łatwo się pomylić, kto jest kim. Studentki przyszły z kilkoma złotówkami na jednego drinka i nadzieją, że ktoś nadziany postawi im kolejne. Muzyka, alkohol i dobra zabawa łączą tych wszystkich ludzi, którzy szukają tu dzisiaj chwili zapomnienia. Kiedy jutro wstanie słońce, ujawni wiele pomyłek i rozczarowań.

*Jest jeszcze prezes Konrad Cardecki, który pomimo licznych zer na koncie sam czuje się dzisiaj zerem.*

Siedzę w łoży, sącę powoli drinka i rozmyślam. Powinienem o dupach, ale zamiast nich przelatuję w głowie po raz kolejny plan spotkania w Japonii. Muszę skupić się na czymś konkretnym, żeby nie użalać się nad sobą. W japońskiej kulturze biznesu głęboko zakorzeniony jest wzajemny szacunek i brak pośpiechu. Każda decyzja musi być starannie rozważona na różnych szczeblach organizacji, przez co proces decyzyjny tak się wlecze. Japończycy proszą o kolejne dane, żeby roztrząsać je i analizować po kawałku. Co oczywiście rodzi kolejne pytania. I tak w kółko. Są pewne rzeczy, na przykład różnice kulturowe, których nie przeskoczę. Jednak osobisty kontakt wyeliminuje niekończącą się wymianę maili i telefonów. Dlatego podróż do Tokio jest niezbędna. Nie mam jednak złudzeń. Zdaję sobie sprawę, że to, co w Rosji zajęło pół roku, w Japonii będzie trwało co najmniej dwa razy tyle. Nie mogę przy tym zapomnieć, że firma musi prosperować mimo moich futurystycznych planów. Jest masa rzeczy do zrobienia, zwłaszcza jeżeli mam wyjechać na dłużej.

Koło mojego stolika zatrzymują się dwie dziewczyny, niezrażone ochroniarzem stojącym obok. Jedna z nich niesie dwa kieliszki na wysokiej nóżce, a druga potrząsa w moim kierunku butelką szampana.

*Piękne, chętne i z własnym alkoholem – czego chcieć więcej?*

– Nie dzisiaj – mówię i kiwam głową na ochroniarza, żeby zostawiły mnie w spokoju.

Mój szef ochrony zniknął gdzieś w tłumie na dole i zapewne dobrze się bawi, ocierając się o jakieś dwie cyncate blondynki. Widok czerwonej szminki na ustach dziewczyn pcha moje myśli w zakazany kierunek. Nie miałem zamiaru pocałować Idy. Chciałem się z nią tylko podrażnić i wywołać na jej policzkach te urocze rumieńce, dlatego złapałem ją za brodę. Jej usta rozchyliły się

kusząco i wiedziałem, że nic mnie nie powstrzyma przed skosztowaniem, jak smakują. Kiedy oddała pocałunek, przepadłem. Teraz mnie unika i nie jest w stanie popatrzeć mi w oczy, a ja czuję się jak ostatni frajer.

*Zwariuję.*

Tomek wraca do stolika, cały spocony. Opróżnia jednym haustem resztę drinka i siada na kanapie, szczerząc się od ucha do ucha.

– Nie widziałem jeszcze, żebyś z własnej inicjatywy tak szalał na parkiecie – mówię, stukając się palcem po policzku. Tomek przeciera swój wierzchem dłoni, rozmazując ślad bordowej szminki.

– Może zamieniliśmy się rolami i dzisiaj to ja pójde z kimś do domu?

Wiem, że nie ma na myśli naszego mieszkania, bo odkąd jest tam Ida, nie przyprawiamy nikogo.

– Tomek?

– Hm? – rzuca pytająco i nalewa sobie wódki.

– Co zaszło między tobą a Idą, kiedy się upiliście?

Jego dłoń z kieliszkiem zatrzymuje się w połowie drogi do ust.

– Nic – mówi, po czym opróżnia kieliszek.

Patrzę na niego uważnie. Krzywi się, ale od razu obala kolejnego shota.

– Znamy się nie od dziś. Nie rzucimy się sobie do gardeł, gdyby, hipotetycznie mówiąc, spodobała nam się ta sama kobieta.

Czekam na odpowiedź, ale Tomek chyba właśnie postanowił zapieć się do nieprzytomności, żeby nie musieć ze mną o tym gadać, bo wlewa w siebie kieliszek za kieliszkiem. W końcu wstaje.

– Gdyby, hipotetycznie mówiąc, spodobała nam się ta sama kobieta, to nie byłoby tematu. Nie będę podkładał kumplowi świni – mówi, po czym klepie mnie w ramię i odchodzi w kierunku parkietu.

*Zwariuję.*



Efekt minionego weekendu jest taki, że jestem rozdrażniony i wszystko mnie wkurza. Dzisiaj zabieram Idę na pierwsze spotkanie na zewnątrz firmy. Całą prezentację przygotowała sama, a do tego będzie musiała ją wygłosić przed obcymi osobami, które jak sępy rzucą się na choćby najmniejszą nieściskość.

– Zapomniałam zabrać materiały do prezentacji! – woła Ida, kiedy jesteśmy już na parkingu, i wraca się do windy. – Zaraz będę!

Wzdycham zniecierpliwiony tym brakiem organizacji. Wiem, że jest zdenerwowana. Rozlała dzisiaj rano kawę i co najmniej dwa razy pukała do mnie z pytaniem, czy nie zostawiła notatek. Jestem jednak pewien, że da sobie radę. W razie potknięć jestem po to, żeby ją złapać.

Podjąłem decyzję – po spotkaniu wezwę ją do gabinetu i pocałuję.

*Niech się dzieje, co chce! Jeżeli da mi w twarz, będę miał swoją odpowiedź.*

Wpatruję się w drzwi windy, które otwierają się szybciej, niż przypuszczałem, ale zamiast Idy pojawia się Dorota.

– Ida zostawiła na biurku wydruki na spotkanie! – informuje, wskazując na niesione przez siebie naręcze dokumentów.

– Właśnie się po nie wróciła. Daj Tomkowi.

Spoglądam na zegarek, podczas gdy Tomek bierze od Doroty stos teczek i otwiera bagażnik.

– Wrócimy za kilka godzin – mówię do niej, otwierając tylne drzwi samochodu.

Dorota kiwa głową i odwraca się, żeby odejść. W tym momencie po parkingu rozchodzi się echo pisku opon i ogłuszającego warkotu silnika. Cała nasza trójka podnosi głowy w poszukiwaniu źródła hałasu. Przed nami przejeżdża pędem motocykl z kierowcą zwróconym bokiem. W jednej ręce trzyma pistolet maszynowy, który wypluwa w naszym kierunku grad pocisków.

– Padnij! – krzyczy Tomek, sięgając po broń.

Za późno. Wszystko przyśpiesza, jakby świat zaczął działać na dopalaczach, tylko nasze reakcje są powolne. Próbuję schować się za drzwiami samochodu.

– Dorota! – Wyciągam do niej rękę, ale nie rusza się z miejsca.

Widzę, jak wraz z uderzeniami pocisków wstrząsają nią krótkie drgawki. Jej czarne ubranie zaczyna lśnić wilgocią. Czuję pojedyncze ukłucie bólu w boku, jakby ugryzienie pszczoły. Gdzieś z tyłu Tomek oddaje kilka strzałów za oddalającym się motocyklem. Dorota upada, a jej brązowe włosy rozsypują się wachlarzem na ziemi i powoli nasiąkają czerwienią. Chcę do niej podejść, ale nogi ze mną nie współpracują. Chwieję się i padam do tyłu jak kłoda. Głowa boleśnie wali o beton.

*To tak wygląda sufit w podziemnym parkingu...*

Po moim boku rozlewa się ciepło, obejmując coraz większą część nóg.

*Za rzadko patrzyłem w górę, na gwiazdy. Są takie piękne. Powinienem był kupić teleskop albo najlepiej całe obserwatorium i zabrać tam Idę.*

Żal.

Robi mi się zimno.

Gwiazdy nade mną rozjeżdżają się i zakrywa je mgła.

– Konrad! – słyszę w oddali głos.

*Musiałem dać się zabić, żebyś nazwała mnie po imieniu.*

Pogrążam się w nicości.

## ROZDZIAŁ 6



Akurat takiego dnia musiałam dać wyraz swojemu roztrzepaniu. To moje pierwsze ważne spotkanie poza firmą. Do tego prezes włożył tyle starań w to, żebym się perfekcyjnie przygotowała, a mnie zjada stres. Wszystko leci mi z rąk i na dodatek zapomniałam zabrać z biurka wydrukowane materiały.

*Uch, skup się, Ida!*

Wbiegam z powrotem do biura, a Sylwia wita mnie pytaniem, czy coś się stało.

– Zapomniałam! – wołam i zamieram ze zgrozy, bo moje biurko jest puste.

– Wiem, dlatego Dorota je zabrała, żeby ci zanieść – uspokaja mnie Sylwia sekundę przed zatrzymaniem akcji mojego serca.

– Dzięki! – Nie czekam na odpowiedź, tylko biegnę z powrotem.

– Szybciej, szybciej... – poganiam windę.

Kiedy drzwi wreszcie się otwierają, widzę przejeżdżający pędem motor.

*Powinni zabronić gazowania w zamkniętej przestrzeni parkingu, jeszcze kogoś niechcący potrąci. Do tego ten dźwięk!*

Równocześnie słyszę kolejny ogłuszający odgłos, jakby wystrzały.

*Mam nadzieję, że to nie strzeliła opona w motocyklu.*

Hałas zdawał się jednak dobiegać z przeciwnego kierunku. Odwracam się w stronę samochodu i zamieram. Nie wiem, na co patrzę, bo obraz, jaki zastaję, tak bardzo nie pasuje do tego, czego się spodziewałam.

*Co...?*

Myślałam, że prezes będzie sugestywnie spoglądał na zegarek i niecierpliwie bębnił palcami po dachu samochodu. Zamiast tego leży na ziemi w kałuży krwi i się nie rusza.

Dorota miała rzucić mi triumfalny uśmiech, a nie gapić się szeroko otwartymi oczami w sufit z grymasem zdziwienia zastygłym na twarzy.

Tomek powinien siedzieć za kierownicą, gotowy do ruszenia, gdy tylko zamkniemy drzwi, ale teraz kuca przy Dorocie, sprawdza jej puls. Przy uchu trzyma komórkę. Na chwilę opuszcza głowę i zamyka oczy – ten gest mówi wszystko.

*Nie stój! Działaj!*

Moje nogi odzyskują mobilność. Zdejmuję w biegu marynarkę, padam na kolana koło prezesa i dociskam materiał do jego boku, skąd rozchodzi się kałuża krwi.

– Konrad! – wołam desperacko, nie pamiętając, dlaczego nie chciałam nigdy wymówić jego imienia na głos. – Konrad, ocknij się!

Dotykam jego policzka, jest zimny. Łzy przesłaniają mi widok. W tle słyszę, jak Tomek kończy rozmowę z pogotowiem.

– Będą za pięć minut.

– Daj marynarkę, musimy go okryć – mówię, pociągając nosem.

– Co z Dorotą?

Tomek kręci tylko głową i przykrywa Konrada marynarką. Z windy wysypuje się grupa ochroniarzy, którzy bez słowa tworzą dookoła nas ochronne półkole.

*Spóźniliście się, chłopcy...*

Materiał szybko nasiąka krwią. Moje spodnie też lepia się od wilgoci. Nie wiem, czy klęczę w krwi Konrada, czy Doroty. Tomek pojawia się obok i przejmuje dociskanie rany. Teraz nie mam żadnego zadania, zostaję więc koło nieprzytomnego Konrada, trzymam go za rękę i szepczę zaklęcia mające nie pozwolić mu umrzeć. Gdybyśmy byli bohaterami powieści fantasy, wyjęłabym z torby eliksir zdrowia, taką fiołkę z ozdobnym korkiem i czerwoną zawartością, i wlałabym mu do ust. Jeszcze lepiej, gdyby moja postać była czarodziejką. Wtedy wykorzystałabym całą swoją magiczną moc, żeby go uzdrowić. Po czym otworzyłyby oczy, odsapnął z ulgą i stwierdził, że niewiele brakowało. Ruszylibyśmy dalej w świat, kontynuować przygodę i zabijać ogry czy inne plugawe bestie. W tej rzeczywistości jedyne, co mogę, to próbować przywiązać go do życia, żeby nie chciał iść w stronę światła.

– Proszę cię, Konrad, nie umieraj. Japonia się sama nie podbije. Nie zostawiaj mnie. Przecież obiecałeś, że wynagrodzisz mi tę nudną randkę. Jeszcze nie kupiłeś Pankracemu kocimiętki, bez tego będzie nieszczęśliwym kotem. Musisz najpierw dotrzymać wszystkich obietnic... Proszę... – Mój głos łamie się i przechodzi w szloch.

Echo podziemi tak zwielokrotnia wycie zbliżających się karettek, że jest to nie do wytrzymania. Medycy sprawdzają puls Doroty i zostawiają ją tak, jak leży. Konradowi dają maskę tlenową i kroplówkę, kładą go na nosze, po czym szybko pakują do karetki, gdzie jest miejsce tylko dla jednej dodatkowej osoby – Tomka, uciskającego ranę grubym zwitkiem gazy.

Zostaję więc na parkingu i bezsilnie patrzę za oddalającymi się światłami. Ekipa z drugiej karetki przykrywa Dorotę i w sumie na tym kończy się ich praca. Moje łzy płyną bez przerwy. Po chwili

rozlegają się kolejne syreny, ale nie czekam, żeby sprawdzić, czy to policja. Nie chcę, żeby mnie teraz przesłuchiwali. Najpierw muszę się dowiedzieć, co z Konradem. Jasna tapicerka samochodu chętnie przyjmuje ofiarę z krwi, ale nie przejmuję się tym. Pędzę ulicami Warszawy, nadal szepcząc zaklęcia, jakby Konrad mógł mnie usłyszeć. W szpitalu z łatwością odnajduję Tomka krążącego w kółko po korytarzu.

– Co z nim?

– Zabrali go na operację, musimy czekać. – Nie zatrzymuje się nawet na chwilę.

– Powiesz mi, co się stało? – Boję się zadać to pytanie, ale kiedyś i tak będzie musiał mi powiedzieć.

– Co się stało? Pytasz, co się, kurwa, stało?! – Nie słyszałam jeszcze, żeby kiedykolwiek aż tak podniósł głos. Teraz ma dziki wzrok, a wyraz twarzy wyraża taką wściekłość, że aż robię krok do tyłu. – Chujowy ochroniarz, ot co! Zamiast się bawić w asystentkę, powinienem wykonywać swoje zadanie! Nie twoje! – Wskazuje na mnie oskarżycielsko palcem. – To ty jesteś od noszenia dokumentów, wsadzania ich do bagażnika i bycia na czas! Gdybyś nie zapomniała tych cholernych teczek, to już by nas tam nie było, a ja bym stał przy Konradzie zamiast z tyłu samochodu, skąd mogłem gównie zrobić, żeby go ochronić!

Zsuwa się po ścianie na ziemię, łapie głowę w ręce i zaczyna szlochać. Widok faceta wielkiego jak góra, z kaburą pod pachą, w poplamionej krwią koszuli, który płacze jak dziecko, ściska mnie za serce. Siadam koło niego i przytulam do siebie.

– Będzie dobrze, wszystko będzie dobrze... – szepczę, po raz kolejny zaklinając rzeczywistość, ale po moich policzkach też leczą łzy.

– Miałem go chronić. Zasłonić własnym ciałem – mamrocze niewyraźnie.

*To nie przez ciebie. To moja wina.*

– Wtedy to ty leżałbyś pod narkozą, a Konrad by nad tobą płakał. – Głaszczę Tomka po głowie. – Nie skreślaj go. Jest uparty, nie pozwoli się tak łatwo zabić.

Próbuję brzmieć przekonująco, bez hysterii w głosie, chociaż sama potrzebuję kogoś, kto by mnie teraz przytulił.

– Przepraszam za to, co powiedziałem. Nie myślę tak. – Tomek podnosi głowę i patrzy mi w oczy, żeby przekonać mnie o swojej szczerości.

– Wiem – mówię po prostu, bo co innego mi pozostaje.

*Nie musi wiedzieć, że zgadzam się z tym, co powiedział.*

Siedzimy pod ścianą przez kilka godzin, podczas gdy na sali operacyjnej lekarze robią, co mogą, żeby ocalić Konrada. Pocieszam się, że każda mijająca minuta oznacza, że Konrad żyje, że walka nadal trwa. W końcu wychodzi do nas chirurg.

– Operacja zakończyła się sukcesem. Jego stan jest stabilny. Musimy poczekać, aż się wybudzi, i zrobić dodatkowe badania, ale...

– Lekarz zawiesza głos. – Muszą się państwo przygotować. Kula weszła pod takim kątem, że utknęła w kręgosłupie. Jakich szkód narobiła, trudno teraz ocenić. Jego życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo. Jednak być może nie będzie mógł chodzić. Jest duże prawdopodobieństwo niedowładu. Niedługo będzie można go zobaczyć.

Zakrywam usta dłonią. Tomek tylko patrzy na lekarza, jakby nie zrozumiał ani słowa. Chirurg kiwa nam głową i odchodzi. Stoimy tam, nie wiedząc, co ze sobą zrobić po usłyszeniu takiej informacji.

*Jak trudno jest człowieka zadowolić. Przed chwilą błagaliśmy, żeby przeżył. Teraz, zamiast cieszyć się, że żyje, jesteśmy przerażeni, bo może być sparaliżowany.*

Kładę Tomkowi rękę na ramieniu.

– Nie martwmy się czymś, co może się nie wydarzyć. Popatrz na nas, wyglądamy jak z horroru. Jedźmy do domu się przebrać, może do tego czasu się wybudzi.

Tomek nie chce się ruszyć, muszę go więc ciągnąć. W końcu podąża za mną jak bezwolny cień, ale całą drogę do domu się nie odzywa. Najchętniej poryczałabym się w samochodzie, ale pierwszy raz to ja prowadzę i czuję się odpowiedzialna za Tomka, jakby był małym dzieckiem, przy którym muszę zachować kamienną twarz. Celowo unikam myślenia o Dorocie, ten temat spycham na samo dno świadomości, bo inaczej nie potrafię sobie z tym poradzić.

Kiedy wracamy do szpitala, Konrad jest już na sali i możemy go zobaczyć. Pielęgniarka uprzedza, że po wybudzeniu się z narkozy znowu zasnął i jest to normalne po lekach, które dostał. Nie ma się czym martwić.

Martwię się i tak.

Miarowe piszczenie aparatury wypełnia salę. Do nagiej klatki piersiowej Konrada poprzipinane są czujniki, jeden ma też na palcu wskazującym, a brzuch cały w bandażach. Siadam na krześle koło łóżka i biorę go za rękę. Jest ciepła, odzyskał również kolor. Wygląda, jakby po prostu spał.

– Dziękuję, że przeżyłeś – mówię cicho, głaszcząc jego dłoń.

Tomek opiera się o parapet i wygląda na zewnątrz. Czekamy w ciszy.

Patrzę na spokojną twarz Konrada, na każdy szczegół. Jego rozluźnione rysy, zapowiedź zarostu, zmysłowe usta i rozczochrane włosy.

*Kiedy stał mi się taki bliski? Nie wiem.*

Jedna z barier, jakie wokół siebie wznosiłam, runęła. W moich myślach nie ma już prezesa – jest Konrad.

Trzymana przeze mnie ręka drga i Konrad powoli otwiera oczy. Rozgląda się zdezorientowany, mruga, po czym zauważa mnie i uśmiecha się lekko. Widok jego przytomnych, zielonych tęczywek powoduje u mnie niewyobrażalną radość i ulgę.

– Hej, długo spałem?



Moja broda zaczyna drżeć. Kładę rękę Konrada na swoim policzku. Patrzy mi w oczy i ociera kciukiem łzy z mojej twarzy.

– Żyję – mówi, jakby trochę ze zdziwieniem.

Tomek podchodzi do łóżka z drugiej strony.

– Co z Dorotą? Czy ona... – Konrad nie potrafi dokończyć zdania.

– Przykro mi – mówi Tomek. – Nie miała szans.

– Nie wiem nawet, czy miała jakąś rodzinę... – mówię cicho.

Konrad zaciska usta, po czym zwraca się do Tomka:

– Dopilnuj, żeby wszystko odbyło się, jak należy. Rodzinie należy się rekompensata. Nie zwróci to życia Dorocie, ale zmniejszy chociaż trochę ich poczucie krzywdy. Prasa?

*Piękna ze mnie asystentka, która w momencie kryzysu nie pomyślała o takim istotnym zadaniu jak kontrola dziennikarzy.*

– Chłopaki nie pisną słowa. Nagranie zabezpieczone. Powiadomiłem komendanta policji, że jeżeli chce wymienić flotę, to musi dopilnować, żeby w raportach policyjnych nie znalazła się ani jedna wzmianka o tobie. Konrad, ja... – Tomek wygląda, jakby znowu miał się rozpłakać.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. To nie twoja wina. Obaj straciliśmy czujność. Naiwnie myślałem, że Rosjanie dali sobie ze mną spokój. Wyciągnijmy wnioski na przyszłość...

– Sala będzie pod ochroną dwadzieścia cztery godziny na dobę ze wstępem tylko dla wybranego personelu medycznego.

– Dobrze, a teraz zawołajcie lekarza. Chcę wiedzieć, dlaczego nie mogę ruszać nogami – mówi spokojnie.

Zaraz wybuchnę płaczem. Nie ja jestem sparaliżowana od pasa w dół, jeżeli więc Konrad nie płacze, to nie mam prawa obarczać go swoimi łzami. Wstaję i mówię, że pójde po lekarza. Zawiadamiam personel, że Konrad się obudził, i siadam na krzeselku pod ścianą. Zanoszę się szlochem. Do sali wchodzi pielęgniarka, a kiedy

wychodzi, pojawia się chirurg, który go operował. Nie mogę się zmobilizować, żeby tam wrócić.

*Jeszcze chwilka. Popłaczę jeszcze chwilkę, ochlapię twarz zimną wodą i będę mogła spojrzeć Konradowi w oczy. Wesprzeć go uśmiechem.*

Kiedy wracam do pokoju, Konrad tłumaczy Tomkowi, co ma mu przynieść do szpitala. Nie wygląda, jakby był załamany.

– Ja się tym zajmę, panie prezesie – deklaruję.

Spojrzenie, jakim na mnie patrzy, jest pełne krzywdy i wyrzutu.

– Tomek spakuje mi tylko niezbędne rzeczy. Ty przywleciesz tu pół domu. Nie spędzę w szpitalu tak wiele czasu, więc nie, dziękuję.

Chcę zaprotestować, ale mnie gasi:

– Ido, możesz już iść. Wróc jutro, bo musimy omówić organizację w firmie. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, co się stało.

Czuję się jak zbity pies. Wychodzę przed szpital i coś we mnie pęka.

– Hej, ty tam na górze! Główny reżyserze życia! – zaczynam się wydzierać, wygrażając w stronę nieba. – Nie zgadzam się na taki scenariusz, słyszysz? Myślisz, że nasze życie to jakiś popaprany żart? Sprawdzasz, ile potrafimy wytrzymać, zanim całkowicie się załamiemy? Sprawia ci przyjemność patrzeć, jak się rozpadamy? Nie dam ci tej satysfakcji, słyszysz?! Nie dam!

Ludzie gapią się na mnie jak na wariatkę. Nieważne. Nawet jeżeli mają rację, to na tym etapie nie robi to na mnie wrażenia. Dzwonię do Sylwii, bo nie wiem, ile słyszała. Jest roztrzęsiona i płacze do słuchawki. Nie wspomina nic o Konradzie, czyli plotki nie ruszyły w firmę, to dobrze. Wspominamy Dorotę i wspólnie ją opłakujemy. Już nigdy nie pójdziemy razem na drinka.



Szpital stał się moim domem tymczasowym. To takie przedziwne miejsce. Ludzie żyją, ale tak naprawdę jakby byli na wpół martwi. Co z tego, że oddychają, jeżeli czynności w szpitalu sprowadzają się jedynie do podtrzymywania podstawowych funkcji życiowych. Jeść, spać, wydalać – i tak w kółko, aż do śmierci ostatecznej albo wypisania z powrotem do świata żywych. Ja nie jestem w stanie realizować nawet tych podstawowych czynności samodzielnie. Ręce mi się trzęsą i są takie słabe, że kubek herbaty waży tyle co sztanga. Nie potrafię sam skorzystać z toalety. Sięgnięcie telefonu ze stolika? Taka prozaiczna rzecz, ale te cholerne bezwładne nogi nie pozwalają mi się obrócić, jakbym miał betonowe spodnie.

Lekarze obiecują, że będzie coraz lepiej, że awansuję na półżywego, a następnie wypiszą mnie ze szpitala. Czeka mnie „relatywnie normalne życie” – tak się wyrazili. Nie jest tylko pewne, czy kiedykolwiek wstanę z wózka inwalidzkiego. Kula spowodowała krwiak, który uciska nerwy. Dopiero po jego wchłonięciu się będzie można ocenić, jakie mam szanse na chodzenie. Prowadzenie samochodu, bieganie... Nawet nie wspominał o seksie, bo póki co cały od pasa w dół jestem znieczulony. Jeżeli będzie źle, to nawet największe pieniądze świata nie przywrócą mi czucia w nogach.

Daje to do myślenia, zmienia postrzeganie świata i priorytetów. Obawiam się jednak, że ta lekcja mogła przyjść za późno.

*Cholera. Grunt to się nad sobą nie rozczulać. Muszę skupić się na istotnych rzeczach, na które mam wpływ. Firma.*

– Ile się da, będę załatwiał z łóżka. W końcu po to są wideokonferencje i maile. Najważniejsze, żeby informacje o moim stanie nie dotarły do opinii publicznej – tłumaczę Idzie. – Inwestorzy lubią wariować na najmniejszą wzmiankę o kłopotach. Chcę sprawić wrażenie, że wszystko jest w porządku. Ot, dłuższy wyjazd służbowy. Po nim krótkie chorobowe plus wakacje, żeby odpocząć. Prezes może mieć fantazję, żeby wyruszyć w półroczną podróż dookoła świata, prawda?

Mam nadzieję, że uda się prowadzić tę farsę wystarczająco długo, żebym stanął na nogi.

*Na nogi, dobry dowcip.*

– Rozumiem. Wymyślę jakąś zgrabną historyjkę. Może wysmarujemy pana samoopalaczem i cykniemy parę fotek? Tak dla uwiarygodnienia.

Widzę smutek Idy, gdy nie reaguję na jej zaczepki i pozornie wesoły nastrój. Prawda jest taka, że wolałbym, żeby nie przychodziła do szpitala. Nie mam prawa obarczać jej takim ciężarem. Nie chcę litości ani poczucia obowiązku.

*Za bardzo mi na niej zależy, żeby niszczyć jej życie swoim inwalidztwem.*

Ostatecznie wypraszam ją, kiedy kończą nam się tematy służbowe.

Muszę jeszcze przekonać Łukasza, że może sam pociągnąć rozmowy w Tokio. Chciałbym, żeby mimo wszystko Ida też poleciała. Mam w tym ukryty cel – jeżeli będzie w Japonii, to nie będę musiał się z nią przez jakiś czas widzieć.

*Pozbędę się tych mdlących wyrzutów sumienia, że ignorując ją, jestem skończonym dupkiem.*

Łukasz nie łyka mojej wymówki o stanie zdrowia. Narzeka i próbuje mnie przekonać, żeby przełożyć spotkanie do czasu, gdy już wyzdrowieję. Wkurza mnie do tego stopnia, że wygaduję się, jak bardzo niezdrowy jestem. Trudno, akurat jemu ufam. Poznaliśmy się na studiach i od tego czasu niejedną wódkę razem wypiliśmy i niejedną transakcję finalizowaliśmy. Łukasz milczy dłuższą chwilę. Daję mu czas, żeby przetrawił te niełatwe informacje i na szczęście zgadza się na mój pomysł – będzie prowadził rozmowy w Tokio z Idą u boku.

– Tylko upiłuj Idzie pazury, bo Japończycy nie lubią pyskatych bab – rzuca na koniec rozmowy.

Udaje mu się mnie rozśmieszyć, chociaż myślałem, że świat stał się zbyt mroczny, żebym jeszcze kiedykolwiek mógł się śmiać.



Nie potrafię myśleć o niczym innym niż o Konradzie przykutym do wózka inwalidzkiego. W domu czeka już na niego najnowszy model. Siadam i próbuję poczuć, jak to jest być sparaliżowanym. Szybko okazuje się, że chociaż mieszkanie zostało dostosowane do poruszania się na wózku i Konrad nie będzie miał problemów z przejechaniem przez progi czy korzystaniem z toalety i prysznic, to jednak o niektórych rzeczach nie pomyśleliśmy. Blaty kuchenne są zbyt wysokie i głębokie, przez co nie sięgam na przykład do ekspresu do kawy. O górnych półkach można pomarzyć. Podejmuję działania naprawcze, w ramach których przynoszę ze swojego pokoju niski stolik i stawiam na nim ekspres. Najpotrzebniejsze rzeczy typu talerze, kubki i kawę przenoszę do najniższej szafki. Przekładam również rzeczy w lodówce, żeby Konrad miał dostęp przynajmniej do tego, co lubi. Próba umycia rąk w łazience kończy się fiaskiem, bo nie sięgam nawet do kranu.

*Trzeba wyrzucić szafkę spod umywalki.*

Lucyna zastaje mnie na jeźdźeniu slalomem, podczas którego upewniam się, że wózek wszędzie przejedzie.

– Co robisz, gołąbeczko? – pyta, niosąc torby z zakupami do kuchni.

– Jestem załamana. Życie niepełnosprawnego to nie przelewki, wszędzie czyhają jakieś przeszkody. Nie można swobodnie zaparzyć kawy ani umyć rąk. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak źle!

– Wiem, o czym mówisz. Mój Michaś siedzi prawie cały czas w domu, bo nawet ruszenie się z bloku to problem. Sama nie daję

rady znosić go po schodach, a windy nie ma.

*No tak, syn Lucynki jest całkowicie sparaliżowany po wypadku.*

– Masz jakieś wskazówki, co jeszcze możemy usprawnić, żeby Konrad czuł się tu dobrze? – pytam.

Lucyna rozpakowuje zakupy w ciszy, nie jestem pewna, czy w ogóle mnie usłyszała.

– To nie jest tak, gołąbeczko, że jak będzie umiał się wszędzie dostać, to będzie się tutaj czuł w pełni jak w domu. Konrad ma prawo być rozgoryczony i zły na cały świat. Nie bierz sobie do serca, jeżeli powie ci ostre słowa. Codziennie siadamy na krześle i chociaż wtedy widzimy wszystko z tej samej perspektywy co z wózka, to jednak nic nas nie przeraża. Wystarczy, że wypadek albo choroba przesadzi nas na wózek i już patrzymy na wszystko inaczej. Myślę, że nie tyle mieszkanie, ile wy musicie się dostosować. Żeby nie patrzeć na niego, jakby się coś zmieniło, ale jednocześnie nie udawać na siłę, że jest tak jak wcześniej. Mówię z sensem?

Zamyślam się głęboko.

*Boję się tego, jak mam reagować, co powiedzieć, jak się zachowywać przy Konradzie. Czy właśnie to miała na myśli Lucyna? Żeby nie chodzić dookoła niego na paluszkach w obawie, że zrobi się lub powie coś, co go urazi?*

Pytam ją o to. Uśmiecha się do mnie ciepło.

– Konrad w tym nieszczęściu ma to szczęście, że przyjaciół znalazł sobie dobrych.

Jesteśmy w trakcie obierania ziemniaków na obiad, kiedy dzwoni Tomek z wiadomością, na którą czekałam i za którą trzymałam kciuki najmocniej, jak potrafię.

– Ida! Konrad może pomachać palcami w prawej nodze!

Zalewa mnie wielka fala ulgi. Po wchłonięciu się krwiaka powróciło czucie! Wydaję z siebie głośny pisk radości, czym prawdopodobnie pozbawiam Tomka słuchu w jednym uchu.

– Nic lepszego nie mogłeś mi powiedzieć! Rozmawiałeś z lekarzami? Co na to Konrad? Jak się czuje? Jest zadowolony? Radzi sobie? Ćwiczy? – zasypuję Tomka pytaniami bez sensu.

– Lekarze sami są zdziwieni, że po tak krótkim czasie widać znaczącą poprawę. Według nich to dobrze rokuje na przyszłość i daje nadzieję, że po rehabilitacji Konrad powinien odzyskać sprawność przynajmniej w tej nodze.

– Konrad będzie chodził! – informuję Lucynę, trochę na wyrost, ale mój entuzjazm jest ogromny.

Przez następne parę dni jestem ucieleśnieniem optymizmu. Nic nie potrafi zepsuć mi nastroju, nawet sam Konrad, który chyba zapomniał, że łączy nas coś więcej niż relacja szef–podwładna.

*A może to tylko moje rojenia?*

Dzisiaj następuje punkt kulminacyjny, bo Konrad wraca do domu. Pomagam Lucynie wszystko wysprzątać, gotujemy obiad, a w piekarniku czeka ciasto. Nie chodzę, tylko unoszę się parę centymetrów nad podłogą.

Tomek z Konradem zjawiają się akurat, kiedy wyciągam ciasto z piekarnika.

– Jesteście w samą porę! Macie ochotę na sernik? Lucyna zrobiła – wołam, ciesząc się, że wiem, co mam powiedzieć na powitanie.

Lucyna próbowała mnie na to przygotować, jednak obojętność, z jaką Konrad przejeżdża przez hol do swojego pokoju, jest dla mnie przykra.

– Później – mówi Tomek. – Dajmy mu trochę przestrzeni.



*Koniec, mam dosyć! Nie będę się biernie przyglądać, jak ten dureń marnieje na własne życzenie. Jak się zabija wewnętrznie i umartwia.*

Dawanie Konradowi przestrzeni trwa już kilkanaście dni, podczas których czasami nie wychodzi z pokoju nawet na posiłki. Jedyne, co robi, to pracuje. Miał dosyć czasu, żeby pozbierać się na swój sposób.

*Teraz do akcji przystąpi asystentka, która nie boi się odmawiać prezesowi – dopinguję się w myślach.*

Staję pod jego drzwiami w stroju do zadań specjalnych – sukience w róże – a na tacy niosę dwie kawy. Moja pewność siebie ulatuje na wspomnienie ostatniej wizyty w pokoju Konrada. Zawołał mnie do siebie, ale po wyłożeniu sprawy od razu kazał wyjść. Jego oczy, te wielbione przeze mnie zielone oczy, płonęły jakimś wewnętrznym szaleństwem, gdy patrzył na mnie, opisując, jak powinnam się przygotować na spotkanie w Tokio.

„Tak jest, panie prezesie. Oczywiście, panie prezesie”.

*Basta!*

Pukam do drzwi i sama się wpuszczam.

– Cześć, Pankracy – witam się z jedyną istotą, której towarzystwo Konrad dopuszcza.

Pankracy wyczuwa chyba swoim kocim zmysłem, gdzie jest potrzebny, bo cały czas spędza z nim w pokoju.

– Dzisiaj ja zabiorę pana na rehabilitację – mówię i stawiam kawy na stoliku.

Konrad patrzy na mnie, jakbym chciała zrobić mu krzywdę.

– Nie chcę, żebyś ze mną jechała. Wyjdź.

Uparty jak zawsze.

*Chciałam omówić drażliwe kwestie w innym otoczeniu, ale dobrze, porozmawiajmy od razu. Muszę to od niego usłyszeć.*

– W porządku, poruszmy temat słońca w pokoju. Wini mnie pan za to, co się stało? To dlatego tak mnie pan traktuje? Gdybym nie zapomniała dokumentów, prawdopodobnie w momencie ataku



bylibyśmy w samochodzie, a z tego, co mówił Tomek, ten jest kuloodporny. Najedlibyśmy się tylko strachu, Dorota by żyła, a pan nie byłby sparaliżowany.

Teraz patrzy na mnie, jakbym zwariowała. Unosi jedną brew.

– Jak doszłaś do tych wniosków? Jeżeli Rosjanie chcą mnie zabić, to jest to jedynie kwestia czasu i ich determinacji, a nie ma nic wspólnego z tobą.

– Dlaczego więc? – pytam, a pod powiekami zaczynają piec niechciane łzy, bo nie tak miało to wyglądać. – Dlaczego tak mnie pan traktuje? – powtarzam, a głos mi się łamie.

– Do cholery, Ida. Nie widzisz? – Konrad uderza rękami w swoje nogi. – Nie jestem już tym facetem, który pocałował cię w windzie. Jestem do niczego! Teraz, żeby mnie pocałować, musiałabyś przede mną uklęknąć! – wyrzuca z siebie gorzko, prawie krzykiem.

– Wcale nie! – wypalam i kierowana impulsem siadam mu na kolanach.

Patrzy na mnie przez chwilę ze złością i niedowierzaniem, ale im dłużej spoglądamy sobie w oczy, tym bardziej jego spojrzenie ociepla się i mięknie, a kiedy kładę mu dłoń na policzku, patrzy na mnie prawie tak jak dawniej.

– Zejdz, proszę. Nie testuj mojej wytrzymałości – mówi niemal szeptem, z bólem w głosie.

– Nie, panie prezesie.

Wiem, że igram z ogniem, ale chcę mu przypomnieć, że poza ścianami tego pokoju i pracą, której się poświęca, w dalszym ciągu istnieje inny świat. Taki, w którym owszem, dostaje się w tyłek, ale też gdzie tętno przyjemnie przyśpiesza i powoduje rausz w głowie. Po prostu życie.

Konrad bierze moją twarz w obie dłonie i całuje. Ten pocałunek różni się od poprzedniego. Jest żarliwy i gwałtowny. Konrad wpija się w moje wargi i miażdży je bez litości, jakby chciał w ten sposób wyrazić wszystkie emocje, które się w nim kłębią. Zarzucam mu rękę

na szyję, prosząc o jeszcze, bo sama mam trochę uczuć, którymi chcę się z nim podzielić. Pod udem czuję rosnące wybrzuszenie, które zaczyna mnie uwierać. Uśmiecham się w jego usta, bo cały czas miałam ochotę zapytać, czy tam na dole wszystko z nim w porządku, a otrzymana odpowiedź jest w pełni satysfakcjonująca. Język Konrada śmiało wdziera się do moich ust, rozpoczynając namiętny taniec i powodując gęsią skórkę. Jego ręka znajduje rozcięcie w sukience, po czym przesuwają się wzdłuż nagiego uda, coraz wyżej i wyżej. Kiedy dociera do krawędzi majtek, jest tego dla mnie zbyt dużo. Zrywam się z jego kolan, licząc, że udzieli mi się niedosyt, jaki sama czuję.

– Jeżeli mam pana nazywać po imieniu, to proszę najpierw wstać z wózka – mówię, po czym umykam za drzwi.

Moje policzki płoną. Zaczęłam niebezpieczną grę i wiem, że takie igranie z ogniem może się dla mnie skończyć boleśnie. Jednak podejmuję to ryzyko z nadzieją, że pomoże otrząsnąć się Konradowi z marazmu, w który popadł.

Dzisiaj zastaję jego pokój pusty.

– Gdzie jest Konrad? – pytam Tomka, który jakby nigdy nic je płatki śniadaniowe, nie zwracając uwagi na to, że UFO gwizdnęło mu szefa.

– Wyjechał.

*Ulżyło mi, że to jednak nie sprawka małych zielonych ludzików.*

– Dokąd wyjechał? Sam?

Dziwi mnie, że Konrad pojechał gdziekolwiek bez Tomka.

– Z inną ekipą.

– Dokąd? – Prawie tracę cierpliwość na te jego suche odpowiedzi.

– Do ośrodka rehabilitacyjnego.

– Dokąd? – pytam, gotowa wylać mu płatki na głowę.

– Nie mogę ci powiedzieć.

Aha. Wypadłam poza krąg zaufania.

*Jestem tylko asystentką, nie mogę wymagać, że prezes będzie zwierzał mi się ze wszystkich prywatnych decyzji.*

Zastanawiam się, czy zmobilizowałam Konrada do działania, czy zmusiłam do ucieczki przede mną. To, że wyjechał po kryjomu, bez słowa pożegnania, jest jak drzazga. Niby nic wielkiego, gdyby nie to, że kłuje mnie w sercu.

Konrad nie zerwał ze mną kontaktu, bo nadal pisze służbowe maile. Jednak wszystkie moje pytania i prywatne nawiązania trafiają w pustkę. Sprawdzam więc w internecie informacje o historii Japonii i języku. Czytam o tradycjach, kulturze, wierzeniach i zwyczajach, także biznesowych. Ogólnie mówiąc, doktoryzuję się z wiedzy o Japonii, bo co innego mam robić. Polecenie prezesa. Sposób na zabicie czasu. Byle nie myśleć.

Tomek przynosi mi gazetę, gdzie artykuł ledwo na pół strony opisuje agresywny napad rabunkowy na podziemnym parkingu. Jak informuje dziennikarz, w jego wyniku życie straciła Dorota K., lat 28. W artykule nie ma ani słowa o obecności Konrada, Tomka czy mojej. „Policja prowadzi śledztwo w tej sprawie” – ciekawe.

– Tomek? Policji udało się zdobyć jakieś informacje na temat strzelca?

Korzystam z okazji, że mam z nim o czym porozmawiać, bo cały czas chodzi jak struty.

– Niby się starają, ale nic z tego. Bardziej obstawiałbym sukces agencji detektywistycznej, którą zatrudnił Konrad. Na wyniki trzeba jednak poczekać.

Jest to największa liczba słów, jakie do mnie wypowiedział, odkąd Konrad wrócił ze szpitala. Nasza relacja też się zepsuła, a ja nie wiem, co mogłabym zrobić, żeby ją naprawić.

– Obejrzymy jakiś film wieczorem? – Kuję żelazo, póki gorące.

– Nie mam ochoty. – Wzrusza ramionami i chce odejść.

Nie wiem, czy to moja obecność tak na niego wpływa, czy brak Konrada.

– Dlaczego nie pojechałeś z Konradem? – pytam o rzecz, która mnie zastanawia, bo od strzelaniny nie odstępował go na krok, jak kwoka swoje młode.

– Rozkaz prezesa – mówi tylko, jakby to cokolwiek tłumaczyło.  
– Jeżeli czegoś potrzebujesz, to będę w pokoju.

Potrzebuję, owszem, ale czegoś innego niż słodczy na odstresowanie, bo niedługo nie zmieszczę się w żadne ze swoich ubrań. Umawiam się więc z Agą i wychodzimy razem do klubu. Wszelkie plany i założenia, jakie sobie zrobiłam, biorą w łeb przez obecność Tomka.

– Wisiałeś na mnie cały czas, odstraszać wszystkich! Nikt nie mógł nawet otrzeć się o mnie w tłumie ani zapytać, która godzina, bo od razu zabijałeś wzrokiem! – konfrontuję się z nim po powrocie do domu. – Nie przesadzasz z opiekuńczością?

Nie wiem, co go napadło. Może to z poczucia winy, że zawiódł Konrada, ale odprawiał każdego faceta, który chciał do nas zagadać.

– Taką mam pracę. – Wzrusza ramionami. – Gdybyś czegoś potrzebowała, to jestem u siebie.

Tę formułkę i wzruszanie ramionami ma ustawione jako domyślną odpowiedź na każde moje pytanie.

Powoli czuję się jak w jakimś koszmarze, z którego nie potrafię się uwolnić. Sytuacja dusi mnie i paraliżuje, jakbym była już po pas zatopiona w grząskich piaskach. Jeżeli sama nie rzucę sobie liny, to niedługo nie będzie już czego ratować – dojrzewam do decyzji, że czas na zmianę pracy i otoczenia. Trzyma mnie tylko myśl o Konradzie i poczucie obowiązku względem projektu w Japonii, który obiecałam doprowadzić do końca. Ostatecznie podejmuję decyzję, że poczekam, aż wrócę z Tokio. Jeżeli do tego czasu nie zobaczę się z Konradem, to znaczy, że ten nie chce mnie w swoim życiu. Złożę wypowiedzenie i się wyprowadzę.



Podejmuję wyzwanie Idy. Do momentu jej powrotu z Japonii wstanę z tego cholernego wózka i zrobię przynajmniej krok – tak postanawiam. Nakazuję znaleźć najlepszy ośrodek w Polsce, gdzie przejdę kompleksową i zintensyfikowaną rehabilitację. Nie chcę, żeby Ida wiedziała, gdzie mnie szukać, bo jestem pewien, że prędzej czy później zapukałaby do moich drzwi. Nie mogę jej teraz zobaczyć. Jestem jednak wdzięczny za tego kopa w dupę, dzięki któremu się zmobilizowałem. Muszę przyznać, że mogłaby mnie tak częściej ustawiać do pionu. Dosłownie i w przenośni. Do tej pory myślałem, że zostałem impotentem, bo mimo chęci i starań nie udało mi się osiągnąć choćby najmniejszej reakcji w lędźwiach, ale Ida samym dotykiem pośladków dokonała cudu. Daje mi to wiarę, że będzie tylko lepiej.

Na miejscu lekarze tworzą plan rehabilitacji, ale nie jestem zadowolony. Lecą sobie w kulki, podczas gdy ja muszę działać.

– Potrzebuję czegoś intensywniejszego. Nie mam czasu czekać na efekty – tłumaczę lekarzowi prowadzącemu. – Jestem zdeterminowany, mogę spędzać całe dni na rehabilitacji, jeżeli jest taka potrzeba.

– Zdrowienie jest procesem. Nie da się tego przyspieszyć na siłę, a przeciążony organizm gorzej się leczy. Proszę zaufać naszemu doświadczeniu, bo plan ćwiczeń jest optymalny – słyszę w odpowiedzi.

*Gówno prawda.*

– Ile będzie mnie to kosztowało? – pytam, bo wiem, że wszystko można kupić.

– Nie myślę się.

Czas spędzony na pokonywaniu słabości mija jak z bicza strzelił. Dni zlewają mi się w jedno. Jedyne, co się w nich wyróżnia, to ciężki sen, w który zapadam z wycieńczenia. Ból czasem jest nie do zniesienia. Lekarz częstuje mnie kolejnym wykładem o tym, jak to wie lepiej i mam mu zaufać co do optymalnej dawki leków przeciwbólowych. Tym razem jest nieugięty. Sugeruje zmniejszenie wysiłku, jaki wkładam w rehabilitację. Pukam się w czoło i znajduję inny sposób. Są pacjenci, którzy celowo skarżą się na ból, żeby móc później odsprzedać tabletki bardziej „potrzebującym”. Stawki są śmieszne, ale przecież pieniądze to dla mnie nie problem. Dzięki temu ból, chociaż towarzyszy mi cały czas, jest do wytrzymania i nie staje na przeszkodzie do osiągnięcia celu.

Telefon Łukasza zastaje mnie akurat w trakcie treningu. Sapię więc ciężko do słuchawki, próbując nie zagłuszać jego słów.

– Mamy ustalony termin. Spotkanie w Tokio odbędzie się za miesiąc – informuje.

Zegar w mojej głowie zaczyna odliczanie. Mam maksymalnie miesiąc z kawałkiem, żeby zmusić Idę do wymówienia mojego imienia. Na razie jestem w stanie stanąć, trzymając się obiema rękami za poręcze do nauki chodzenia. Wprawdzie trzęsę się przy tym niemiłosiernie i polegam bardziej na sile ramion niż na nogach, ale każdy najmniejszy sukces daje mi pozytywnego kopa. Nie tracę ani chwili, popijam kolejną tabletkę łykiem wody i wracam do ćwiczeń.

## ROZDZIAŁ 7



Jesteśmy na Okęciu. Ja, Tomek, Łukasz i dwóch ochroniarzy. Postawiłam weto, że nigdzie nie lecę, jeżeli moim ochroniarzem ma być Tomek, i dlatego przydzielił nam dwóch nieznanym mi typków wyglądających jak spod ciemnej gwiazdy.

Czas na odprawę. Macham do Tomka ze sztucznym uśmiechem, bo czuję się trochę jak przy pierwszym wyjeździe na kolonie, kiedy myśl o braku mamy powodowała skurcz w żołądku. Tomek mnie zaskakuje, bo zamiast skinąć sztywno głową, czego się po nim spodziewałam, zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku i mocno tuli.

– Uważaj na siebie. Zadzwoń z hotelu, że dojechaliście.

Robi mi się cieplej na sercu.

W samolocie siedzę koło Łukasza, a ochroniarze obstawiają nas z przodu i z tyłu. Oczywiście zajmujemy miejsca w pierwszej klasie, gdzie stewardesy proponują drinka na start.

*Ta blaszana puszka rzeczywiście potrafi latać?*

Przyjmuję whisky z lodem i udaję, że nie widzę zdziwionego spojrzenia Łukasza. Mam tremę tak gigantyczną jak mój nadbagaż.

Zaciskam mocno oczy i wbijam paznokcie w podłokietniki, kiedy samolot podrywa się do startu, wpychając mi żołądek do gardła.

*Jestem za młoda, żeby umierać!*

Łukasz kładzie dłoń na mojej ręce i mówi jakieś pocieszające słowa, ale go nie słyszę. Przez uczucie przyspieszenia jak na kolejce w wesołym miasteczku przebija się żal, że to nie Konrad siedzi koło mnie. Chwilę po starcie, kiedy już lecimy, siedzę nadal z zamkniętymi oczami i wyobrażam sobie, że czuję dotyk Konrada. Aż w końcu Łukasz zabiera rękę i czar pryska.

– Weź gumę do żucia – radzi – uszy nie będą ci się zatykały.

W czasie nieobecności Konrada udało mi się bliżej poznać dyrektora do spraw inwestycji. Łukasza cechują spokój i zrównoważenie, które idealnie pasują do jego wyglądu intelektualisty. Jest wysoki i bardzo szczupły, a okrągłe okulary w cienkich oprawkach skrywają inteligentne szare oczy. O jego życiu prywatnym wiem tyle, że lubi grać w koszykówkę i jest ojcem bliźniaczek, a kiedy zaczyna mówić o żonie, to nie potrafi skończyć.

Widok z okna jest niesamowity, wyciągam komórkę i cykam zdjęcia. Ukradkiem robię też jedno wspólnie z Łukaszem, przy czym specjalnie stroję głupią minę. W pierwszym odruchu chcę je wysłać Konradowi, ale przypominam sobie, że nie powinnam. Przez cały pobyt w ośrodku rehabilitacyjnym nie odebrał ode mnie żadnego telefonu, nie skomentował żadnego zdjęcia Pankracego, jakie mu posłałam, ani nie odpisał na SMS-y z pytaniami, co u niego. Nie zareagował nawet słowem na informację o mojej obronie, po której mogę oficjalnie tytułować się magistrem. Chociaż obiecywał, że będzie mnie wspierał. Jedyne, co od niego dostawałam, to wiadomości służbowe, na dodatek pisane suchym, zdawkowym językiem. Gdyby mógł, pisałby samymi równoważnikami zdań albo pismem obrazkowym. Z trudem powstrzymywałam się przed pokazaniem mu, że mój palec może zatrzymać się dłużej na wykrzykniku.



Paręnaście godzin lotu okazuje się męczące, a jeszcze czeka nas transfer z lotniska do hotelu. Ze względu na różnicę czasu lądujemy w Tokio rankiem następnego dnia, tak jakbyśmy byli prawie cały dzień w podróży.

– Jestem wycieńczona – mówię do Łukasza, kiedy w końcu docieramy na miejsce.

Wysłałam SMS-a Tomkowi, żeby się nie martwił, i padam na łóżko. Każde z nas ma oczywiście swój pokój, który sprawia wrażenie europejskiego do tego stopnia, że jedyne, co mnie zaskoczyło, to głęboka drewniana wanna wyglądająca jak balia i toaleta z rzędem przycisków niewiadomego zastosowania. Na miejscu poznaję przedziwny dla mnie zwyczaj. Goście, nawet poza pokojem, poruszają się w hotelowych kapciach. Do tego kolejne kapcie stoją przy toalecie.

*Szaleństwo!*

– A ja specjalnie na ten wyjazd kupiłam nową parę butów. – Kręcę z niedowierzaniem głową.

Mogę sobie na nie popatrzeć, bo przecież z moim wyćwiczonym chodem à la pijana modelka nie wyjdę na ulicę w szpilkach. Wyglądam przez okno i mam wrażenie, że widok nie jest rzeczywisty.

*W końcu to Japonia, nie zdziwiłoby mnie, gdyby zamiast okna był wielki telewizor.*

Na pierwszym planie ciągnie się wielki ogród z drzewami, a w oddali widać miasto z licznymi wieżowcami, jakbyśmy byli w samym środku ostatniej wyspy zieleni na planecie. Wybór hotelu jest nieprzypadkowy, to tutaj mamy jutro odbyć spotkanie z jego właścicielem, czyli naszym potencjalnym partnerem na Japonię.

Otwieram oczy na dźwięk budzika, który nastawiłam, żeby nie przegapić kolacji. O umówionej porze puka ochroniarz, żeby zabrać mnie na dół, ale kiedy wchodzimy do restauracji, nie widzę nigdzie Łukasza. Siadam więc przy pierwszym lepszym stoliku, a ochroniarz

staje za moim krzesłem, dzięki czemu nie widzi, jak wywracam oczami.

*Jeżeli Tomek go szkolił, to mam przerąbane.*

Dzwoni moja komórka.

– Przepraszam cię, ale możemy dzisiaj zjeść kolację osobno? – Łukasz jest chyba na ulicy, bo w tle słyszę samochody.

– Coś się stało?

– Nie, nie. Nie mogłem spać, więc zjadłem wcześniej. A teraz pomyślałem, że to może być jedyny naprawdę wolny wieczór, kiedy będę mógł na spokojnie poszukać prezentów dla moich dziewczyn, bez pracy z tyłu głowy. Nie gniewasz się?

– W porządku. Nie musisz się o mnie martwić. Zresztą nie jestem sama. Pokaż mi później, co kupiłeś.

Wzdycham.

*W takim razie jesteśmy tylko ja i mój nowy ochroniarz, którego imienia nie znam.*

Odwracam się do niego.

– Usiądź ze mną przy stoliku, będziemy sami, a też przecież musisz coś zjeść.

Spodziewam się protestu, ale ochroniarz bez komentarza siada naprzeciwko mnie.

– Jestem Ida – mówię i wyciągam do niego rękę.

– Filip. – Uścisk ma mocny i pewny.

– Wyciągnąłeś krótszą słomkę. Postarajmy się więc ułatwić sobie nawzajem życie i ustalmy parę zasad – proponuję nauczona doświadczeniem z Tomkiem. – Chciałabym, żebyś nie był wyłącznie cieniem za moimi plecami. Jesteś też człowiekiem, więc przy jedzeniu spokojnie możesz siedzieć ze mną, rozmawiać i zachowywać się normalnie, a nie jak żołnierz nakręcany na kluczyk.

– Jeżeli będzie to możliwe. Z mojej strony chciałbym, żebyś mnie słuchała we wszystkim. Jeżeli każe ci gdzieś zostać, paść na

ziemię albo biec, nie zastanawiaj się, co się dzieje i dlaczego tak jest, tylko bądź posłuszna. Czasami parę sekund zawahania może zdecydować o życiu lub śmierci.

– Dobrze, mamy więc umowę. – Uśmiecham się do niego, a w zamian dostaję grymas, który chyba ma być miły, ale z powodu blizny przechodzącej przez policzek Filipa wygląda jak z koszmaru.

Podchodzi do nas kelner i przynosi menu. Na szczęście całość jest też po angielsku. Nie chcę szaleć z eksperymentami kulinarnymi przed tak ważnym spotkaniem, zamawiam więc *tonkatsu*, co powinno być odpowiednikiem naszego schabowego. Nie wiem, czy Filipa przerasta wybór, ale zamawia to samo. Ceny w restauracji są porażające. Marzę, żeby znaleźć jakiś lokalny bar, gdzie serwują ramen; mówię o tym na głos.

– Chcesz iść w miasto, jak zjemy? – pyta Filip.

*Może jednak nie będzie tak źle mieć go za ochroniarza.*



*Co sprawia, że dana kobieta staje się obiektem fascynacji mężczyzny? Wygląd, charakter czy aura, jaką wokół siebie roztacza? Gdyby postawić koło siebie dwie różne kobiety i kazać wszystkim mężczyznom w Japonii wybrać jedną z nich, do której ustawiłaby się dłuższa kolejka? Większym powodzeniem cieszyłby się ideał piękna w postaci szczupłego ciała i bladej, trójkątnej twarzy z dużymi oczami, czy może mniej urodziwa kobieta, jednak o ciekawej osobowości, pełna gracji i wdzięku?*

Takie rozmyślenia nachodzą mnie, kiedy piję przy barze *awamori* i obserwuję osobliwą kobietę, która weszła właśnie na salę. Może nie zwróciłbym na nią w ogóle uwagi, gdyby nie miała ze sobą ochroniarza. Nie wygląda na bogatą, ale sam fakt, że potrzebuje ochrony, robi z niej potencjalny cel i przyciąga mój wzrok. Na

dodatek podążający za nią typ ma na twarzy bliznę od noża i porusza się w sposób, który wskazuje, że nie była to jedyna walka, jaką stoczył. Czy blizna jest śladem zwycięstwa, czy porażki – tego nie odgadnę. Musiałbym się z nim zmierzyć.

*Interesujące.*

Kobieta jest tak inna od przyjętego kanonu piękna kultywowanego w Japonii, że nie mogę od niej oderwać oczu. Japonki okrzyknęłyby ją z miejsca grubą i zeszpeconą ze względu na drobne piegi. Myślę, że jedyne, co uznałyby za wartę uwagi, to jej włosy w nietypowym, prawie rudym odcieniu, wijące się w nieładzie grubymi splotami. Patrzę z ciekawością, jak każe usiąść ochroniarzowi i podaje mu rękę w geście powitania.

*Czy to zazdrosny mąż każe jej pilnować? Celebrytka? Wątpię. Może kochanka jakiegoś bogacza...*

Stukam w zamyśleniu palcami po szklance z alkoholem, kiedy kobieta odrzuca burzę włosów na plecy i zagłębia się w kartę dań. Składają zamówienie i rozmawiają zbyt cicho, żebym mógł cokolwiek usłyszeć. Jestem jedynie pewien, że nie posługują się japońskim ani angielskim.

Wgapiam się całkiem jawnie, nie kryjąc, że jestem zainteresowany. Ochroniarz w końcu częstuje mnie spojrzeniem, które zapewne ma być zniechęcające. Podnoszę w jego stronę szklankę w geście toastu.

*Nie bój się, kolego, nie będę ci utrudniał pracy, przynajmniej nie dziś.*

Mimowolnie się uśmiecham, kiedy kobieta próbuje swoich sił z pałeczkami. Ochroniarz nawet się nie zastanawia i od razu chwyta nóż i widelec, natomiast ona dzielnie stara się najeść, mimo że połowa jedzenia spada, zanim trafi do jej ust.

*Mniej więcej w tym momencie powinna rzucić dowcip, że wie, dlaczego Japonki są takie kościste.*

Może tak właśnie jest, bo ochroniarz krzywi się w parodii uśmiechu, a ona śmieje się radośnie w sposób, który odbija się we mnie echem.

*Gdyby mężczyźni w Tokio mogli wybrać również tę kobietę, czy ktokolwiek ustawiłby się w kolejce do niej?*

Kiedy wbrew sobie czuję żal, że kobieta wychodzi, i chęć, żeby za nią podążyć, znam już odpowiedź na to pytanie.

*Ja.*



Pierwsze wrażenie jest kluczowe, dlatego idę w klasykę i zakładam czarną garsonkę, a pod nią białą bluzkę z kołnierzykiem. Nie mam żadnych ozdób poza skromnymi kolczykami. Włosy po wysuszeniu suszarką nie dają się w żaden sposób ujarzmić, zostawiam je więc rozpuszczone.

Przygotowywaliśmy się na wizytę w Tokio od miesiący, chociaż wydawało mi się niemożliwe, żeby poświęcić aż tyle czasu dla jednego spotkania. Rzecz jasna, to Łukasz będzie prowadził wszystkie etapy rozmowy, ja jestem jego asystentką i cichym wsparciem. Japończycy wiedzą, że prezes Cardecki uległ wypadkowi i bardzo żałuje, ale nie może uczestniczyć w spotkaniu, jednak ma nadzieję, że jego nieobecność nie będzie miała wpływu na przebieg rozmów. Konrad uznał, że każdy inny powód nieobecności, podobnie jak zatajenie prawdy, może być przez naszych gospodarzy źle odebrany.

Jestem nerwowa, jakbym miała za chwilę spotkać przyszłą teściową. Przewijam w głowie informacje, jakie posiadam na temat biznesowego *savoir vivre*. Łukasz chyba też się denerwuje, bo co chwilę poprawia okulary. Nasze pierwsze spotkanie ma być zaledwie

zapoznaniem w celu przełamania lodów, odbędzie się więc przy śniadaniu. Nie wiemy, co nas czeka, więc oboje bierzemy głęboki oddech i wchodzimy do wskazanego pomieszczenia, do którego kelner uchylił nam przesuwne drzwi. Zdejmujemy wcześniej kapcie, ponieważ na maty *tatami* pokrywające podłogę nie wchodzi się inaczej niż boso. Ochroniarze nie podążają za nami, ale ustawiają się pod drzwiami.

*Od tego ciągłego czytania o Japonii w żyłach masz płatki wiśni zamiast płytek krwi. Dasz radę! Choć trochę szkoda, że nie sake, bo może nerwy byłyby mniejsze.*

Gospodarze już czekają i podnoszą się na nasz widok. Odnajduję wzrokiem znanego mi z fotografii prezesa – pana Yutę Matsumoto. Ćwiczyliśmy ten moment, więc razem z Łukaszem kłaniamy się przed nim niemal równocześnie. Prezes odkłania się i wyciąga rękę, żeby uścisnąć nam dłonie. Nawet wymiana wizytówek musi odbyć się wedle ściśle określonych zasad. Łukasz wyciąga swoją i podaje, trzymając ją oburącz, tekstem skierowanym tak, żeby odbierający mógł go od razu przeczytać, po czym podobnie przejmuje wizytówkę prezesa Matsumoto. Staram się powtórzyć każdy gest bezbłędnie.

– *Hajimemashite, watashi wa Piasecka Idalia desu. Dōzo yoroshiku onegaishimasu* – wypowiadam formułkę powitalną, jak najlepiej potrafię, i kłaniam się ponownie.

Łukasz nie spodziewał się chyba, że wyskoczę z tekstem po japońsku, bo wygląda na zszokowanego. Pewnie martwi się, że powiedziałam jakieś sprośności. Sama jestem przerażona, czy przez zwykłe przejęzyczenie nie nazwałam właśnie naszego gospodarza starą, tłustą ropuchą. Chyba nie, bo prezes Matsumoto odkłania mi się jakby trochę niżej i odpowiada podobnym zwrotem. Rytuał powtarza się przy kolejnych osobach.

Gestem zostajemy zaproszeni do zajęcia miejsc przy stole. Najgorsze dla mnie jest to, że posiłek będziemy spożywać, siedząc na ziemi, a to oznacza niewygodną pozycję i ścierpnięte nogi.

Dopuszczalny sposób siedzenia nazywa się *seiza* i polega na klęczeniu na piętach. Nieformalny w przypadku mężczyzn jest siad ze skrzyżowanymi nogami, a dla kobiet z nogami po jednej stronie ciała. Ja jednak chcę zrobić dobre wrażenie, więc nie mogę sobie pozwolić na taryfę ulgową. Siadam na piętach i pocieszam się, że nie powinni zerwać rozmów tylko dlatego, że zmienię pozycję w trakcie.

Przyglądam się dyskretnie wszystkim obecnym. Prezes Matsumoto wystroił się dla nas w tradycyjne czarne kimono z narzutką, na której widnieje jego herb rodzinny, i szerokie spodnie *hakama* w prążki. Jest starszym mężczyzną z okrągłą twarzą i sprawia wrażenie dobrotliwego staruszka. Reszta mężczyzn jest ubrana w garnitury. Wyjątek stanowi uzbrojony samuraj, stojący za plecami prezesa. Mężczyzna ten nie siada z nami do posiłku, zakładam więc, że jest ochroniarzem. Stanowi dla mnie na tyle nietypowy widok, że kiedy prezes Matsumoto wyraża swoją radość z naszego spotkania i chwali dotychczasowy kontakt, mój wzrok mimowolnie prześlizguje się na postać za nim. Mężczyzna jest jak wyjęty z kadru filmowego. Stoi nieruchomo z dłonią wspartą na dwóch mieczach, które ma zatknięte za pasma płótna oplatające go w pasie. Jego kimono jest ciemnoczerwone. Całości dopełniają granatowe spodnie *hakama* i tradycyjne białe skarpety *tabi* z jednym palcem. Nawet dłuższe włosy z grzywką, które nosi związane w kucyk, w połączeniu z wąsem i bródką nie powodują, że jest śmieszny. Wprost przeciwnie, czuję się, jakbym cofnęła się w czasie do momentu, kiedy był to wzór męskości i tacy samuraje chodzili ulicami.

Mężczyzna chyba zauważył, że mu się przyglądam, bo przyszpila mnie wzrokiem. Czuję, jakby przewiercał mnie na wylot swoimi prawie czarnymi tęczówkami. Speszona, opuszczam oczy i do końca posiłku boję się choćby spojrzeć w jego kierunku.

– Jedzmy! – komunikuje prezes Matsumoto po angielsku.

Śniadanie składa się z wielu dodatków, które są podawane w oddzielnych naczyniach. Oczywiście nie rozpoznaję nawet połowy z nich, dlatego skupiam się w pierwszej kolejności na tym, co znam, czyli na ryżu i bulionie *miso*.

*Zupa i ryż z rana jak śmietana? Wolałabym śmietanę na gofrze.*

Kolejno sięgam po wędzoną rybę i omlet zwinięty w roladkę. Prawie udaje mi się posługiwać pałeczkami bez upuszczania każdego kęsa. Uparcie walczę z tym niepozornym narzędziem tortur, choć co drugie podniesienie do ust okazuje się porażką. Kątem oka widzę, jak Łukasz śmiga sprawnie, jakby w domu nie używał widelca.

*Zdrajca.*

Przy stole toczy się rozmowa, w której powinnam wziąć udział, ale mam problem, żeby operować pałeczkami i jednocześnie słuchać, a co dopiero się odezwać.

– Panno Piasecka, a jakie jest pani pierwsze wrażenie z naszego kraju? – zagaduje prezes Matsumoto, wymawiając moje nazwisko niemal bezbłędnie.

Odkładam równo pałeczki na krawędź miseczki z ryżem.

*Precyzja i perfekcja. Tak, to moje drugie imię.*

– Nie miałam jeszcze okazji nic zwiedzić, ale na pewno chcę wykorzystać szansę, żeby zobaczyć jak najwięcej miejsc w Japonii. Słyszałam, że to bardzo piękny kraj, który zachwyca nie tylko zabytkami i widokami, lecz także kulturą – Przemycam pochwałę, na co prezes skłania głowę w moim kierunku. – Może naoglądałam się za dużo romansów, ale od zawsze chciałam tutaj przyjechać w sezonie, kiedy kwitną wiśnie. Jestem pewna, że na żywo zapierają dech w piersi. – Uśmiecham się do niego.

Moja odpowiedź chyba przypada mu do gustu.

*Dziękuję, mamo, za naciskanie, żebym uczyła się angielskiego!*

– Skąd pani zna japoński? – pyta jeden z mężczyzn.

Chociaż koło mnie leży stosik wizytówek, to i tak nie jestem w stanie dopasować otrzymanego kartonika do twarzy, a tym



bardziej nazwiska.

– Przygotowując się do spotkania, chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o Japonii, a język jest integralną częścią kraju i jego mieszkańców, dlatego nauczyłam się paru podstawowych zwrotów.

Przez resztę śniadania rozmawiamy trochę o Japonii, trochę o Polsce, w sumie o niczym, mimo to nerwowe napięcie mnie nie opuszcza.

*Uff, od tylu okrągłych słówek aż kręci mi się w głowie.*

Kiedy w końcu odkładamy pałeczki, wstaję, a moje nogi atakuje stado gryzących mrówek. Dziękujemy za zaproszenie i posiłek, kłaniamy się i ze zdziwienia otwieramy usta, bo prezes Matsumoto zegna nas po polsku słowami „do widzenia”.

Zakładając kapcie, muszę przytrzymać się ściany, bo nogi są jak obcy twór przymocowany do mojego ciała. Chyba z Łukaszem jest niewiele lepiej, bo posykuje przy każdym kroku. Nie komentujemy w żaden sposób śniadania, na wypadek gdyby ściany miały uszy, a do pokoi idziemy schodami, żeby odzyskać krążenie w nogach. Jeżeli zwykle, niezobowiązujące śniadanie było tak wyczerpujące psychicznie, to obawiam się prawdziwego spotkania biznesowego, które ma się odbyć wieczorem.

Muszę się trochę poruszać, więc przebieram się w jeansy i informuję Filipa, że idziemy zwiedzać. Ogród otaczający hotel rozciąga się na dużej powierzchni, bo nie dostrzegam jego końca. Odkrywam, że do dyspozycji gości jest nie tylko basen, lecz także wielkie jezioro, przez którego środek przebiega ścieżka z romantycznym mostkiem. Muszę wszystko sfotografować, obejrzeć i powąchać każdy napotkany kwiat. Kiedy tak wędrujemy wśród drzew, widzę charakterystyczną sylwetkę samuraja. Filip też go zauważył, bo mruży oczy i mówi:

– Trzymaj się od tego gościa z daleka. Widziałem, jak ci się przyglądał, jeszcze w restauracji. Nie podoba mi się.

*A mi się podoba* – prawie mówię na głos. Chyba mam dziwny gust, bo wszystko, co związane z Japonią, wydaje mi się takie, jak to tutaj mówią, *kawaii*. Nawet groźny samuraj z bronią.

Nasza przechadzka nie może trwać długo, bo musimy omówić z Łukaszem ostateczną strategię na spotkanie. Potrzebuję też kawy.

Zakładam tę samą garsonkę, którą miałam na śniadaniu, ale inną bluzkę. Jestem uzbrojona w laptop, myszkę, wskaźnik i plik ciepłych materiałów prosto z drukarki. Tym razem to my jesteśmy pierwsi na miejscu i przygotowujemy salę konferencyjną. Sprawdzam po raz kolejny, czy liczba krzeseł się zgadza, czy kawa jest ciepła, a rzutnik wyostrzony. Łukasz nerwowo przechadza się wzdłuż stołu i z zamkniętymi oczami powtarza jakieś dane.

*Ciekawe, czy gdyby był tutaj Konrad, to okazałby jakiegokolwiek zdenerwowanie? Raczej siedziałby rozparty na krześle i popijał kawę.*

Wybijam sobie myśli o nim z głowy, nie czas na to. Drzwi do sali się otwierają i wchodzi samuraj, obrzucając każdy kąt pomieszczenia badawczym spojrzeniem. Patrzy oceniająco także na nas, a mi się wydaje, że zawiesza na mnie wzrok na bardzo długo, jakby spodziewał się kłopotów.

*Żadnego zagrożenia z mojej strony, proszę pana.*

Po chwili pojawia się prezes Matsumoto i reszta jego współpracowników.

Znam prezentację prawie na pamięć, pomagałam ją tworzyć i kilka razy wysłuchałam, jak Łukasz ją wygłasza. Chyba dlatego gdzieś w połowie przedstawiania historii Cardecki Investment, jak to dziadek Konrada zaczynał od obwoźnego kramiku, wyłączam nagrywanie w pamięci. Nie zasypiam, na dowód czego mam kilka stron notatek, które robię w trakcie spotkania, ale mój umysł odpływa gdzieś daleko, co składam na karb przemęczenia i stresu.

Po spotkaniu dostajemy zaproszenie od prezesa Matsumoto na kolację i drinki. Łukasz nie ma wyjścia, musi się zgodzić. Ja natomiast wymawiam się zmęczeniem i półzartem mówię, że drinki

po pracy są domeną mężczyzn, więc moje towarzystwo nie jest pożądane. Wiem, że stąпам na granicy taktu, ale jeżeli miałabym spędzić dzisiaj jeszcze choć chwilę na klęczkach, to chyba oszaleję. Łukasz będzie mógł się skutecznie znieczulić, a kobiecie nie wypada pić za dużo w towarzystwie mężczyzn. Filipa wysyłam razem z nimi i chociaż spiera się ze mną przez chwilę, to ulega, kiedy oświadczam, że przecież idę spać.



Z ręką na sercu, naprawdę miałam zamiar iść spać, taka byłam wykończona. Jednak burczenie w brzuchu oznajmiło, że nie da łatwo za wygraną i nie pozwoli mi zasnąć, póki nie zaspokoję głodu. Restaurację hotelową skreśliłam od razu. Po konsultacji z żołądkiem zgodnie oznajmiliśmy, że ślinka cieknie nam na myśl o miejscu, które wczoraj odnaleźliśmy z Filipem. Mały bar znajduje się zaledwie kilka minut od hotelu i nie dość, że serwuje ramen, to jeszcze ma na wyposażeniu tradycyjne krzesła i stoły.

Przebieram się w jeansy, luźną koszulkę i ukochane trampki, po czym z lekkim poczuciem winy wymykam z hotelu.

*Gdyby Tomek mnie widział, nie zostawiłby suchej nitki na mnie ani na Filipie.*

Miasto jest pełne ludzi, świateł neonów i szumu samochodów. Niby nie różni się jakoś znacząco od Warszawy, ale jednak detale i klimat są całkiem inne. Staram się nie gapić na ludzi z kolorowymi włosami, ubranych, jakby szli na bal przebierańców. Tutaj to normalny widok.

Odnajduję bar bez trudu. Wchodząc do środka, muszę schylić nieco głowę, żeby ominąć zasłonkę zwaną *noren*, która wisi w drzwiach. Wnętrze nie jest duże, raczej wąskie. Przez całą długość

ciągnie się lada rozdzielająca pomieszczenie na dwie strefy – tę dla klientów oraz kuchnię, dzięki czemu można na bieżąco obserwować przygotowywanie jedzenia. Na krzesłach przy ladzie siedzi parę osób, ale jedyne dwa osobne stoliki są wolne. Wybieram ten dalszy i siadam przodem do wejścia. Domyślam się, że zamówienie składa się przy kasie, podchodzę więc i zamawiam ramen oraz wodę. Nie jestem pewna, jaki rodzaj dania wybrałam, bo jest ich co najmniej kilka, a obsługa nie mówi po angielsku.

*Będzie dobrze, byle nie wypaliło mi podniebienia toną ostrych przypraw. Zjem nawet mackę ośmiornicy.*

Nie muszę martwić się o pieniądze, w końcu mam kartę kredytową, którą Tomek wręczył mi przed wyjazdem. Jak się wyraził: „bez limitu i na każdą przyjemność”. Obserwuję, jak w kuchni krząta się starsza para, kobieta i mężczyzna. Coś kroją, mieszają i sprawnie podrzucają jedzenie na wokach, przy czym wyglądają na idealnie zsynchronizowanych. Do środka wchodzi kolejny klient, który ze względu na wzrost musi odgarnąć *noren* ręką. Zamieram, bo w drzwiach stoi znany mi samuraj. Nic w jego wyglądzie się nie zmieniło poza tym, że nie ma już przy sobie broni. RzUCA kilka słów, pozornie do nikogo konkretnego, ale kobieta za ladą zgina się w ukłonie, co oznacza chyba tyle, że przyjęła właśnie zamówienie. Ze zgrozą patrzę, jak mężczyzna podchodzi i siada przy moim stoliku, po czym bez słowa taksuje mnie spojrzeniem. Rozglądam się bezradnie, tak jakby ktokolwiek miał mi pomóc, i dostrzegam, że kucharka rzUCA mi przestraszone spojrzenie.

*Chyba mam kłopoty.*

Składam w głowie zdanie po angielsku, które ma grzecznie wyrazić, żeby spadał.

– Gdzie jest twój cień? – Kiedy mężczyzna się odzywa, głos ma głęboki i trochę ochrypły. – Nie powinnaś chodzić sama. Do samotnej kobiety może łatwo docześcić się jakiś typ, którego nie

będzie umiała się pozbyć – mówi, nadal patrząc mi w oczy, a jego angielski jest perfekcyjny, jakby był to jego drugi ojczysty język.

– Wiesz, gdzie jest. Dlaczego ty nie poszedłeś z resztą mężczyzn? – Nie spuszczam oczu i nie daję się zastraszyć, chociaż adrenalina przelewa się przez moje ciało.

To nie jest uśmiech, nie taki pełny, raczej podniesienie jednego kącika ust w geście rozbawienia, jednak to wystarcza, żeby na policzku pojawił mu się uroczy dołek.

– Miałem przecucie, że gdzie indziej przydam się bardziej.

Kucharka przynosi na tacy parującą miskę i stawia ją przed samurajem razem z białą ceramiczną karafką i małą czarką. Chcę zapytać, gdzie moja zupa, ale nie zdążam, bo mężczyzna przesuwa miskę w moją stronę i mówi coś do kobiety. Ta się kłania i odchodzi.

– Jedz, Hikari.

Nie wiem, co dokładnie do mnie powiedział, ale mam to gdzieś, jestem głodna. Wyciągam jednorazowe pałeczki z pojemnika ustawionego na stole, przełamuję je na pół i mówię *itadakimasu*, co oznacza tyle, co smacznego. Biorę pałeczkami makaron, dmucham i wciągam go, siorbiąc. Oglądałam na filmach, jak Japończycy zgrabnie przytrzymują makaron pałeczkami, żeby ten nie chlapał. Oczywiście ta sztuka mi się nie udaje i dostaję kropelkami bulionu w twarz.

*Brawo ja, właśnie zrealizowałam swoje marzenie.*

Zaczynam się sama z siebie śmiać, kiedy wycieram się chusteczką.

*Zachciało mi się kozaczyć z pałeczkami, kiedy ledwo potrafię je utrzymać w ręce.*

Samuraj opiera się wygodnie na krześle, krzyżuje ręce na piersi i przygląda mi się z przekrzywioną głową. W międzyczasie na stole pojawia się druga miska i kolejna czarka. Mój nieproszony towarzysz przy stole bierze karafkę i rozlewa napój. Unosi swoją czarę i wypowiada toast:

– Za niespodziewane spotkania. Jestem Takashi.

Dziwię się, że przedstawia się z samego imienia, bo taka bezpośredniość nie jest tutaj normą. Biorę czarkę, wążam jej zawartość i zdecydowanie wyczuwam alkohol, podejrzewam sake.

*No cóż, jedna mnie nie upije.*

– Mów mi Ida. *Kanpai!* – Stukam lekko w jego czarkę i wypijamy.

– Teraz mogę cię nauczyć, jak się posługiwać pałeczkami. – Takashi podnosi się ze swojego miejsca i staje za moim krzesłem.

Otacza mnie ramionami z obu stron i wkłada do ręki pałeczki, tłumacząc przy tym, jak mają być ułożone.

– Trzymaj dolną pałeczkę nieruchomo, a poruszaj górną, o tak.

Nie bardzo mogę się skupić, bo mam wrażenie, jakbym była zatopiona w ramionach samuraja, chociaż tak naprawdę dotyka tylko mojej dłoni. Jego piżmowy zapach w połączeniu z ochryplym głosem podnosi włoski na moim ciele. Palce ma bardzo długie, a dłonie z widocznymi żyłami. Zauważam także odciski, zapewne od miecza. Zdecydowanie nie jest wymuskanym dżentelmenem w garniturze.

– Spróbuj sama. – Wraca na swoje krzesło i demonstruje mi siorbanie makaronu na poziomie mistrzowskim.

Tym razem radzę sobie trochę lepiej, ale raczej ze względu na to, że wykazuję mniej entuzjazmu, a co za tym idzie, próbuję zjeść mniejszą ilość makaronu naraz i nie zasysam go jak nowiutki odkurzacz ustawiony na maksymalną moc. Takashi znowu częstuje mnie tym swoim półuśmiechem, który powoli staje się w moich oczach jego wizytówką.

– Do kolejnego wspólnego śniadania będę umiała łapać pojedyncze ziarenka ryżu – rzucam przechwałkę trochę na wyrost.

Podnosi jedną brew i patrzy na mnie kpiąco. Jego czarne oczy są egzotyczne ze względu na charakterystyczny dla Azjatów kształt, ale przez to fascynują mnie i mam ochotę spoglądać w nie aż za często.

– Hikari, dopiero się poznaliśmy, a już proponujesz mi wspólne śniadanie?

Chcę zapytać, co oznacza to słowo, którym mnie nazywa, ale w tym momencie drzwi odsuwają się z rozmachem i do środka wchodzi trzech mężczyzn wyglądających jak zbiry. Zaczynają coś wykrzykiwać do właścicieli lokalu, a goście kulą się w sobie, próbując nie zwracać na siebie uwagi. Obserwuję scenę z przerażeniem, bo chociaż nie rozumiem słów, to z podniesionych głosów i wymachiwania pałkami domyślam się, że nie jest to wizyta zwykłych klientów. Takashi jakby nic nie zauważył, dalej je w spokoju, nawet się nie odwrócił, żeby sprawdzić źródło hałasu za jego plecami. Jeden ze zbirów przechyla się przez ladę i zaczyna szarpać ze staruszkami o kasę. Nikt nie reaguje.

*W każdym kraju to samo, znieczulica!*

Łapię pałeczki w garść jako jedyną broń, którą mam w zasięgu ręki, i chcę ruszyć na pomoc.

– *Yamero!* – Takashi rzuca jedno słowo ostrym tonem tak, że przebija się przez harmider.

Zbiry odwracają się w jego stronę, a ja spinam się jeszcze bardziej w oczekiwaniu na jatkę, ale ta nie następuje. Tamci trzej zachowują się jak niegrzeczne dzieci, które dostały po łapach. Zostawiają w spokoju kasę i powtarzając co chwilę przeproszające *gomennasai*, gną się w ukłonach, a jednocześnie wycofują tyłem z lokalu. Nawet drzwi zasuwają za sobą po cichutku.

Niewzruszony Takashi bierze miskę w obie dłonie i wypija z niej zawartość. Patrzą na niego z podziwem.

– Naucz mnie tego magicznego zaklęcia!

Rzuca kolejny półuśmiech, kiedy nalewa mi sake. Nie powinno się samemu sobie serwować alkoholu, biorę więc karafkę z jego ręki i uzupełniam mu czarę. Wypijamy.

– Żeby to zaklęcie miało moc, wymaga lat ciężkich ćwiczeń, masy siniaków i złamanych kości – tłumaczy, odstawiając puste

naczynie.

– Z chęcią posłucham kiedyś, jak to jest być samurajem w dzisiejszych czasach.

– Mogę ci jedynie opowiedzieć, dlaczego nie jestem samurajem – mówi, kiedy polewamy sobie kolejną czarę sake. Przyjemnie szumi mi w głowie i nie pamiętam już, że miałam wypić tylko jedno rozlanie ani że powinnam się go bać. – Jest to jednak długa opowieść, więc dzisiaj nie zdążę, zanim będę musiał cię zanieść do hotelu.

– O, chyba przesadzasz, bo nie mam aż tak słabej głowy, żeby pokonała mnie ta wasza słaba sake.

– Wiesz, że ta nasza słaba sake nazywa się *nihonshu*, a samo *sake* oznacza po prostu alkohol?

– Wiem, ale to się trudno wymawia. Polej.

Polał. Może dlatego nie od razu rozpoznaję Filipa, który bierze się nie wiadomo skąd przy naszym stoliku. Takashi podnosi się i patrzy mojemu ochroniarzowi wyzywająco w oczy.

– Za wolno. Zdążyłbym ją porwać, zgwałcić, zabić i jeszcze wypić na jej grobie. – Po czym bez słowa pożegnania wychodzi z baru, a właściciele kłaniają mu się w pas.

Filip zaciska szczęki, łapie mnie za rękę i siłą wyciąga na zewnątrz.

– Przepraszam, zgłodniałam. Nie zamierzałam siedzieć w barze tak długo – tłumaczę się. – Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

– Masz lokalizator w komórce. Dopóki jest włączona, mogę cię śledzić. Miałem patrzeć na niego cały czas, mój błąd. Już ci nie zaufam – cedzi przez zęby.

Jest wściekły, a ja czuję się winna, dlatego bez gadania pozwalam zaprowadzić się do pokoju.

Śni mi się postać samuraja, który stoi samotnie pod kwitnącym drzewem wiśni i łapie pałeczkami płatki wirujące wokół niego niczym śnieg.





Patrzę z drugiej strony ulicy, jak ochroniarz wyciąga Hikari za rękę z baru i ciągnie ją ulicą w stronę hotelu.

*Nieudacznik.*

Nie wiem, kto uznał za dobry pomysł przydzielenie jej typu, który nie ma pojęcia, jak powinna wyglądać prawdziwa ochrona. Zasada numer jeden: zawsze miej swój cel na oku. Skoro trzyma ochraniającą osobę za sobą, nie widzi nawet, że Hikari ledwo za nim nadąża. Zasada numer dwa: obserwuj otoczenie. Ochroniarz jest tak skupiony na holowaniu dziewczyny, że wystarczy podstawić mu nogę, żeby zarył twarzą w chodnik. Kręcę z niedowierzaniem głową na taki brak profesjonalizmu. Ja mogłem sobie pozwolić, żeby w barze usiąść tyłem do drzwi dlatego, że i tak nie dałbym rady obserwować obu wejść, jakie ma ten lokal, głównego i tylnego przez kuchnię, a w ten sposób jedno z nich miałem zawsze na oku. Celowo wybrałem to miejsce, żeby być na linii Hikari–drzwi, więc w przypadku ataku od ulicy pierwszy ogień poszedłby w moje plecy. Pod ubraniem noszę lekką kamizelkę kuloodporną, więc przy odrobinie szczęścia nie byłby to dla mnie koniec imprezy.

Takie rozmyślenia towarzyszą mi w drodze powrotnej, a na koniec upewniam się, że mimo ochroniarza idioty Hikari bezpiecznie dotarła do swojego pokoju.

Następnego dnia rano łapię się na tym, że podczas śniadania wpatruję się w drzwi restauracji w oczekiwaniu, kiedy ją zobaczę. Pora posiłku mija, ale nie pojawia się ani ona, ani jej towarzysze. Idę więc do obsługi hotelu z pytaniem, czy przebywają cały czas w swoich pokojach.

*Czyżby „słaba sake” rozłożyła na łopatki całą polską delegację?*

Zobaczymy się i tak, bo po południu ma się odbyć kolejne spotkanie z Matsumoto-sama.

Chociaż nie jestem pruderyjny, uważam, że niektóre rzeczy powinny być zarezerwowane jedynie dla wzroku mężczyzny w sypialni. Zaliczam do tego nadmierne eksponowanie ciała i prowokacyjny ubiór.

*Nie myślałem, że do listy dopiszę również strój biurowy.*

Hikari założyła na dzisiejsze spotkanie ciemnoszarą marynarkę i spodnie w identycznym kolorze. Chociaż każdy centymetr jej ciała jest zasłonięty – nawet bardziej, niż kiedy była w spódnicy – to mam ochotę zawiązać jej coś na biodrach, gdy nachyla się i przed każdym obecnym kładzie folder z dokumentami.

*Sam nie masz wystarczającej siły woli, żeby odwrócić wzrok.*

Hikari mówi coś o problemach z wydrukiem i przeprasza, że rozkłada je dopiero teraz, ale nie słucham. W ogóle nie słucham, o czym jest dzisiejsze spotkanie, bo cały czas mam wzrok przylepiony do niej. Działa na mnie i jest to coś więcej niż fascynacja jej odmiennością w porównaniu do kobiet, które znam. Kątem oka widzę, że jej ochroniarz z kolei patrzy tylko na mnie.

*Następny błąd, kolego, nie jestem jedynym zagrożeniem, na jakie powinieneś zwracać uwagę.*

Spotkanie kończy się konkluzją, że nasza strona potrzebuje czasu na zapoznanie się z przedstawionymi informacjami. Będą między sobą dyskutować, aż wszyscy uznają, że są zainteresowani współpracą z Polakami, tak więc kolejne rozmowy są przewidziane na pojutrze lub później, jeżeli będzie taka konieczność.

*Świetnie, wykorzystam tę szansę.*

Daję Hikari trochę czasu, żeby odpoczęła po spotkaniu, i pukam do jej pokoju. Nie wygląda na zbytnio zaskoczoną moim widokiem. Zdążyła przebrać się w jeansy i czarną koszulkę z dużym białym kwiatem z przodu, ale jest bosy.

– Dasz się porwać? – pytam zamiast powitania.

Nie ma szansy odpowiedzieć, bo otwierają się drzwi sąsiedniego pokoju i wychodzi do nas jej ochroniarz, jak zawsze w garniturze. Krzywię się, bo liczyłem, że i tym razem pokpi sprawę.

– Nie będzie żadnego porywania – mówi, patrząc na mnie groźnym wzrokiem.

Mógłbym go powalić na podłogę i pokazać, że nie ma tutaj nic do gadania, bo dla mnie liczy się tylko zdanie Hikari. Wiem jednak, że nie zyskałbym w ten sposób w jej oczach.

– Hikari? – Patrzę na nią pytająco.

– Powiesz mi, co znaczy to słowo? – odpowiada pytaniem.

– Powiem, ale chcę cię najpierw zabrać na kolację i coś ci pokazać.

– Ida, to nie jest dobry pomysł – mówi ochroniarz po polsku.

Nie rozumiem słów, ale przekaz jest dla mnie jasny. Hikari drapie się w nos, patrzy na mnie uważnie, po czym pyta:

– Kolacja będzie w jednej z tych restauracji, gdzie gotuje się samemu przy stoliku?

Uśmiecham się.

*Dobrze wiedzieć, że można trafić do jej serca przez żołądek.*

– Grillowane mięso czy kociołek?

– Mięso! W takim razie się zgadzam, ale pod warunkiem, że nie będzie to porwanie i Filip idzie z nami.

Patrzę ochroniarzowi w oczy i z pełną świadomością, że go zdenerwuję, kieruję swoje słowa do Hikari:

– W takim razie porwę cię jutro.

Ochroniarz wydaje z siebie wkurzony pomruk.

– Za kwadrans będę gotowa, nie pobijcie się do tego czasu – rzuca Hikari i chowa się w pokój.

– Nie myśl, że ci tak łatwo ze mną pójdzie. – Ochroniarz podchodzi, celując we mnie wyciągniętym palcem.

*Jeżeli mnie choćby dotknie, to złamię mu rękę.*

Ostrzegawczym gestem opieram przedramię na katanie, którą mam u boku.

– Ucieszę się, jeżeli nie pójdzie mi łatwo, bo to będzie znaczyło, że wreszcie wykonujesz swoją robotę.

Zaciska ręce w pięści i widzę, że ledwo nad sobą panuje. Zasada numer trzy: nie daj się sprowokować.

– Powiedz mi, jest was dwóch i macie dwie osoby do ochrony – zagaduję. – W przypadku zagrożenia, które będzie wymagało wyboru, kto jest waszym VIP-em?

– Nic ci do tego – warczy, ale jego oczy mimowolnie wędrują na drzwi do pokoju Hikari.

*Ciekawe, że życie zwykłej asystentki jest więcej warte od losu dyrektora...*

Chciałbym go jeszcze podenerwować i pociągnąć za język, ale wychodzi do nas Hikari. Związała włosy gumką i założyła trampki. Kiedy koło mnie przechodzi, czuję lekki zapach z frapującą kwiatową nutą, którego wczoraj nie było. Wiem, że moim głównym celem będzie korzystanie z każdej nadarzającej się okazji, żeby wryć sobie zapach jej perfum w pamięć.

Odpinam miecze przy recepcji hotelowej i zostawiam je na przechowanie, a przy okazji zamawiam taksówkę. Chętnie zabrałbym Hikari na przejażdżkę metrem, ale nie z ogonem w postaci ochroniarza. Chociaż widzę potencjał na niezłą zabawę, gdy będzie próbował nadążyć i nie zgubić nas w tłumie.

*Może później.*

Restauracja serwująca *yakiniku*, którą wybieram, ma tę zaletę, że posiada prywatne pokoje. Ochroniarz sprawdza pomieszczenie, w którym poza nakrytym stołem i krzesłami nie ma nic więcej. Najważniejszym wyposażeniem są dwa okrągłe grille wpuszczone w blat, na których goście sami szykują sobie posiłek, głównie mięsa i warzywa. Do zamawiania służy ekran z boku stołu. Hikari chce oczywiście, żeby ochroniarz zjadł z nami, ale ten na szczęście

przyswoił sobie lekcję i będzie czekał pod drzwiami. Biorę na siebie wybór jedzenia i zamawiam wszystkiego po trochu, żeby dać jej możliwość przekonania się, co lubi najbardziej. Obsługa pojawia się szybko, niosąc półmiski surowych składników, ryżu i sosów, a także *nihonshu* i czarki. Proszę o rozpalenie tylko jednego grilla i włączenie wyciągu.

– Takie małe kawałki – dziwi się Hikari, kiedy układamy mięsa na ruszcie.

– Chodzi o to, żeby za długo nie czekać, aż się upieką, a poza tym mają zmieścić się do ust na raz – tłumaczę i dokładam z boku parę grzybów i cebulę.

– Powiesz mi teraz? – Patrzy na mnie wyczekująco.

*Intryguje cię nowe przezwisko? To dobrze.*

– Jeszcze nie, mam ci najpierw coś do pokazania. Teraz zjemy. – Nalewam alkohol do jej czarki, na co ona napełnia moją.

– Oj, to o czym będziemy rozmawiać? – Robi przesadnie smutną minę. – Chyba będziesz musiał mi o sobie opowiedzieć.

– Może po prostu posiedzimy w ciszy i popatrzymy w ogień – proponuję żartem, ale ona kiwa głową, opiera brodę na splecionych palcach i wpatruje się w węgiel drzewny żarzący się pod rusztem.

Wstaję i gaszę wszystkie światła poza jednym. Hikari nadal spogląda w ogień, a teraz w półmroku cienie tańczą po jej twarzy, malując tajemnicze obrazy. Patrzę bez słowa, jak uśmiecha się leciutko, zapewne pomyślała o czymś przyjemnym. Czuję, jakbym oglądał wciążający spektakl, a nie zwykłą kobietę w oczekiwaniu na posiłek. Dopiero zapach spalenizny wyrwa mnie z rozmarzenia. Ściągam mięso i jadalne kawałki kładę Hikari na miseczce z ryżem, następnie podsuwam jej wybór sosów. Bierze mięso pałeczkami, dmucha i kosztuje.

– Wychowywał mnie brat ojca – zaczynam nagle mówić, co mnie samego zaskakuje – po tym, jak moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. On sam już też nie żyje. *Ojisan* nie miał swoich

dzieci. Prowadził *dōjō*, a więc nauczył mnie jedynej rzeczy, jaką potrafił. Walki. – Wypijam sake, po czym deklamuję: – „Nieporuszony niczym góra, niepowstrzymany niczym ogień, spokojny niczym las, zwinny niczym wiatr. Na niebie i ziemi tylko mnie należy się podziw”<sup>1</sup>. Taki chciałem być. Naiwne mrzonki młodzika, który myśli, że jak potrafi rozłożyć na łopatki chłopaków w swoim wieku, a nawet większość starszych, to należy mu się szacunek i kawałek świata na własność.

Wpatruję się przez chwilę w żar, zbierając myśli. Hikari nie komentuje ani mnie nie pogania.

– Zgodnie z zasadą, że gwóźdź, który wystaje, będzie wbity w ścianę, dostałem za swoje. W konsekwencji wyrzucili mnie ze szkoły. Niby pomagałem prowadzić *dōjō*, ale coraz bardziej wpadałem w złe towarzystwo. Niestety, miecz nie wybacza. Użyty do złych celów obraca się przeciwko właścicielowi. – Uśmiecham się gorzko. – Żeby nie zanudzać cię szczegółami, wtedy w moim życiu pojawił się Matsumoto-sama i zaproponował mi pracę. Byłem dobry nie tylko w walce mieczem, więc opłacił mi szkołę, wysłał nawet na studia do Anglii. – Śmieję się, widząc zdziwienie Hikari. – Tak, mam tytuł MBA. Teraz prowadzę kilka swoich interesów, a odkąd umarł *ojisan* próbuję utrzymać na powierzchni *dōjō*, chociaż jest to studnia bez dna. Praca dla Matsumoto-sama jest teraz raczej rzadkością, ale mieszkam w jego hotelu, więc czasami wyświadczam przysługi, jak ta, żeby uczestniczyć w rozmowach z Polakami.

– To dlatego mówisz, że nie jesteś samurajem? Bo splamiłeś swój miecz? – Hikari wyczytała pomiędzy wersami to, czego nie chciałem ująć w słowa.

*Nie musisz wiedzieć wszystkiego, nie powinnaś. Dlatego, słodka Hikari, na to pytanie ci nie odpowiem.*

– Nie wiem, ile wiesz na temat historycznych samurajów. W skrócie mówiąc, byli wojownikami w feudalnej Japonii i jedynie

oni mieli prawo nosić miecze. Komplet broni składający się z katany i krótkiego *wakizashi* nazywa się *daishō*, widziałaś je u mnie. Jest to dusza samuraja. Obecnie w Japonii należy mieć pozwolenie na posiadanie broni, ale nie wolno jej nosić publicznie, dlatego zostawiam *daishō* w hotelu.

Nie chcę wchodzić w zbędne szczegóły, skracam więc do minimum informacje, które są jej potrzebne.

– Samuraje żyli według własnego kodeksu zwanego *bushidō*, czyli drogą wojownika, który za najważniejsze uważał lojalność wobec swojego pana i honor. Raz splamionego honoru nie dało się odzyskać inaczej niż przez śmierć. „Można żyć, kiedy żyć się godzi, i umrzeć, kiedy umrzeć trzeba” – cytuję jedną z zasad kodeksu. – Nie jestem wojownikiem, który jest wierny swojemu panu, a tym bardziej ideałom, które głosi *bushidō*. Jestem po prostu facetem, który utknął gdzieś między epokami, a do tego najlepiej wychodzi mi walka mieczem. – Robię pauzę, żeby popatrzeć jej w oczy. To, co powiem, jest ważne, bo powinno trzymać ją ode mnie z daleka. – Nie szukaj we mnie na siłę ideałów, nie twórz romantycznego wizerunku, bo nie jestem honorowym samurajem, jakiego zobaczysz w telewizji. Ani nawet dobrym człowiekiem, to ci chciałem powiedzieć. – Biorę głęboki oddech. – Twoja kolej.

Hikari nakłada sobie nową porcję mięsa i zbiera myśli.

– Nie mam takiej historii jak twoja, moje życie da się opowiedzieć w paru zdaniach. Wychowywała mnie mama. Samotnie, bo tata zmarł, zanim miał szansę dowiedzieć się, że zostanie ojcem. Mama również już nie żyje, więc jestem sama na świecie. Też mam tytuł naukowy, a co! – Uśmiecha się z dumą. – Praca dla Cardecki Investment to moja pierwsza prawdziwa praca, wcześniej robiłam różne rzeczy. Pracowałam między innymi – zawiesza głos i zaczyna bębnić palcami w stół, naśladując werble – w japońskiej restauracji! – Zaczyna się śmiać. – Nie, nie serwowaliśmy takich specjałów jak tutaj, po prostu japoński fast food. Dlatego tak bardzo chciałam

spróbować, jak smakuje prawdziwy ramen. W moim życiu nie ma fajerwerków. No może poza tymi, kiedy moje mieszkanie wylatywało w powietrze, ale... nie jest to coś, o czym chcę mówić. – Macha ręką i pochłania kolejną porcję jedzenia.

Ja zapomniałem, że jesteśmy tutaj, żeby jeść. Zadaję pytanie, które nurtuje mnie, odkąd pierwszy raz ją zobaczyłem:

– Jest w twoim życiu jakiś mężczyzna?

Hikari chyba nie spodziewała się, że o to zapytam, bo zastyga z jedzeniem w połowie drogi do ust. Nie zaprzecza od razu, jakby potrzebowała czasu do namysłu, po czym wkłada mięso do buzi i żując, kręci głową.

*Czyli ktoś jest, a przynajmniej właśnie pomyślała o jakimś mężczyźnie.*

Na podstawie wskazówki, jaką podrzucił mi jej ochroniarz, nabieram podejrzeń.

– Opowiedz mi, jaki jest prezes Cardecki.

Hikari zamiera po raz kolejny, opuszcza wzrok i zaczyna grzebać w ryżu.

*Trafiony, zatopiony.*

– Nie wiem. – Kiedy się odzywa, dalej na mnie nie patrzy. – Nie mogę się wypowiedzieć, bo nie widziałam go od kilku miesięcy. Jestem asystentką dyrektora, więc gdzie mi tam do prezesa. Naprawdę o tym chcesz rozmawiać?

*Nie chcę, ale jednocześnie chciałbym się dowiedzieć więcej o mężczyźnie, z którym jesteś, byłaś lub chciałabyś być związana.*

– Daj mi swój telefon. – Wyciągam rękę.

Hikari bierze z torebki komórkę i mi ją podaje. Piktogramy są na tyle uniwersalne, że bez trudu zapisuję swój numer i jednocześnie zdobywam jej kontakt.

– Dzwon, gdybyś czegoś potrzebowała, czegokolwiek. A teraz czas, żebyśmy się stąd ruszyli, bo przegapimy kolejny punkt programu.



Dobra dusza pyta ochroniarza, czy jest głodny, ale on stara się być wzorem profesjonalizmu i zaprzecza. Płacę rachunek i po raz kolejny korzystamy z taksówki. Tym razem, żeby podjechać pod Tokio Skytree. Spoglądam w górę. Oświetlenie wieży w ciemności jest w spektakularne.

– Przemalowali Tokio Tower? – pyta Hikari, kiedy stoimy z zadartymi głowami. – Przecież na zdjęciach widziałam czerwoną wieżę.

– Tokio Skytree również jest wieżą telewizyjną, ale to inny obiekt.

Niestety ze względu na popularność nie tylko jest ważnym punktem na mapie turystycznej, lecz stanowi także miejsce romantycznych spotkań, więc przy wejściu stoi mały tłumek, który przesuwa się powoli do przodu.

– Zapomniałem, że każdy przed wejściem musi przejść kontrolę, w tym wykrywacz metalu. – Patrzę niewinnym wzrokiem na ochroniarza.

Nie muszę znać polskiego, żeby rozumieć, co wyrażają wyrzucane przez niego słowa.

– Filip, zaczekasz tutaj? Postaramy się szybko wrócić. Mam komórkę – prosi Hikari.

Wcale mu się to nie podoba, więc zanim zacznę na dobre protestować, odpinam z łydki składany nóż i rzucam w jego kierunku. Odruchowo łapie.

– Nie zgub – mówię, po czym biorę Hikari za nadgarstek i mieszamy się z tłumem.

Wiem, że będzie jej żal czekającego ochroniarza, i dlatego nie tracąc czasu, kierujemy się na najwyższe piętro widokowe. W windzie jest ścisk, więc ustawiam się za Hikari, żeby nikomu nie przyszło do głowy obmacywanie jej w tym tłoku, co niestety jest u nas zbyt częste. Nie ma wyboru, ze względu na brak miejsca jest zmuszona przylgnąć do mnie plecami. Skupiam się na wyświetlaczu

windy odliczającym piętra, staram ignorować sytuację i płytko oddychać, żeby nie zaciągać się kwiatowymi perfumami, ale i tak moje ciało reaguje na jej obecność. Nieświadoma niczego wydaje westchnienie zachwytu i podbiega do barierki od razu po opuszczeniu windy.

– Oo... Jakie to piękne... – mówi rozmarzonym głosem.

Staję za nią i opieram się rękami o barierki po obu jej stronach. Tym razem zachowuję dystans, żeby nasze ciała się nie stykały. Nie chcę stwarzać erotycznych podtekstów.

– Hikari – mówię cicho.

Odwraca głowę, ale chyba moja bliskość ją peszy, bo wraca do podziwiania widoków. Nie odsuwa się jednak.

Nocą Tokio widziane z tej wysokości rozświetla cały widnokrąg. Można rozpoznać poszczególne budynki, policzyć, ile świateł świeci się w oknach wieżowców, a ulice są jak sznury lampionów. Stoimy przy północnej stronie, więc widzimy również blask latarni odbijający się w rzece.

– Widok zapierający dech w piersi. Piękno i gra świateł, właśnie to chciałem ci pokazać – mówię prawie szeptem, nachylając się nad jej uchem. – Wywołujesz we mnie podobne uczucia, stąd Hikari: „światło”.

– Jesteśmy wysoko? – pyta, jakby nie słyszała, co przed chwilą powiedziałem.

– Czterysta pięćdziesiąt metrów. Dla porównania cała Tokio Tower ma nieco ponad trzysta. Skytree jest prawie dwa razy wyższa. Nad nami jest jeszcze iglica.

– Jak nazywa się ta rzeka?

– Sumida, tam dalej jest Arakawa – odpowiadam cierpliwie.

– Cudowna iluminacja. Podoba mi się ta różnokolorowa łuna na powierzchni rzeki.

Mruczę potwierdzająco.

– Na drugim brzegu Sumidy jest świątynia buddyjska, najstarsza w Tokio. Mogę cię tam jutro zabrać – proponuję.

Hikari tylko kiwa głową, delikatnie odsuwa moją rękę i rusza wzdłuż barierki, podziwiając panoramę z każdej strony wieży. Mijamy wiele par, które oglądają światła w dole, trzymając się za ręce lub przytulając. Hikari dalej nie komentuje w żaden sposób moich słów. Chodzę za nią, ale nie oglądam już widoków.

Zgodnie z przewidywaniami Hikari martwi się o losy ochroniarza, tak jakby facetowi z bronią mogło się coś stać, zjeżdżamy więc bez słowa na dół.

*Zostałem zignorowany. Czy to automatycznie oznacza, że dostałem kosza?*



*Idiotka. Kretynka. Głupia* – wyrzucam sobie, kiedy kręcę się w łóżku, nie umiając zasnąć. Słyszę ochrypły głos mówiący mi wprost do ucha: „Piękno i gra światła, właśnie to chciałem ci pokazać. Wywołujesz we mnie podobne uczucia, stąd Hikari: »światło«”. Ramiona Takashiego otaczają mnie z obu stron, ale utrzymuje między nami dystans, przez co powoduje nieznośne pragnienie, żebym to ja dotknęła jego. Czuję piżmowy zapach i ciepło jego ciała. Odwracam się w jego stronę i zamykam oczy w oczekiwaniu na pocałunek...

*Ten jednak nie nadchodzi, bo przecież udałam, że nic nie słyszę, i sobie po prostu poszłam. Idiotka!*

Na śniadanie schodzę jak struta. Siedzimy przy stoliku we czworo. Rozmawiam z Łukaszem na temat naszych kolejnych kroków, snując strategię zależną od odpowiedzi Japończyków. Żadne z nas nie jest pewne, jak idą rozmowy, ponieważ w kulturze naszych

gospodarzy odmowa wyrażona wprost jest traktowana jako niegrzeczna, dlatego w zależności od kontekstu i mowy ciała nawet kiwanie głową i potakiwanie może oznaczać „nie”.

– Rozmawiałeś z Konradem na ten temat? – Jestem nieprzytomna i wyrywa mi się imię prezesa.

– Tak, informuję go na bieżąco o wszystkich wydarzeniach.

Wydaje mi się, że położył nacisk na słowo „wszystkich”. Urywamy rozmowę, bo koło naszego stolika pojawia się Takashi.

– Dzień dobry. – Kłania się lekko. – Mogę się do państwa przyłączyć?

Oczywiście nikt nie wyraża sprzeciwu, więc Takashi podsuwa sobie dodatkowe krzesło i siada na szczycie stołu, zaraz koło mnie.

– Obiecałem Idzie, że zabiorę ją dzisiaj na zwiedzanie Tokio. – Takashi zwraca się do Łukasza, a ja marszczę brwi na to, że nazwał mnie po imieniu. – Chciałem prosić o pozwolenie, żebym wyjątkowo pełnił także funkcję jej ochroniarza.

– Nie zgadzam się! – Filip aż podrywa się z miejsca. – Proszę nie dać się oszukać, to jest jakiś podejrzany typ, który przyczepił się do Idy od samego początku. Kto wie, co może jej zrobić – kończy po polsku.

Drugi ochroniarz popiera kolegę i oznajmia, że według niego skrajną głupotą jest zawierzanie życia osobie, która nie została wcześniej poddana weryfikacji.

Takashi zwęża oczy, przyglądając się podenerwowanemu ochroniarzowi.

– Przy mnie Ida będzie bezpieczniejsza niż z tobą – mówi do Filipa, po czym zwraca się znowu do Łukasza: – Sama obecność ochroniarza sugeruje, że jest wartościowym celem. Słowo honoru samuraja, że będę jej strzegł jak własnego życia. Może pan zapytać Matsumoto-sama o rekomendację, ale zapewniam, że posiadam wymagane umiejętności.

Takashi wstaje, kłania się Łukaszowi i pozostając w tej pozycji, mówi z mocą:

– Proszę pozwolić mi chronić Idę.

Patrzę na całość z otwartymi ustami. Nie spodziewałam się, że Takashi będzie w ogóle chciał mnie jeszcze widzieć, a co dopiero, że będzie w ten sposób prosił. Zwłaszcza że moja wczorajsza reakcja musiała go zaboлеć, skoro zrezygnował z pieszczotliwego przezwiska, jakim mnie określał. Jest mi co najmniej głupio. Widzę, że Łukasz też jest zmieszany. Ma niepewną minę i chyba nie wie, co ma odpowiedzieć mężczyźnie, który nadal czeka z opuszczoną głową. Patrzy więc na mnie pytająco, a ja kiwam głową na znak, że się zgadzam.

– Dobrze, ufam, że odstawi pan Idę do hotelu w jednym kawałku – decyduje w końcu, na co ukłon Takashiego pogłębia się, kiedy ten dziękuje za zaufanie.

Filip jest oburzony i zapowiada, że będzie o tym musiał zameldować prezesowi. Przez krótką chwilę kłuje mnie w sercu.

*Co z tego, że Konrad się o tym dowie?*

– W takim razie, Ido, widzimy się za godzinę – mówi Takashi.

Kłania się lekko nam wszystkim i odchodzi.

– Ido, nie idź z nim. Wiem, że oczarował cię swoim stylem złego chłopca z mieczem, ale mu nie ufam – prosi Filip.

Drapię się w nos.

*Będę później żałowała? Wiem na pewno, że tak się stanie, jeżeli nie pójdę z Takashim. Tak samo, jak żałuję tego, że wczoraj stchórzyłam i nie odpowiedziałam na jego wyznanie.*

Ogarnął mnie strach, że zaprowadzi nas to za daleko, a przecież niemal nie znam Takashiego. Poza tym powstrzymywała mnie myśl o Konradzie – jakieś idiotyczne uczucie przynależności, jakbym była jego kobietą. Jednak to nie jest tak, że ktoś na mnie czeka w domu. Na pewno nie Konrad, bo on już dawno wyprosił mnie ze swojego życia.

*Jestem samotną, dorosłą kobietą i odrobina flirtu mi się należy. Aga zdecydowanie przyklasnęłaby moim myślom i dodała jeszcze, że seks też mi się należy. W dużych ilościach i wymyślnych pozycjach.*

– Dziękuję za twoją troskę, ale jeżeli to błąd, to popełnię go świadomie. – Uśmiecham się do Filipa, bo wiem, że nie jestem najłatwiejszą osobą do ochrania.

– Co mam powiedzieć Konradowi? – pyta zniecierpliwiona Łukasz, przyglądając mi się uważnie.

Moje policzki robią się czerwone ze wstydu.

*Nadal mówimy o zwiedzaniu Tokio, czy wszyscy wokół wyobrażają sobie, że Takashi zaprosił mnie do swojego pokoju hotelowego?*

Staram się nonszalancko wzruszyć ramionami.

– Fakty. – Nie wiem, co o mojej relacji z Konradem wie Łukasz. – Jeżeli prezes w ogóle wyrazi zainteresowanie.

– Ido... – Łukasz chce coś powiedzieć, ale nie daję mu skończyć, tylko wstaję od stolika i szybko się żegnam.

*Nie chcę słyszeć więcej o Konradzie.*

Punktualnie o umówionej porze rozlega się pukanie do drzwi. Wkładam trampki, biorę torebkę i wychodzę do Takashiego. Wiem, że jest wiele rodzajów stroju znanego nam jako kimono, które w zależności od okazji i materiału nosi różne nazwy, ale nie umiem ich zapamiętać. Dzisiejsze kimono Takashiego jest wykonane z grubej i wyglądającej na drogą niebieskiej tkaniny w złoty kwiatowy wzór. Mam ochotę jej dotknąć.

*Jak to możliwe, że facet ubrany w spódnico-spodnie i sukienkę w kwiaty wydaje mi się taki pociągający i męski?*

Milczenie między nami się przeciąga, choć nie jest specjalnie uporczywe. Dopiero w taksówce odzywamy się do siebie po raz pierwszy.

– Słowo honoru samuraja? Mówiłeś, że nie jesteś samurajem – zagaduję.

Takashi patrzy mi w oczy stanowczo.

– On nie musi o tym wiedzieć. Ty musisz wiedzieć, że nie żartowałem i będę cię bronił choćby za cenę własnego życia.

Akurat w tym momencie rozdzwania się moja komórka. Przewracam oczami na widok przychodzącego połączenia.

– Tomek, cześć. Filip już na mnie naskarżył? – odzywam się po polsku.

– Podobno na własne życzenie zrezygnowałaś z ochroniarza. – Tak jak się spodziewałam, jest zły.

– Nie jestem sama. Mam japońskiego ochroniarza i przewodnika. Wiesz, jak nie lubię, kiedy chodzi za mną *secret service*.

– Konrad się o ciebie martwi. Ja zresztą też.

– Jeżeli prezes się martwi, to powiedz mu, żeby odebrał ode mnie telefon albo odpisał na maila – prychem do słuchawki. – Ty też nie jesteś lepszy, dopiero teraz chcesz ze mną rozmawiać. Mam zamiar świetnie się bawić, więc nie przeszkadzaj. Pa. – Rozłączam się, zanim Tomek wtrąci coś, co jeszcze bardziej zepsuje mi nastrój.

*Obaj się o mnie martwią? Hipokryci.*

– Ido, chcesz wracać? – pyta Takashi, kiedy zaciskam wargi, patrząc przez okno samochodu.

– Dlaczego o to pytasz?

– Zdaje się, że nikt nie jest zadowolony, że jesteśmy sami. Ty też nie wyglądasz na zachwyconą, więc... – Rozkłada ręce w bezradnym geście.

– Chcę, żebyś mi pokazał Tokio. – Uśmiecham się do niego. – Cieszę się, że nie ma z nami Filipa. Nie dlatego, że go nie lubię, ale zawsze czuję się niezręcznie z ochroniarzem. To telefon z Polski trochę wyprowadził mnie z równowagi.

Takashi kiwa tylko głową. Kiedy wysiadamy z taksówki, orientuję się, że nawet nie zapytałam, dokąd jedziemy.

Spacerujemy po parku z nisko przyciętymi krzewami i małymi drewnianymi domkami, których spadziste dachy są na krawędziach

wywnięte na zewnątrz. Wszystko wokół krzyczy, że jestem w Japonii. Duże budynki, wzniesione w podobnym stylu, są pomalowane na czerwono, a Takashi wyjaśnia, że w większości to miejsca kultu. Mnie kojarzą się z domkami z bajek, takimi dla krasnoludków. W Japonii ludzie nie są religijni w naszym rozumieniu tego słowa. Religia wywodzi się tu bardziej z tradycji i kultury niż wiary, co stwarza możliwość współistnienia dwóch systemów wierzeń w postaci *shinto* i buddyzmu, które się przeplatają i uzupełniają, ale nie wykluczają.

– Mówi się, że przeciętny Japończyk rodzi się *shintoistą*, a umiera buddystą – tłumaczy mi Takashi. – Do religii *shinto* kieruje się zazwyczaj w radosnych momentach życia, takich jak narodziny dziecka czy ślub. Natomiast buddyzm pomaga przetrwać trudne momenty, na przykład śmierć. Zupełnie w niczym nie przeszkadza to Japończykom, żeby stroić choinkę na Boże Narodzenie – dodaje z uśmiechem.

Śmieję się z tej uwagi, bo jeśli przenieść to, o czym mówi, na grunt wiary i religii w Polsce, będzie to coś niesłychanego.

Buddyzmu nie trzeba mi wyjaśniać, ale dopytuję Takashiego, na czym polega religia *shinto*, bo czuję, że internet nie dał mi pełnego obrazu. Tłumaczy, że jest to wiara politeistyczna, w której oddaje się cześć tak zwanym *kami*, które z jednej strony są tradycyjnymi bóstwami, a z drugiej mogą przybierać różne postaci: od zwierząt i przedmiotów przez uosobienie sił natury po duchy przodków. Tak więc istnieje *kami* gór, *kami* ryżu, *kami* deszczu i tak dalej.

– Pamiętam, że *kami* oddaje się cześć w chramie, a buddyści modlą się w świątyni – chwalę się wiedzą, czym zasługuję na uśmiech aprobaty ze strony mojego przewodnika.

– Właśnie tak. Zaraz zobaczysz Senso-ji, najstarszą buddyjską świątynię w Tokio. Jest poświęcona bogini miłosierdzia.

Słucham z przyjemnością wszystkiego, o czym opowiada Takashi, bo jest to bardzo interesujące, ale wiem, że nie będę mogła



się w pełni cieszyć z tej wyprawy, jeżeli nie zrobię jednej rzeczy. Łapię go więc za rękaw i zatrzymuję w miejscu. Nie przemyślałam sobie do końca, co chcę powiedzieć, więc stoję tak, trzymając materiał kimona, i gapię się na własne nogi.

– Ido? – Takashi wymawia moje imię pytająco.

– Hikari – mówię i podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. – Nazywaj mnie Hikari.

Jakaś emocja przemyka przez jego twarz. Zbyt szybko, żebym zdołała ją zidentyfikować. Takashi zdejmuję moją dłoń ze swojego rękawa i splata nasze palce. Tak bez słowa, po prostu. Uśmiecham się pod nosem, bo ten gest mówi mi więcej niż słowa.

Przechodzimy przez wielką, czerwoną bramę, w której wisi ogromny lampion, i Takashi tłumaczy, że to jedna z dwóch bram świątynnych. Muszę zrobić zdjęcie, więc puszczam jego rękę i z żalem zauważam, że nie próbuje złapać mnie ponownie. Sama nie mam dosyć śmiałości, zwłaszcza że wchodzimy głębiej na teren świątyni i nie wiem, czy tak w ogóle wypada.

Oczywiście jak wszystko w tym kraju, także pobyt w świątyni rządzi się swoimi prawami i rytuałami. Istotnym elementem jest oczyszczenie ciała przed wejściem. W tym celu nabieramy za pomocą specjalnej chochli odrobinę wody wypływającej z fontanny w kształcie głowy smoka i obmywamy nią ręce. Następnie okadzamy się dymem z kadzidełek płonących na specjalnym palenisku. Teraz jesteśmy godni, żeby podejść do pięknej czerwonej pagody, która nad wejściem ma zawieszony znany mi już olbrzymi lampion. Zgaduję, że jest to główny budynek świątyni.

*Jak tak stary obiekt może być w tak idealnym stanie, że nie zezarły go jeszcze korniki?*

Podążam za przewodnikiem po schodach, na których szczycie stoi kilka modlących się osób. Takashi wkłada monetę do dużej skrzyni służącej, jak się domyślałam, do przyjmowania datków, następnie składa ze sobą obie dłonie i pochyla się w ukłonie. Słyszę,

jak wypowiada parę słów po japońsku, po czym znowu się kłania i odwraca w moją stronę.

– Chcesz się pomodlić? – pyta.

– Nie znam żadnej buddyjskiej modlitwy.

– Nie liczą się słowa, tylko intencje. – Takashi podaje mi małą monetę z dziurką w środku.

Wrzucam pieniążek do skrzynki, składam ręce, kłaniam się i mówię cicho po polsku:

– Nie wiem, czy powinnam. Mam jednak prośbę, która wymaga każdej pomocy, jaką mogę otrzymać. Nie chcę już oglądać kolejnej śmierci. – Myślę o pani Helence i Dorocie.

Kłaniam się ponownie i oddycham głęboko.

*Czuję się dziwnie, kierując takie słowa w eter, kiedy nawet nie wiem, kto słucha.*

Wokół nas zebrał się mały tłumek, więc robimy miejsce innym i wchodzimy głębiej. Ołtarz jest niedostępny dla zwiedzających, można go zobaczyć jedynie z daleka, ale i tak robi piorunujące wrażenie swoim przepychem. Całość jest wykonana ze złota, rozświetlona lampionami i otoczona przez liczne kwiaty, a przed ołtarzem klęczy mnich w tradycyjnym stroju pogrążony w modlitwie.

– Takashi? – Zdobywam się na odwagę, kiedy wychodzimy na zewnątrz. – Zrobimy sobie zdjęcie na tle świątyni?

Widziałam, jak inni robią zdjęcia, więc mam pewność, że nie jest to jakieś tabu. Spodziewam się, że Takashiemu ta propozycja może się nie spodobać, bo nie wygląda na fana fotografii. Mylę się jednak i już po chwili stoimy odwróceniem plecami do pagody, a w wyciągniętej ręce mam komórkę z włączonym aparatem do selfie. Takashi obejmuje mnie ramieniem, przyciąga do siebie i patrzy bez uśmiechu w obiektyw. Pstryk. Dla pewności robię jeszcze jedno zdjęcie, bo znając moje szczęście, będę miała zamknięte oczy albo idiotyczną minę.

*Co jest w sumie bez znaczenia, bo nie chciałam zrobić zdjęcia, żeby patrzeć na siebie...*

– Prześlij mi je później – mówi Takashi. – Teraz chodźmy zobaczyć chram Asakusa, jest niedaleko.

Rzeczywiście, chociaż umieszczanie blisko siebie miejsc kultu różnych religii wydaje się dziwne, chram jest zaraz obok świątyni. Na dodatek jest poświęcony *kami* w postaci trzech mężczyzn, którzy założyli Senso-ji.

*Nie potrafię zrozumieć tej logiki.*

Mijamy po drodze pagodę, taką ciągnącą się w górę prawie jak wieżowiec.

– To tylko pięć pięter – objaśnia Takashi.

– Chyba takich dla olbrzyma – odpowiadam. – Robi wrażenie.

– Powinna, bo każde z pięter to symbol jednego z pięciu żywiołów – ziemi, wody, ognia, wiatru i pustki.

Przechodzimy przez kolejną czerwoną bramę, tym razem bez lampionu, prowadzącą kiedyś do nieistniejącego już miejsca kultu, i zbliżamy się do celu.

Kamienna brama przed shintoistycznym chramem jest tak prosta w budowie, że wiele mówi o tej religii. Takashi kłania się przed bramą, idę więc w jego ślady. Wokół panuje pełna szacunku cisza, nie słychać żadnych rozmów. Kiedy idziemy dziedzińcem świątyni, zaczynam nagle chichotać. Takashi patrzy na mnie pytająco.

– W Europie to kobieta stuka obcasami, a kroków mężczyzny niemal nie słychać. Za to ty... – Nie umiem dokończyć, bo zaczynam się znowu śmiać.

Takashi łapie mnie za nadgarstek i szarpnięciem odwraca w swoją stronę. Drugą ręką podnosi mi brodę, zmuszając do spojrzenia sobie w oczy. Nagle brakuje mi powietrza, co ucina mój śmiech jak nożem.

– Uważasz, że jestem mało męski? – W jego oczach widzę coś niebezpiecznego.

– A jeżeli powiem, że tak? – Słowa same opuszczają moje usta, bez zastanowienia.

– To będę musiał tu i teraz udowodnić ci, że się mylisz, po czym kapłani nas stąd wyrzucą.

*To groźba czy obietnica?*

Moje ciało twierdzi, że to drugie, i zaczyna drżeć w oczekiwaniu. Z trudem wymawiam kolejne słowa:

– W takim razie będziesz musiał udowodnić mi to później, bo bardzo chcę zobaczyć, co jest dalej.

Takashi jeszcze chwilę patrzy mi w oczy, jakby się zastanawiał, co ma zrobić, po czym puszcza mnie i bez słowa rusza dalej, wydając jakby specjalnie głośniejsze dźwięki swoimi drewnianymi sandałami *geta*.

Na terenie przynależącym do chramu jest mniej ludzi niż przed Senso-ji. Niektóre osoby, tak jak Takashi, noszą tradycyjne stroje, co podkreśla wyjątkowość i klimat tego miejsca. Podoba mi się bardziej niż buddyjski przepych. Wszystko jest mniej wystawne, bez zbędnego rozmachu, ale ma swojego ducha, chciałoby się rzec – swoje *kami*. Dojścia do głównego budynku pilnują dwa wielkie kamienne lwy-psy siedzące na głazach.

– Strzegą chramu przed demonami – mówi Takashi, widząc, na co patrzę.

Zaraz za nimi pod zadaszeniem znajduje się kamienna wanna. Tutaj również należy wykonać rytuał oczyszczający przed modlitwą, choć ten jest skromniejszy, bo obejmuje jedynie obmycie się wodą. Powtarzam więc ruchy, które już znam. Kiedy podchodzimy do barieryki odgradzającej ołtarz, Takashi ciągnie za długie szarfy przywiązane do dużego dzwoneczka, wrzuca monetę do skrzynki, kłania się dwa razy, klaszcze również dwa razy, składa ręce do modlitwy, mówi parę słów i kłania się ponownie.

*Niby podobne, ale jednak bardziej skomplikowane niż modlitwa w świątyni.*

Nie czekam na zachętę. Powtarzam jego ruchy i prawie dokładnie te same słowa, które wypowiedziałam w świątyni.

Chwilę obserwuję ołtarz, po czym Takashi prowadzi mnie w bok, gdzie jest mały kramik.

– Co tu sprzedają? – Zerkam ciekawsko zza pleców osób ustawionych przed nami w kolejce.

– Zobaczysz za chwilę – odpowiada tajemniczo.

Kiedy nadchodzi nasza kolej, kupuje małą książeczkę w drobne różowe wzorki i biały woreczek z wyhaftowanym napisem. Wręcza mi je z tajemniczą miną, nadal jednak nic nie wyjaśnia. Ustawiamy się w kolejnej kolejce. Tym razem widzę, że mnisi coś starannie kaligrafują w książeczkach podobnych do moich.

– Co oni piszą? – wychylam się i przyglądam z ciekawością.

– *Goshiun*, co oznacza czerwoną pieczęć. To takie potwierdzenie z wizyty tutaj. Każde miejsce, świątynia czy chram, ma swój wzór i pieczęcie, a do ich zbierania służy ta książeczka, którą ci dałem.

– A to? – pytam, wskazując tajemniczy woreczek.

– To *omamori*, amulet. Ten konkretnie miłosny.

Widzę, jak drgają mu kąciki ust. Prycham.

– Ciekawe, że wybrałeś akurat taki. Dlaczego nie amulet zapewniający bogactwo, zdrowie albo ochronę przed złymi duchami?

– Może wyjątkowo zależy mi na tym, żebyś odniosła sukces w miłości – mówi z tym swoim półuśmiechem.

Wyciągam komórkę i przyczepiam amulet do etui. Wsparcie w miłości przyda mi się w każdej ilości.

– Potrzebuję jeszcze takie dwa – zaskakuję Takashiego, który zaczyna się śmiać prawie na głos.

– Większa liczba nie zapewni lepszej skuteczności.

– Potrzebuję ich na prezenty – tłumaczę, powstrzymując się od pokazania mu języka.

Nadchodzi nasza kolej. Mnich bierze moją książeczkę i macza pędzel w tuszu. Zafascynowana patrzę, jak precyzyjnie kreśli znaki, a następnie przybija trzy czerwone pieczęcie.

– *Dōmo arigatō gozaimasu* – dziękuję i pokazuję Takashiemu z dumą swoją pamiątkę.

Nie żartowałam z zakupem kolejnych amuletów – będzie to idealny prezent dla Agi i Sylwii. Musimy więc wrócić po nie do kolejki.

W drodze powrotnej wstępujemy jeszcze do budynku koło świątyni buddyjskiej, którą zwiedzaliśmy poprzednio, po pieczęć *goshiun*. Teraz mam zapełnione dwie strony. Cieszę się jak dziecko. Oznajmiam Takashiemu, że potrzebuję jeszcze innych pamiątek i prezentów z podróży, więc pokazuje mi ulicę prowadzącą do świątyni, która jest całkowicie nastawiona na handel i turystów.

*Ile tu różnych rzeczy!*

Biegam od stoiska do stoiska i nie potrafię się napatrzeć, a tym bardziej zdecydować. Przystaję pod budką z jedzeniem.

– *Takoyaki* – mówi Takashi. – Smażona ośmiornica. Chcesz spróbować?

Dostaję na jednorazowej miseczce kilka kulek polanych sosem i posypanych czymś, czego nie umiem zidentyfikować, a do tego wykałaczkę mającą służyć za widelec. Nie jadłam jeszcze nigdy ośmiornicy i muszę przyznać, że smak mnie zaskakuje, ale z każdą kolejną znikającą kulką jestem coraz bardziej zachwycona. Do tego stopnia, że kiedy kończę, orientuję się, że nawet nie zaproponowałam Takashiemu, żeby spróbował.

*Nieładnie, Ida. Pewnie wyrosnie ci przez to obżarstwo druga broda.*

Uliczkę opuszczam, niosąc zakupy w obu rękach. Nauczona przez Tomka, że ochroniarz nie służy za tragarza, nawet nie sugeruję Takashiemu, żeby mi pomógł. Widzę jednak, jak przygląda mi się z rozbawieniem. Kiedy łapiemy taksówkę, stwierdzam, że czuję

w nogach odległość, którą przeszliśmy. Takashi mówi, że zaplanował jeszcze jedną atrakcję, a później pójdziemy na kolację.



Napis na budynku stanowiącym cel naszej podróży głosi „Digital Art Museum”.

*Bardziej od muzeum sztuki cyfrowej spodziewałabym się muzeum sztuk walki.*

Nic jednak nie mówię, kiedy zostawiamy torby z zakupami w depozycie, zresztą nic by mnie nie przygotowało na to, co widzę w środku.

Wchodzimy do ciemnego korytarza, który z racji czarnych ścian i sufitu wygląda, jakby został pomalowany przez szalonego malarza z depresją. W pierwszej chwili myślę, że wszędzie widać plamy różnokolorowej farby, jakby ktoś chlusnął nią z wiader, tworząc fantazyjne wzory, ale kiedy podchodzimy bliżej, przekonuję się, że są to kwiaty. Różowe, czerwone i żółte, o różnej budowie i rozmiarze – wszystkie żyją. Opadają, rozkwitają i są w ciągłym delikatnym ruchu, a to nie za sprawą farby, tylko projekcji i światła. Stoję z otwartymi ustami, a Takashi śmieje się ze mnie pod nosem.

– Chodź, jeszcze nic nie zobaczyłaś.

Ma rację, bo kiedy wchodzimy do dużego pomieszczenia, opadam na kolana i tak już zostaję. Ze ściany przed nami spływa wodospad, który następnie omywa wielki głaz wystający z podłogi i płynie dalej rzeką po łące ścielącej się nam pod stopami. Kiedy siadam, woda zmienia bieg i opływa mnie, jakbym sama była kamieniem. Po dłuższej chwili kwiaty zaczynają się zmieniać i teraz siedzę wśród żółtych słoneczników.

*Magia... Czary...*

Dalej są zwierzęta rodzące się z rozkwitających pączków kwiatów, a gdy za długo dotykam uszu zajaca, ten rozpada się i rozwiewa z wiatrem. Są ławice złotych rybek albo gwiazd ciągnących za sobą ogony jak komety. Jest zawieszona nad podłogą galeria z siatki, a kiedy się na nią wejdzie i położy, ma się wrażenie zawieszenia w przestrzeni, które jest potęgowane przez latające dookoła chmary motyli. Jest las, wyglądający jak talerze na patykach, po którym przemieszczamy się jak po tajemniczej dżungli pełnej światłocieni. Las przechodzi w zieloną łąkę, szumiącą i zmieniającą odcień jakby pod wpływem obłoków płynących po niebie. W przechadzce towarzyszą nam roje świetlików. Są kwiaty, których płatki przewyższają dorosłego mężczyznę i opadają po dotknięciu. Wszystko to w towarzystwie dobranej muzyki i efektów dźwiękowych. Nie wiem, na jakiej zasadzie jest tworzona ta wystawa, i nie chcę wiedzieć, żeby nie zepsuć sobie wrażeń. Dla mnie jest to kraina czarów i niech taką pozostanie.

Kiedy wchodzimy do sali lustrzanej, gdzie liczba lamp zwieszających się na różnych wysokościach z sufitu jest spotęgowana przez odbicia w zwierciadłach, wydaję z siebie okrzyk zachwyty. Na początku wszystkie lampy świeciły na zielono, ale gdy wchodzimy dalej, światła wokół mnie zapalają się na niebiesko, a wokół Takashiego na różowo.

– Hikari. – Takashi podchodzi i patrzy mi intensywnie w oczy.

Samuraj w takim otoczeniu robi surrealistyczne wrażenie.

– Dziękuję, że mnie tutaj zabrałeś – mówię z uśmiechem i naprawdę jestem mu wdzięczna, bo to najpiękniejsze, co widziałam w życiu.

Dookoła nas niebieskie lampy mieszają się z różowymi, kiedy Takashi chwyta moją twarz w obie dłonie i całuje w usta. Zaskakuje mnie bezpośredniością, ale wszystko tutaj wydaje się jak ze snu, więc pozwalam się porwać pragnieniu i oddaję pocałunek,



przyciągając mężczyznę do siebie. Zarost Takashiego drapie mnie i łaskocze, ale nie jest to nieprzyjemne uczucie.

*O tak, nie zgłaszam żadnych zastrzeżeń co do jego męskości...*

Mam wrażenie, że podłoga tańczy pod naszymi stopami, ale to po prostu mnie kręci się w głowie. Takashi wplata palce w moje włosy, a jego język zaczyna taniec z moim. Każde dotknięcie, muśnięcie i liźnięcie powoduje falę dreszczy rozchodzącą się wzdłuż kręgosłupa. Kiedy odsuwamy się od siebie, mówię ochrypłym, nieswoim głosem:

– Nie powinieneś teraz powiedzieć, że jestem piękna jak te światła?

Świat zawęża się do jego oczu, w których szukam potwierdzenia, że jesteśmy razem w tej magicznej chwili. Takashi uśmiecha się kącikiem ust i kręci głową, zakładając mi za ucho pasmo włosów.

– Byłoby to kłamstwo. Moja Hikari jest o wiele piękniejsza.

Rumieniec rozświetla mi policzki, bo sposób, w jaki to mówi, sprawia, że nie mam wątpliwości, że jest szczery. Do tego patrzy na mnie z takim pragnieniem, że czuję jego spojrzenie w każdej komórce swojego ciała.

– Wiesz, że to tylko sen? Kiedy stąd wyjdziemy, czar pryśnie, a my będziemy znowu...

Nie daje mi dokończyć, tylko łapie mnie w pasie i przyciąga do siebie, po czym knebluje kolejnym pocałunkiem.

– Chwilo, trwaj – mówi prosto w moje usta.

Przygryza moją wargę, a ja zarzucam mu ręce na szyję i lgnę do niego całym ciałem, zatracona w krainie czarów. Nagle słyszemy obok głośne chrząknięcie, a po nim *sumimasen*, wypowiedziane niby przeprasającym tonem, ale jednak z naciskiem.

Jestem cała czerwona od wstydu i śmiechu, kiedy opuszczamy muzeum, odprowadzani karcącymi spojrzeniami obsługi.

– Zostaliśmy wyrzuceni – mówię między atakami śmiechu – za nieprzystojne zachowanie – zginam się wpół, trzymając za brzuch –

w miejscu publicznym! – Ocieram łzy. – Nikt mi nie uwierzy, że coś takiego mi się przydarzyło.

Takashi stoi niewzruszony niczym skała, ręce schował w rękawach kimona i wygląda jak wzór samurajskich cnót, czym rozśmiesza mnie tak, że ze śmiechem siadam na chodniku.

Na wspomnienie zakłopotanej miny kobiety, która zwracała nam uwagę, że nasze zachowanie nie jest mile widziane, zwłaszcza przy dzieciach, i spojrzenia, jakie rzucił mi Takashi, nadal wstrząsa mną chichot. Mój towarzysz nie odzywa się słowem ani w drodze do taksówki, podczas samej jazdy, ani teraz, kiedy siedzimy w restauracji i obserwujemy, jak kucharze przygotowują sushi. Popija sake, patrząc przed siebie, i nie wiem, czy gniewa się na mnie za ciągły śmiech, czy jest upokorzony tym, że nas wyprosili. Staralam się nie zwracać na to uwagi, ale ignorowanie nie jest moją mocną stroną, więc ciągnę Takashiego za rękaw.

– Jesteś na mnie zły? – pytam.

– Zły nie. Jestem wkurzony. – Widzę, jak grają mu mięśnie szczęki. – Na to, że nam w ten sposób przerwano, ale przede wszystkim na siebie, za brak powściągliwości. – Odstawia czarę na sake z głośnym stukiem i w końcu patrzy na mnie. – Przepraszam, jeżeli sprawiłem, że poczułaś się niekomfortowo.

Teraz ja milczę, ponieważ nie wiem, jak rozumieć jego słowa.

*Zdecydowanie nie poczułam się niekomfortowo. Sprawił, że czułam wiele rzeczy, ale brak komfortu nie był jedną z nich.*

Nalewamy sobie nawzajem kolejną czarę sake i wypijamy. Tym razem cisza jest niezręczna i kiedy ja jestem pogrążona w myślach, to Takashi ją przerywa.

– Mamy takie przysłowie: „Przy pierwszym toaście człowiek pije sake, przy drugim – sake pije sake, przy trzecim – sake pije człowieka”. Teraz mam ochotę dać się wypić do dna.

W takim tempie picia rzeczywiście za chwilę nic z niego nie zostanie, podsuwam mu więc sushi jako zagryzkę, ale ignoruje mój

gest.

– Musisz przyjechać do Polski na naszą wódkę, to może być ciekawe przeżycie – rzucam niezobowiązująco.

– Zapamiętaj, że powiedziałaś te słowa. – Takashi patrzy na mnie intensywnie znad kolejnej czarki, aż jego wzrok zatrzymuje się na moich ustach. Drapie się w potylicę, jakby w geście zakłopotania. – Nawet nie wiesz, od jak dawna miałem ochotę cię pocałować. Może nawet od momentu, kiedy widziałem cię po raz pierwszy, jeszcze w restauracji hotelowej. – Ma rozmarzony wyraz twarzy i nie umiem odgadnąć, kto teraz przemawia, Takashi czy sake. – Mogłem wybrać każde inne miejsce, zabrać cię gdzieś, gdzie bylibyśmy tylko we dwoje. Jednak nie potrafiłem się powstrzymać, byłem zbyt niecierpliwy. A może bałem się, że nie będę miał okazji. – Kładzie mi rękę na policzku w czułym geście. – Wiem, że to sen, ale taki, z którego nie chcę się wybudzić.

Wszystkie słowa, które cisną mi się na usta, nie są tymi właściwymi.

*Jak mam mu powiedzieć, że od jego wczorajszego wyznania czekałam, aż mnie pocałuje? Jak przyznać się na głos, że mam teraz ochotę pocałować jego?*

Milczę więc, delektując się dotykiem ręki na policzku, i liczę, że wyczyta z moich oczu wszystko, co chciałabym wyrazić. Takashi wprawia mnie w drżenie, kiedy przejeżdża kciukiem po moich ustach, a także wywołuje niedosyt, bo zabiera dłoń i więcej mnie nie dotyka.

– Nigdy mnie nie zapytałaś. – Nagła zmiana tematu wytrąca mnie z równowagi, ale powoduje też pewnego rodzaju ulgę.

– O co miałam zapytać?

– Jakie są szanse na powodzenie waszych rozmów z Matsumoto-sama. Nie próbowałaś wyciągnąć ze mnie żadnych informacji.

Drapię się w nos.

*Rzeczywiście, takie pytanie nie przyszło mi do głowy.*

– Co byś odpowiedział, gdybym zapytała? – Skoro przechodzimy na neutralny temat, to mogę coś zjeść.

Biorę więc między pałeczki kawałek sushi i wkładam do ust. Jest tak pyszny, że od razu sięgam po kolejny.

– Żebyś kupiła bilety na samolot, bo jutro usłyszycie ostateczną decyzję. Dostałem wiadomość, że została podjęta. Jednak będziesz musiała poczekać, żeby dowiedzieć się, czy wyprawa do Japonii była tego warta.

– Myślę, że nawet jeżeli współpraca okaże się niemożliwa, mimo wszystko warto było tutaj przyjechać. – Patrzą mu w oczy i uśmiecham się leciutko, bo po jego spojrzeniu widzę, że czuje to samo. Przełykam kolejny kęs i dodaję, teraz już z uśmiechem od ucha do ucha: – Warto, żeby zobaczyć muzeum ze światłami, zjeść ramen i napić się sake!

Takashi parska i kręci głową. Podnosi w moim kierunku czarę w geście toastu.

– Hikari, Hikari... żadna nie jest taka jak ty – mówi, po czym wypija ostatnie rozlanie i patrzy smętnie w pustą karafkę, ale na szczęście nie zamawia kolejnej. Zamiast tego wreszcie zjada kawałek sushi i kontynuuje: – Jest więcej rzeczy, które chciałbym ci pokazać, nawet poza Tokio. Ale najbardziej chciałbym zabrać cię na *hanami*, święto kwitnącej wiśni.

– Czy mogłabym wtedy założyć kimono i udawać, że jestem gejszą? – Splatam palce pod brodą i trzepoczę rzęsami.

Takashi robi dziwną minę.

– Z naciskiem na słowo „udawać”. Jest jeszcze coś, co chciałabyś zobaczyć albo zrobić w Japonii?

Zastanawiam się chwilę, bo z pewnością jest wiele miejsc, które są warte zobaczenia, ale akurat żadne konkretne nie przychodzi mi do głowy. Jestem jednak ciekawa jednej rzeczy.

– Chciałabym zobaczyć, jak walczysz mieczem. Wiem, że nie zostanę mistrzem sztuk walki, ale mógłbyś mnie nauczyć paru

elementów samoobrony w swoim *dōjō*.

Takashi jest całkowicie zaskoczony moją odpowiedzią. Jakby nie dowierzał, że zamiast podziwiać, jak wybucha Fudzi, wolę obejrzeć samuraja w akcji.

– Dobrze, chodźmy poszukać jakiegoś ciemnego zaułka z podejrzanymi typami. Zostaniesz damą w tarapatach, a ja, jako twój wybawca, będę miał okazję zaprezentować przy tym wprowadzenie walkę kataną, bo tej nie mam przy sobie, ale inne moje talenty.

Wybucham śmiechem, bo rzeczywiście podnosi się z miejsca, jakby chciał od razu zrealizować swój plan.

– Czekaj, czekaj! Daj mi najpierw coś zjeść, bo z pustym żołądkiem nie będę miała siły, żeby głośno wołać o pomoc.

Śmiech sprawia, że to dziwne napięcie, które się między nami wytworzyło, pryska. Zjadamy parę rolek sushi, popijamy grzecznie wodą i nadchodzi pora, żeby zbierać się w drogę do hotelu.

Przed wyjściem chcę jeszcze skorzystać z toalety, podczas gdy Takashi płaci rachunek. Wychodzę z łazienki, nadal pod wrażeniem wysokiego poziomu czystości w Japonii, kiedy zaraz przede mną otwierają się drzwi do bocznego, prywatnego pokoju i hałaśliwie wychodzi z niego kilkunastu mężczyzn. Wszyscy są ubrani jednakowo, w czarne spodnie i koszule, a niektórzy noszą biżuterię i tatuaże w widocznych miejscach.

*Nie wyglądają na zastęp tutejszych harcerzy.*

Zatrzymuję się, by puścić ich przodem, ale zamiast ruszyć do wyjścia, zauważają mnie. Mężczyzna na przedzie jest dobrze zbudowany, a szpakowate włosy sugerują, że jest z tej grupy najstarszy, więc kiedy się do mnie odzywa, zakładam, że jest swego rodzaju przywódcą.

– *I don't understand* – odpowiadam, chociaż najchętniej udałabym, że nic nie słyszę, po czym sobie poszła.

Problematyczne jest to, że cała ta zgraja tarasuje korytarz, a do tego gapi się teraz na mnie, więc nie ma szans, że wciągnę brzuch

i się przemknę. Mężczyźni śmieją się, mówią coś między sobą, wskazując mnie palcami, a ich mowa ciała jest uniwersalna i nie wymaga tłumaczenia.

*Mimowolnie zostałam damą w opałach. Gdzie podział się mój samurajski ochroniarz?*

Znajomy głos odzywa się gdzieś zza tłumu. Takashi mówi coś ostrym tonem, a mężczyźni przede mną rozstępują się, żeby go przepuścić, przy czym każdy przynajmniej pochyla przed nim głowę. Samuraj przechodzi między nimi wolnym krokiem, ręce ma schowane w rękawach i patrzy na mnie złym wzrokiem. Nie chodzi o to, że jest wściekły, bo wyraz jego twarzy to kamienna maska. Po prostu cała jego postawa i aura zmieniły się nie do poznania, a spojrzenie łaknie krwi. Takashi staje tak, że zasłania mnie przed mężczyznami, i mówi coś do ich przywódcy. Głos ma spokojny, ale zdecydowany, a jego brzmienie jest jeszcze bardziej ochryple niż zazwyczaj. Nie rozumiem ani słowa, chociaż wiem, że mówią o mnie, bo mężczyzna kiwa w moją stronę głową i uśmiecha się obleśnie.

– Póki jest pod moją ochroną, nikt jej nie tknie. – Takashi przechodzi na angielski, żebyśmy mogła śledzić ich wymianę zdań.

Szpakowaty mężczyzna pociera podbródek wierzchem dłoni, jakby coś kalkulował.

– Ile ci płacą? Dam za nią więcej – mówi, a z tłumu za jego plecami rozlegają się okrzyki aprobaty. – Spodobała się moim chłopakom.

Takashi odwraca się i mierzy mnie spojrzeniem, jakby się nad czymś zastanawiał. Przełykam ślinę i oblewa mnie zimny pot, bo patrzy na mnie tak beznamiętnie, jakbym była towarem, a mój los go w ogóle nie interesował.

– Dałem słowo – odzywa się w końcu, na co wypuszczam wstrzymywane w płucach powietrze, a lider bandziorów parska lekceważąco.

Atmosfera się zagęszcza, bo Takashi podchodzi do mężczyzny, tak że prawie się stykają, na co reszta zgrai także się zbliża, gotowa do obrony szefa. Robię krok w bok, żeby lepiej widzieć zza pleców Takashiego, ale oni tylko stoją naprzeciwko siebie i mierzą się bez słowa spojrzeniami. Samotny samuraj naprzeciw grupy kilkunastu mężczyzn. Wydaje się, że mają miażdżącą przewagę, ale Takashi nie wygląda, jakby się bał. Jego postawa robi na nich wrażenie, bo mężczyzna śmieje się nerwowo, poprawia mu poły kimona i zwołuje swoich do odwrotu. Wzdycham z widoczną ulgą. Takashi patrzy za nimi, dopóki nie znikają nam z oczu, po czym obraca się do mnie, a w jego spojrzeniu znowu widzę blask, nie stal.

– Nic ci nie zrobili?

– Nie – mówię i uśmiecham się skrycie, kiedy lustruje mnie z góry na dół, jakby szukał potwierdzenia, że nic mi nie jest. – Gdybym krzyknęła, pokazałbyś mi, jak walczysz? – pytam, bo chcę obrócić sytuację w żart.

Jednak Takashi nie wygląda ani trochę na rozbawionego, wbija we mnie wzrok i przez chwilę widzę w nim tę samą chęć mordy co przed chwilą.

– Gdybyś musiała krzyczeć, zmusiłbym ich do tego samego – mówi, a mnie miękną nogi.

– Kto to był? – wzdrygam się, bo chociaż tylko patrzyli, to i tak czuję się jak niedoszła ofiara *bukkake*.

Takashi otwiera usta do odpowiedzi, ale w końcu kręci tylko głową i nic nie mówi.

W taksówce oczy kleją mi się ze zmęczenia, a kiedy głowa zaczyna się bezwładnie kiwać, opieram ją na ramieniu Takashiego i przysypiam. Budzi mnie łaskotanie. To Takashi wodzi palcem po mojej twarzy, przejeżdża po nosie, brwiach, obrysowuje usta. Mruczę cichutko.

– Jeszcze pięć minetek...

– Śpij – odpowiada i łapie mnie pod brodę.

Zmienia pozycję, zabierając mi spod głowy ramię. Chcę zaprotestować, ale mój jęk niezadowolenia zostaje stłamszony przez jego usta i przechodzi płynnie w jęk zachwytu. Automatycznie odpowiadam, jakbym tylko na to czekała, a przez moje ciało przelewa się fala podniecenia.

– Pozwól mi po raz ostatni znaleźć się w twoim śnie – szepcze z ustami przy moich.

Nie otwieram oczu, tylko łapię go za poły kimona i przyciągam bliżej. Ten pocałunek jest inny od poprzedniego. Bardziej czuły i delikatny, przez co powoduje gęsią skórę na całym moim ciele. Chcę więcej, chcę czuć drapanie jego zarostu, piżmowy zapach i twarde od odcisków dłonie na policzkach. Z cichym jękiem wrywa mi się jego imię, na co Takashi przestaje mnie całować, a zamiast tego opiera czoło o moje. Nasze oddechy się mieszają i słyszę, jak bardzo oba są przyśpieszone. Otwieram oczy i przez chwilę nie dociera do mnie rzeczywistość; zapomniałam, że jesteśmy w taksówce.

– Kolejny raz zachowujemy się nieprzyzwoicie w miejscu publicznym. Zaczynam to lubić.

Takashi nabiera głęboko powietrza, zamyka na chwilę oczy, po czym opróżnia płuca w powolnym wydechu. Nie takiej reakcji się spodziewałam, jestem więc zawiedziona, kiedy całuje mnie przelotnie w czoło, płaci kierowcy i wysiada z samochodu po to, żeby otworzyć mi drzwi. Wysiadam machinalnie, bo mój mózg jest zaspany.

*Albo zauroczony.*

Kiedy dochodzimy do mojego pokoju, Takashi wali pięścią w drzwi Filipa, który od razu wyskakuje na korytarz w samych spodniach od dresu.

– Co się stało?!

Mój samuraj nie zwraca na niego uwagi, bo patrzy mi w oczy, i mam wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko życzy



mi dobrej nocy, kłania się i odchodzi. Zostaję na korytarzu z półnagim Filipem, ale nawet nie poświęcam wiele uwagi jego umięśnionej kłacie, bo w tej chwili to nie jego chciałabym zobaczyć nago.



Z samego rana przy śniadaniu dzielę się z Łukaszem informacją, jaką dostałam od Takashiego, że decyzja w naszej sprawie została podjęta. Jesteśmy oboje podekscytowani i obstawiamy, jakie są szanse, że werdykt będzie dla nas korzystny.

– Hej, chociaż udało nam się nikogo śmiertelnie nie obrazić i nie trafiliśmy pod samurajski miecz – żartuję.

Łukasz opowiada, jak to po raz kolejny buszował po japońskich centrach handlowych, bo nadal nie znalazł idealnego prezentu dla żony. Po czasie dodaje, że ma ich już kilka, ale żaden nie wydaje się tym właściwym. Nie potrafię utrzymać powagi i zaczynam się śmiać z tego, jak bardzo jest przejęty swoją zakupową misją. Łukasz naburmusza się, a ja nie poprawiam sytuacji, bo pokazuję amulet miłosny przyczepiony do komórki.

– Myślę, że to dobry pomysł na prezent dla twojej żony. Co sądzisz?

Chyba nie jest zachwycony. Muszę salwować się ucieczką, nieomal nurkując pod stół, kiedy w całkiem niekulturalny sposób rzuca we mnie ryżem.

Jego telefon dzwoni, gdy jesteśmy przy końcu posiłku. Po poważnej i skupionej minie poznaję, że zapewne to nasi gospodarze, i się nie mylę.

– Obiad, dzisiaj – przekazuje mi tylko i wiem, o co chodzi.

Gdy po śniadaniu idę do pokoju, znajduję pod drzwiami reklamówki z pamiątkami, które kupiłam wczoraj. Zupełnie zapomniałam, że zostawiliśmy je w depozycie w muzeum.

Nie potrafię skupić się na niczym, a do umówionej pory pozostaje jeszcze kilka godzin. Najchętniej zadzwoniłabym do Takashiego, ale w końcu wybieram numer Filipa i pytam, czy możemy iść na basen. Hotelowe spa składa się tak naprawdę z kompleksu kilku basenów. Liczyłam na to, że mój ochroniarz, jeżeli nawet nie wejdzie do wody, to chociaż przebierze się w coś bardziej odpowiedniego. Tymczasem on stoi nad niecką basenu w garniturze, a ja czuję się obserwowana jak rybka w akwarium. Przepływam kilka długości i nie mogę dłużej ignorować potu, który pojawił się na czole mojej niańki. Wychodzę więc z wody i już w szlafroku zauważam frapujące małe pomieszczenie, całe wyłożone drewnem.

– Sauna! Filip, wejdę na chwilę!

Lubię korzystać z sauny, a teraz warunki mam idealne, bo nie ma tu nikogo poza nami. Ignoruję tabliczkę informującą, żeby nie wchodzić w kostiumie.

*Przecież nie będę się rozbierała przy Filipie!*

Szlafrok zostawiam przed wejściem i kładę się na ręczniku rozłożonym na najniższej ławce. Filip ustawia się przy drzwiach i na szczęście jest tyłem do mnie.

– Szkoda, że nie wszedłeś do środka w tym swoim garniturze – mamroczę złośliwie do siebie, bez cienia szacunku dla człowieka pracującego w ekstremalnych warunkach.

Zamykam oczy i skupiam się na tym przyjemnym uczuciu, gdy każdy mięsień ciała rozluźnia się pod wpływem gorąca. Moje myśli zaczynają błądzić, podczas gdy wyobraźnia podsuwa żywe obrazy. Czuję, jak każda kropelka potu spływająca po moim ciele zamienia się w palec Takashiego, który powoli zsuwa się po policzku, szyi, obojczyku, drażniąc je i łaskocząc. Mój oddech przyśpiesza, a w dole brzucha rodzi się pragnienie. Obrazy, które widzę pod zamkniętymi

powiekami, są na tyle realistyczne, że do wrażeń dotykowych dołącza zapach Takashiego i odgłos trącego o siebie materiału jego kimona. Czuję, jak kciukiem odchyła moją dolną wargę i całuje mnie w kącik ust. Mruczę.

*Chwila!*

Zrywam się jak oparzona i tylko dobremu refleksowi Takashiego zawdzięczam, że nie zderzamy się głowami.

– Nie powinnaś leżeć tutaj taka bezbronna. I kusząca. Zdaje się, że myślałaś o czymś przyjemnym... – Takashi patrzy, jakby znakomicie wiedział, o czym, a raczej o kim, myślałam.

– A Filip? – Wychyłam się, żeby zobaczyć, dlaczego mój ochroniarz go tutaj wpuścił.

– Odbyliśmy kolejną przyjacielską pogawędkę. Zaproponowałam mu, że może mnie powstrzymać, jeżeli uważa, że potrafi. Spróbował. – Takashi wzrusza ramionami, a na widok mojej miny dodaje: – Nic mu nie jest, najbardziej ucierpiała jego duma.

Kręcę z niedowierzaniem głową. Takashi jak zawsze na terenie hotelu nie rozstaje się ze swoją bronią, mam nadzieję, że nie obciął Filipowi ręki przy tej „przycieliskiej” pogawędce. Martwienie się o ochroniarza schodzi na drugi plan, kiedy Takashi zupełnie jak w moich marzeniach śledzi palcem kroplę spływającą od mojego obojczyka do rowka między piersiami.

Patrzę na niego z fascynacją, w pełni świadoma, że mam na sobie jedynie kostium kąpielowy. Takashi wciąga ze świstem powietrze i nie potrafi oderwać spojrzenia od moich stwardniałych sutków rysujących się pod cienkim materiałem, falujących w rytm przyśpieszonego oddechu.

– Chodźmy stąd, tu jest zbyt gorąco. – Nie wiem, czy dwuznaczność jest zamierzona, ale głos ma bardziej ochryply niż zazwyczaj.

Narzucam na siebie pośpiesznie szlafrok i chcę uciec do szatni, ale Takashi mnie powstrzymuje.

– Po saunie musisz się schłodzić pod prysznicem. – Wskazuje mi dysze pod ścianą.

Kiedy puszczam wodę i stoję pod strumieniem, czuję wzrok Takashiego ślizgający się po całym moim ciele. Nie jest to jednak nieprzyjemne uczucie, a raczej subtelna pieśczoła, która podsyca mój apetyt. Odwracam się tyłem do prysznica, odchylam głowę i odgarniam włosy na plecy, pozwalając, żeby się całe zmoczyły. Woda jest chłodna, za to usta Takashiego gorące.

*Nie powinnam przy nim zamykać oczu, jeśli nie chcę być całowana z zaskoczenia.*

Niepokojące jest to, że całowanie się z Takashim weszło mi już w krew, jest naturalne. Zero zdziwienia czy speszenia, jakby tak po prostu miało być.

*Jakbym chciała, żeby tak po prostu było.*

– Takashi... – mrużę jego imię.

Zarzucam mu ręce na szyję, a woda spływa po naszych ciałach, mocząc go całkowicie. Ręce Takashiego błądzą po moich plecach, całkiem nagich poza sznureczkiem od biustonosza. Na myśl, że mógłby go rozwiązać, przechodzi mnie dreszcz oczekiwania. Nie chcę być jako jedyna półnaga, próbuję więc poluznić jego kimono i dostać się do skóry. Ze zdziwieniem odkrywam jednak, że pod spodem ma coś twardego, co bardzo nie pasuje do tego obrazka. Parskam śmiechem z ustami nadal przy jego ustach.

– Kamizelka kuloodporna? – Zaczynam chichotać na całego.

– Myślałaś, że jestem taki łatwy i dam się rozebrać na pierwszej randce? – Takashi zakręca wodę i unosi brew, patrząc przy tym na mnie z rozbawieniem, nie wypuszcza mnie jednak z ramion.

Jest przemoczony z góry na dół. Kropelki formujące się na końcówkach jego grzywki spadają i spływają mu po twarzy. W oczach ma pożądanie, które odzwierciedla to płonące wewnątrz mnie. Całość sprawia, że wygląda zabójczo.

Przyciąga mnie, ale zamiast pocałować, po prostu przytula. Jest ode mnie wyższy akurat tyle, żebym mogła wtulić się w zagłębienie jego szyi.

– Wybacz, znowu nie potrafiłem się kontrolować – mówi cicho.

Stoimy tak jeszcze przez chwilę, aż w końcu odsuwa mnie od siebie, podnosi miecze z ziemi i zmierza w kierunku wyjścia.

– Idź się przebrać, bo się przeziębisz – rzuca na pożegnanie.

Kiedy wychodzę z przebieralni, czeka na mnie Filip. Ma pęknięty łuk brwiowy i trochę kuleje na jedną nogę.

– Filip! Wszystko w porządku? Powinien zobaczyć cię lekarz!

– Nic mi nie będzie. Ten twój cholerny samuraj jest naprawdę szybki – mówi i chociaż krzywi się przy tym z bólu, wyczuwam też nutkę szacunku. *Faceci*. – Wrzuciłaś go do basenu? Mam nadzieję, że tak, wychodził cały mokry.

– Coś w tym stylu – mówię wymijająco. – Niedługo spotkanie. Muszę się przebrać.

*Cóż, dzięki Takashiemu zapomniałam, że mam się denerwować.*

Zostaliśmy zaproszeni na obiad, więc forma jest bardzo podobna do naszego pierwszego spotkania z prezesem Matsumoto przy śniadaniu. Znowu jemy, klęcząc, i jest to chyba jedyne, czego nie będzie mi brakować po opuszczeniu Japonii. Staram się nie myśleć o rzeczach, za którymi będę tęsknić.

*Takashi...*

Sądziłam, że będzie obecny jako cień za plecami prezesa Matsumoto, ale nie ma go na posterunku. Po wymianie zwyczajowych grzeczności rozpoczynamy jedzenie. Ledwo skubię przystawki, bo nie umiem pozbyć się z głowy widoku mokrego samuraja i mimo że woda powinna wszystko zmyć, czuję na sobie jego zapach.

W końcu nadchodzi wyczekiwany przez nas moment, w którym prezes Matsumoto uroczyście oświadcza, że po konsultacjach ze współpracownikami uznali naszą ofertę za godną i chcą podjąć

współpracę z Cardecki Investment. Kamień spada mi z serca. Łukasz gnie się w ukłonach i dziękuje wylewnie. Ja również wstaję i dziękuje po japońsku, bo wiem, że to sprawia im przyjemność. Prezes Matsumoto stawia tylko jeden warunek. Oboje z Łukaszem mamy być częścią zespołu, który będzie pilotował naszą współpracę. Oczywiście zgadzamy się bez dyskusji i ponownie dziękujemy. Spotkanie finalizuje nieskończenie wiele ukłonów, podziękowań i wzajemnych życzeń pomyślności.

Kiedy zostajemy sami, wykonuję mały taniec radości, a Łukasz w tym czasie wyciąga komórkę i dzwoni. Na rozlegający się z telefonu głos Konrada aż podskakuję ze zdziwienia. Nie słyszałam go przez kilka miesięcy, a teraz uderza mnie, jak bardzo za nim tęskniłam. Łukasz przekazuje informację o naszym sukcesie.

– Byłem pewien, że taki duet jak wy musi dać radę. Opijemy to w Warszawie. Kiedy macie lot?

– Jutro wieczorem, będziemy w Polsce pojutrze rano.

– OK, dajcie znać, jak wylądujecie, to wyślę po was samochód. A co do tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej...

– Jesteś na głośnomówiącym! Jest ze mną Ida – szybko wtrąca Łukasz i rzuca mi speszzone spojrzenie.

– Porozmawiamy później. – Konrad po prostu się rozłącza.

A mnie zatyka.

*Jakby samo wspomnienie mojego imienia działało na Konrada odpychająco* – na tę myśl w oczach pojawiają mi się łzy.

– Łukasz, ja chyba nie będę w stanie dotrzymać obietnicy danej prezesowi Matsumoto. Muszę zmienić coś w swoim życiu, a zacznę od znalezienia nowej pracy.

Łukasz patrzy na mnie ze współczuciem.

– Ido, to nie tak... Konrad, on wiele przeszedł i może się wydawać, że jest wobec ciebie zimny, ale ma swoje powody. Nie skreślaj go bez rozmowy z nim. Jeżeli nie dla niego, to zrób to dla mnie, proszę.

– Gdyby tylko chciał ze mną porozmawiać, już dawno bym to zrobiła. Nie powinnam się mazać tylko dlatego, że szef mnie nie lubi. – Macham rękami przed oczami, próbując osuszyć łzy. – Zwłaszcza że dzisiaj jest dzień naszego sukcesu! – Kręcę piruet dla podkreślenia, jak radosna jestem, i macham Łukaszowi na pożegnanie, chociaż chce mi jeszcze coś powiedzieć.

Pewnie powinniśmy iść razem świętować, ale od kiedy usłyszałam głos Konrada, nie mam ochoty pić z Łukaszem z obawy, że się rozkleję. Do tego myśl, że opuścimy Japonię, cały czas spychałam gdzieś na tył głowy, gdzie nie mogła wyrządzić wielu szkód. Teraz kiedy wylot jest jutro, a my nie mamy w Tokio już żadnych biznesowych celów, jedyne, co mi pozostało, to myślenie o Takashim.

*Jak dać się zauroczyć w trzy dni – poradnik dla zdesperowanych dziewczyc. Byłby to bestseller na skalę światową, dzięki czemu nie musiałabym już pracować dla Konrada Mogłabym przełożyć lot chociaż o kilka dni...*

Takie myśli towarzyszą mi w drodze do pokoju. Na korytarzu pod moimi drzwiami stoi Takashi. Ręce ma włożone w rękawy gładkiego, szarego kimona, a jedną nogę zgiętą w kolanie opiera o ścianę. Koło niego leży jakieś pudełko. Wygląda na zamyślonego, ale kiedy podnosi głowę, obdarza mnie swoim charakterystycznym półuśmiechem. W moim sercu trzepocze stado motyli.



Czekam na Hikari pod drzwiami jej pokoju. Jestem niespokojny i mam ochotę obić komuś mordę. Wiem, co powoduje mój niepokój.

*Ona. A dokładnie jej brak. Już jutro.*

– Pewnie w czasie spotkania nie zdołałaś wiele przełknąć, zabieram cię więc na kolację. Co chcesz zjeść? – pytam od razu.

Ochroniarz obrzuca mnie złym spojrzeniem, ale nie komentuje, tylko wchodzi do swojego pokoju.

*Grzeczny piesek.*

Hikari przekrzywia głowę i stuka w zamyśleniu palcem wskazującym po dolnej wardze. Automatycznie skupiam się na jej ustach, a moje ciało reaguje w jedyny możliwy sposób. Dwa kroki, tylko tyle dzieli mnie przed zatopieniem się w jej cudownie miękkich ustach. Dwa kroki i niewidoczna ściana zbudowana z mojej samokontroli, której tym razem nie mogę sforsować.

– Ramen. – Klaszcze w dłonie.

– Stać mnie, żeby zabrać cię na coś lepszego – mówię z rozbawieniem.

– Ramen! W tym samym miejscu co ostatnio. Daj mi kwadrans na przebranie się.

Drzwi, które za sobą zamknęła, otwierają się ponownie prawie od razu i pojawia się w nich jej głowa.

– Ale jakiś inny alkohol, bo sake mi się znudziła – mówi i znika w pokoju, a ja stoję na korytarzu, kręcąc z rozbawieniem głową.

Moje rozbawienie znika, gdy siedzimy naprzeciwko siebie w barze, w którym rozmawialiśmy po raz pierwszy. Rzeczywistość i fakt, że nasze drogi niedługo się rozejdą, walą mnie w łeb. Fenomen Hikari pozostaje dla mnie zagadką. Jasne, miło się na nią patrzy, chociaż, a może właśnie dlatego, że jest inna niż Japonki. Dzisiaj założyła bluzkę, która opada jej z jednego ramienia, i odkrywam z fascynacją, że nos nie jest jedynym miejscem, gdzie ma piegi. Nie zwróciłem na to uwagi wcześniej w saunie, zbyt zajęty odkrywaniem jej dotykiem. Oczywiście, jest inteligenta i rozmowa z nią stanowi przyjemność. Jej poczucie humoru trafia do mnie, a śmiech, który łatwo u niej wywołać, rozjaśnia świat jak malutkie słońeczko. Jest też charakterna i odważna. Uśmiecham się pod



nosem na wspomnienie, jak ostatnim razem, kiedy tutaj byliśmy, chciała stanąć z pałeczkami w ręce w obronie właścicieli, za nic mając, że ma przeciwko sobie trzech mężczyzn zawodowo zbierających haracz.

*Jest to tylko tyle czy może aż tyle powodów, żebym zwariował na jej punkcie. Jak nigdy wcześniej dla żadnej kobiety.*

*Obawiam się, że również jak nigdy więcej.*

– Myślałam, że będziesz na spotkaniu. Nie pogratulowałeś nam jeszcze sukcesu. – Z szerokim uśmiechem klaszcze w dłonie. – Brawo my!

– Dlatego stawiam kolację. Gratuluję – mówię, chociaż w ogóle mnie to nie cieszy.

*Wolałbym, żeby spotkania się nie zakończyły, żebyś musiała zostać jeszcze kilka dni albo tygodni.*

*Na zawsze.*

Dostajemy ramen i przez chwilę patrzę, jak Hikari prezentuje mi swoje ulepszone umiejętności posługiwania się pałeczkami. Kiwam z uznaniem głową i zjadam zupę w ciszy.

– Dlaczego jesteś taki milczący? – pyta, kiedy polewa mi odrobinę nalewki śliwkowej.

*Umeshu* w ogóle nie pasuje do ramenu, łączenie ich jest tak naprawdę zbrodnią, ale to wybór Hikari, więc pijemy.

– Słowa niewypowiedziane są kwiatami ciszy – odpowiadam wymijająco.

Nie chcę, żeby wiedziała, jak trudno mi się z nią rozstać. Mógłbym paść na kolana i błagać, żeby tylko móc ją jeszcze zobaczyć. Pocałować. Poczuć zapach jej perfum i próbować scałować piegi z ramion.

*Powinienem powiedzieć jej to wszystko i spędzić z nią całą noc na rozmowach i pieszczotach, żeby niczego nie żałować, kiedy wyjedzie.*

– Nie lubię pożegnań – mówię zamiast tego – więc jutro się nie zobaczymy. Mam jednak coś dla ciebie.

Wręczam jej podłużne pudełko. Hikari otwiera wieczko i rozwija *kakemono*, tradycyjny, wykonany z jedwabiu zwój, którego większą część zajmuje wykaligrafowany napis, a całości dopełnia oprawa z ręcznie malowanymi kwiatami wiśni. Nie musi pytać, sam wyjaśniam.

– *Hana wa sakuragi, hito wa bushi.* „Wśród kwiatów wiśnia, wśród ludzi wojownik”. Chciałbym, żebyś czasem o mnie pomyślała, czytając te słowa.

Patrzę na nią badawczo, ciekaw reakcji. Kiedy oczy zaczynają jej lśnić od powstrzymywanych łez, zachowuję się jak największy tchórz. W kilku oklepanych słowach życzę jej bezpiecznej podróży, kłaniam się i wychodzę, poganiany przez pieczenie pod powiekami.

*Gratuluje. To największa porażka, jakiej doświadczyłem w życiu.*

Nawet przegrane w walce i połamane kości nie bolały tak bardzo. Zamiast spędzić z nią ten wieczór i pożegnać ją pocałunkiem, po prostu uciekłem. Sam nie wiem przed czym. Jej łzami, swoją słabością czy innymi emocjami, których nie potrafię nazwać. Jeżeli wątpiła choć trochę w moje zapewnienia, że nie mam honoru, to właśnie dałem jej niepodważalny dowód, że miałem rację.

Jednak obawy o bezpieczeństwo Hikari nie pozwalają mi zostawić jej samej. Przystaję więc kawałek dalej i dzwonię do hotelu, żeby powiadomili jej ochroniarza. Czekam do momentu jego przyścia i chcę po prostu odejść, ale nie potrafię się na to zdobyć. Muszę zobaczyć ją jeszcze raz, więc mimo swojego postanowienia wracam i zaglądam przez okno. Hikari siedzi, tak jak ją zostawiłem, ze wzrokiem wbitym w *kakemono*, a po jej policzkach lecą ciurkiem łzy. Ochroniarz stoi nad nią z bezradnością wymalowaną na twarzy. W końcu przyklęka i obejmuje ją niezgrabnie. Zaciskam szczękę i pięści. Jestem zły na siebie za brak odwagi, żeby stawić Hikari czoła, i zły na los, który połączył nas jedynie na chwilę. Chciałbym ją przytulić i posmakować jej łzy, ale zamiast tego idę do najbliższego baru szukać zapomnienia.

*Najczulsze pożegnanie nie zmieni tego, że ona musi wrócić do swojego kraju. Może w ten sposób szybciej o mnie zapomni, w końcu dobre lekarstwo jest gorzkie dla ust – próbuję zagłuszyć burzę, która we mnie panuje. Wypieram przy tym myśl, że jestem hipokrytą, bo przecież przed chwilą powiedziałem Hikari, że ma o mnie pamiętać.*

Nawet kiedy w butelce widać już dno, nie potrafię wyrzucić z pamięci brzmienia jej głosu, smaku ust ani widoku jej samej siedzącej na chodniku i śmiejącej się do rozpuku.

*Przepadłem.*



*Co jest ze mną nie tak, że faceci, którzy wykazują mną zainteresowanie, po jakimś czasie bez słowa wypychają mnie ze swojego życia?*

Najpierw Konrad flirtuje ze mną i całuje w sposób, który usuwa mi świat spod nóg, a następnie w najtrudniejszym dla siebie momencie zamyka mi drzwi przed nosem ze słowami: „Pani już dziękujemy”. Teraz Takashi, po kilku intensywnych dniach razem, tak po prostu mówi „żegnaj” i nawet nie odwraca się za siebie.

*Co jest ze mną nie tak, że płaczę po każdym facecie, który mnie pocałuje?*

*Co jest ze mną nie tak?*

Chociaż Takashi wyszedł dłuższą chwilę temu, ja nadal siedzę w barze i w głowie bez końca powtarzam to pytanie. Wiem, jaka żałosna muszę się wydawać, cała zalana łzami. Patrzę na zwój, który dostałam od Takashiego, ale tak naprawdę zalewająca mi oczy wilgoć sprawia, że go nie widzę. Kiedy staje przede mną Filip, ledwo rejestruję jego obecność, nadal użalając się nad sobą. Nie potrafię pogodzić się z faktem, że już więcej nie zobaczę Takashiego, ani z tym, że jemu tak łatwo przyszło pożegnanie się ze mną. Filip klęka

obok, wyjmuję mi zwój z rąk, kładzie go na stole, po czym przytula mnie nieporadnie, jakby nie wiedział, jak się do tego zabrać.

– Nie wiem, co się stało, ale już dobrze, jesteś bezpieczna – mówi cichym głosem.

Pociągam nosem, bo chociaż trochę udało mu się mnie wyrwać z rozpacz.

– Dziękuję, już mi lepiej – mówię, a on mnie puszcza.

Chyba mu ulżyło, że moja histeria się skończyła.

Podchodzi do nas młody mężczyzna, chyba syn właścicieli lokalu, bo dzisiaj pomagał w obsłudze gości, i przynosi mi szklanekę wody oraz paczkę chusteczek.

– *Arigatō* – mówię, kiwając mu głową, bo chusteczki to teraz coś, czego mi najbardziej potrzeba.

Mężczyzna przestępuje z nogi na nogę, jakby chciał coś powiedzieć, w końcu decyduje się i odzywa szkolnym angielskim:

– Jeżeli pani płacze przez tego mężczyznę, to dobrze, że poszedł. Bo on nie jest dobry – mówi z przejęciem.

– Co to znaczy? – pyta Filip.

– Mówią, że on pracuje z yakuzą, że kiedy trzeba kogoś przestraszyć, to wtedy jemu się płaci. Jest znany. Nikomu nie wybacza, a problemy rozwiązuje bronią. To nie jest dobry człowiek – powtarza.

Patrzę na niego z niedowierzaniem, bo jakoś ten opis nie pasuje mi do Takashiego, jakiego znam.

*Chociaż sam mnie ostrzegął, że nie jest dobrym człowiekiem...*

– Kiedy byłam z nim tutaj pierwszy raz, powstrzymał zbirów, którzy chcieli wam ukraść pieniądze.

– Tak, rodzice mi mówili, że nie dał pobrać haraczu. Zrobił to dlatego, że chciał zjeść w spokoju. Nie z naszego powodu.

– Wrócili po haracz?

– Nie.

Kiwam głową w zamyśleniu, ale tak przedstawiony obraz Takashiego zdaje się współgrać z wyobrażeniami Filipa na jego temat.

– Mówiłem od razu, że coś z nim jest nie tak. Zrobił ci krzywdę?

– Nie, po prostu jestem głupią babą – mówię po polsku. – Wracajmy do hotelu.

W nocy nie śpię, tylko nadal zastanawiam się, co jest ze mną nie tak. Roztrząsam każdą chwilę spędzoną z Takashim w poszukiwaniu swoich wad, które następnie rozkładam na czynniki pierwsze i podnoszę do potęgi. Kiedy nad ranem przysypiam, we śnie odwiedza mnie ociekający wodą Takashi, wyznający mi uczucie na szczycie Tokio Skytree.

Cały następny dzień wychodzę z pokoju tylko na posiłki, ale nie jestem dobrym towarzyszem. Łukasz musiał słyszeć całą historię od Filipa, bo o nic nie pyta. Takashiego oczywiście nigdzie nie widać. Korci mnie, żeby wypytać o niego obsługę hotelu, ale nie chcę wychodzić na desperatkę, chociaż w rzeczywistości nią jestem. Ściskam w ręce amulet miłosny i modłę się do wszystkich *kami*, jakie przychodzą mi do głowy, żebym mogła kiedyś pokochać ze wzajemnością.

Kiedy wychodzimy z hotelu i wsiadamy do taksówki, znowu chce mi się płakać. Mam jeszcze jakąś naiwną nadzieję, że będzie jak w filmach: na lotnisku Takashi odnajdzie mnie wśród tysięcy podróżnych i będzie błagał, żebym została, albo chociaż pocałuje po raz ostatni. Rozczarowanie boli.

W podróży nic nie jest w stanie mnie rozśmieszyć. Nawet widok Łukasza tak obciążonego bagażem, że musiał kupić dodatkową wielką walizkę, żeby pomieścić prezenty dla żony i bliźniaczek. Zapominam nawet o strachu przed lataniem.

Patrzę beznamiętnie przez okno na znikającą w dole wyspę i przekonuję sama siebie, że przecież to był sen. Wszystko, co zdarzyło się w Japonii, nie jest niczym więcej jak tylko majakami.

Halucynacją spowodowaną przez potrzebę bliskości z drugim człowiekiem, która stała się realna jedynie za sprawą mojej wyobraźni. Jak fabuła sennego marzenia tocząca się pod zamkniętymi powiekami. Iluzja. Imaginacja. Miraż. Zwid. Tym samym wydają się moje wszystkie wspomnienia z Konradem. Fantasmagoria. Grą świateł rzucającą fascynujące półcienie, które z łatwością przyjmują kształt moich marzeń i pragnień. Ułudą, niczym więcej.

Nakazuję sobie skupienie się na rzeczywistości, co również nie jest przyjemne. Nie mam ochoty jechać do domu, gdzie będą na mnie czekały pustka i rozczarowanie. Tych uczuć mam w nadmiarze. Obiecuję sobie, że kiedy nadrobię *jet lag*, to zrobię wszystko, żeby w końcu spotkać się z Konradem twarzą w twarz i nawrzucać mu, co o nim myślę. Choćby po to, żeby mógł mnie z czystym sumieniem wyrzucić z pracy. Jeżeli przy tym przekonam się, że z nim wszystko w porządku, to będę chociaż trochę szczęśliwa.

Na lotnisku czeka na nas Tomek z kierowcą, który ma zabrać Łukasza do domu. Nie było nas raptem tydzień, a ja mam wrażenie, że widok za oknem jest obcy, a ludzie dziwni, tak jakbym spędziła w Japonii co najmniej kilka miesięcy i wsiąknęła w tamtejszą kulturę.

Mimo to na widok Tomka tak się cieszę, że rzucam mu się na szyję. Tomek chyba też się stęsknił, bo podrywa mnie z ziemi i kręci się ze mną dookoła. Na początku w samochodzie nie zamyka mi się buzia, tak bardzo chcę mu wszystko opowiedzieć, ale im bliżej celu jesteśmy, tym bardziej się denerwuję.

– Zawieź mnie do Agi – proszę, bo muszę z nią porozmawiać o wszystkim, co się wydarzyło, a poza tym chcę uniknąć mieszkania, które kojarzy mi się z Konradem.

– Zawiozę cię wieczorem. Teraz musisz się zdrzemnąć, bo padniesz z wycieńczenia.

Nie kłóczę się, bo w sumie ma rację. Kiedy wysiadamy z samochodu, zbieram się na odwagę i pytam, czy Konrad jest w domu.

– Tak. – Takiej odpowiedzi się nie spodziewałam.

---

<sup>1</sup> Motto na sztandarze Takedy Shingen (ur. 1 grudnia 1521, zm. 13 maja 1573) [przyp. aut.].

## ROZDZIAŁ 8



Denerwuję się. Od świtu jestem zdenerwowany, jakbym miał przejść najważniejszy egzamin w swoim życiu. Próbę generalną odbyłem już kilka razy, aż w końcu Tomek kazał mi przestać, żebym się nie zmęczył przed właściwym występem.

– Gdy w końcu Ida cię zobaczy, to zamiast wstać, odwiniesz orła i tyle będzie z twoich popisów – kpi ze mnie.

Wygniam go swoim marudzeniem dużo przed czasem, żeby jechał odebrać Idę z lotniska. Ze zdenerwowania zaczynam się pocić i trzęsą mi się ręce.

*Tomek ma rację, jest duża szansa, że zrobię z siebie błazna.*

Łykam tabletkę przeciwbólową, bo mimo że rana postrzałowa wygoiła się do niewielkiej blizny, ból ciągnie się niemiłosiernie wzdłuż nogi. Masuję ją, próbując rozluźnić mięśnie. Prawa chce współpracować, robi duże postępy, natomiast lewa jest w dalszym ciągu jak z betonu.

*Sq!*



W końcu otwierają się drzwi i wchodzi Ida, a za nią Tomek z bagażami. Nie widzieliśmy się prawie trzy miesiące. Ostatnie wspomnienie, jakie mi towarzyszyło przez cały ten czas, to Ida tuląca się do mnie i jej usta oddające pocałunek. Moje serce wali jak młotem, kiedy nasze oczy w końcu się spotykają. Nic się nie zmieniło, nadal robi na mnie piorunujące wrażenie. Nie czekam, aż coś powie, mobilizuję wszystkie siły, bo czas na występ mojego życia. Opieram ręce na podłokietnikach wózka i się podnoszę. Stoję. To była ta prosta część. Wyciągam ze specjalnego uchwytu przy wózku laskę i podpierając się nią, robię jeden krok, następny i kolejny.

*Poproszę fanfary, bo oto zaprezentowałem kilka miesięcy ciężkiej pracy w pocie czoła!*

– Ida... – zaczynam, ale nie daje mi skończyć, bo rzuca się w moje ramiona.

Ledwo udaje mi się ustać na nogach, kiedy obejmuje mnie w pasie, ukrywa twarz w mojej piersi i zaczyna szlochać. Opieram się całym ciężarem na lasce i mam nadzieję, że nogi nie zawiodą mnie w takim momencie. Głaszczę Idę po włosach, całuję ją w czubek głowy, wdycham jej zapach i w tym krótkim momencie czuję się spełniony.

– Tak się bałam – mówi niewyraźnie, dalej wtulona we mnie – że jak wrócę, to ciebie tutaj nie będzie.

*Nie trzeba mi nic więcej.*

– Nigdy cię już nie zostawię, obiecuję – odpowiadam, głaszcząc ją po włosach.

Ida podnosi wzrok i patrzy mi w twarz, po czym kiwa głową i odsuwa się ode mnie. Od upadku ratuje mnie Tomek i jego refleks, bo podsuwa wózek, na który mogę opaść z godnością.

Jest już wieczór, a Ida w dalszym ciągu śpi, więc cichutko otwieram drzwi i wjeżdżam do jej pokoju. Chcę ją obudzić na kolację, żeby mogła zasnąć w nocy i przestawić się na naszą strefę czasową.

Ida leży na boku, jej włosy są rozrzucone po poduszce, a jedną nogę ma zgiętą w kolanie i obejmuje nią kołdrę. Ten obrazek budzi we mnie uśpione pokłady czułości. Na kołdrze leży Pankracy i cichutko miauczy na mój widok.

*Nie ty jeden się stęskniłeś, sierściuchu. Zazdroszczę ci, że możesz tu leżeć.*

Ida wygląda na zadowoloną, taką spokojną, że żal mi ją budzić. Nie potrafię się powstrzymać, wyciągam rękę i przejeżdżam leciutko po jej policzku, na co reaguje rozmarzonym uśmiechem.

– Takashi... – mruczy leniwie.

*Kurwa!*

Gdybym mógł, zerwałbym się na równe nogi i wybiegł z jej pokoju, trzaskając drzwiami. Jednak po pierwsze znam swoje fizyczne ograniczenia i jedyne, na co mogę sobie pozwolić, to przyśpieszenie wózka, po drugie Ida nie zasłużyła na trzaskanie drzwiami. Ja sam sobie na to zapracowałem.

*Masz za swoje, durniu! Odepchnąłeś ją, kiedy chciała być blisko, więc co się dziwisz, że znalazła kogoś innego? Nie masz prawa być zazdrosny!*

Wiem o tym Takashim wystarczająco wiele, żeby zrozumieć, co może się w nim podobać i dlaczego ją zafascynował. Wiem też, że ich rozstanie zakończyło się łzami Idy, a to wystarczy, żebym go nienawidził.

*Sam nie jesteś lepszy. Przez ciebie również płakała.*

Cichutko zamykam drzwi z postanowieniem, że dam jej jeszcze trochę pospać i obudzę, gdy kolacja będzie gotowa.

Ida wstaje sama, akurat kiedy Tomek też wychodzi z pokoju. Stoję przy kuchence i smażę kolację dla naszej trójki.

– Myślałam, że to Lucyna, pachnie jej naleśnikami – zagaduje Ida, siadając przy kuchennej wyspie.

– Ciasto zrobiła Lucyna, specjalnie na twój powrót, ja tylko dopełniam formalności – mówię i stawiam przed nią górkę

parujących naleśników.

Ida podnosi każdy po kolei i zagląda pod spód.

– Sprawdzasz, czy nie ma trucizny? – podpuszcza ją Tomek, przysiadając się do nas.

– Nie, szukam ukrytego ryżu – wyjaśnia. – Nie wierzyłam, kiedy o tym czytałam, ale wiecie, że oni tam w Japonii do każdego posiłku pakują ryż? Naleśnikom by też pewnie nie popuścili. – Otrząsa się jakby z obrzydzeniem i pakuje pół naleśnika do ust.

Kuchnia rozbrzmiewa naszym śmiechem.

– Alkohol podobno też robią z ryżu – dorzuca Tomek. – Przywiozłaś jakiś?

– Tak! Mam dla was prezenty. Poczekajcie. – Ida zrywa się z krzesła i biegnie do pokoju.

Po chwili wraca z dwoma papierowymi workami, które pomiędzy nas rozdziela.

Tomek w swoim ma butelkę alkoholu. Poza kształtem i etykietą wygląda jak nasza czysta.

– To *awamori*. Pochodzi z Okinawy i jest robione właśnie z ryżu, jakiejś tam konkretnej odmiany.

– Jeżeli myślicie, że się z wami podzielę, to się grubo mylicie. – Tomek przytula butelkę jak największy skarb.

Otwieram mój worek, a w środku znajduję figurkę siedzącego kota, którego prawa łapa jest ruchoma i do mnie macha. Ida patrzy wyczekująco na moją reakcję. Kot jest czarny, więc od razu budzi skojarzenie.

– Pankracy?

– Tak! – Trafiłem, bo Ida klaszcze radośnie w dłonie. – To *maneki-neko*, ma przynosić szczęście i machaniem łapki odganiać złe duchy.

Odwzajemniam jej uśmiech, bo jestem wzruszony, że w ogóle o mnie pomyślała. Bardziej spodziewałbym się, że naśle na mnie armię złych duchów, niż że będzie chciała mnie przed nimi obronić.

– Muszę zadzwonić do Agi, miałam się z nią dzisiaj spotkać, ale jest już w sumie późno i chyba wolę spać.

– Ta twoja koleżanka jest bardzo męcząca. Dzwoniła do mnie kilka razy z pytaniami o ciebie – żali się Tomek, który rzeczywiście był bombardowany telefonami od Agi.

– Przepraszam – mówi Ida ze skruchą. – Dałam jej twój numer telefonu na wypadek, gdyby coś się stało. Nie miała do ciebie wydzwaniać.

– Nie mogłaś po prostu odbierać komórki?

– Kiedy mogłam, to odbierałam. Nie zawsze mogłam albo nie słyszałam... – Spuszcza wzrok, zawstydzona.

*Wydaje mi się, czy jej policzki się trochę zaróżowiły?*

– Każę jej skasować twój numer, żeby cię już więcej nie męczyła – dodaje.

– Zostaw – burczy Tomek. – Może jej się kiedyś przydać w awaryjnej sytuacji.

Wymieniamy z Idą porozumiewawcze spojrzenia i równocześnie parskamy śmiechem, na co Tomek ładuje sobie naleśniki na talerz i idzie do swojego pokoju, nadal przytulając butelkę. Parskamy ponownie.

– Kucharzu! Więcej naleśników, bo Tomek zabrał prawie wszystkie, a ja jestem głodna! – żąda Ida, uderzając sztućcami w blat.



Siedzę przy małym stoliku w ciasnej kuchni pani Helenki. Staruszka stoi do mnie tyłem i pichci coś na kuchence. Zauważam takie szczegóły jak cerata w kratę i wyszczerbienie na brzegu szklanki z herbatą, którą trzymam w ręce. W powietrzu unosi się przecudny

zapach smażonych racuchów, a ja nie mogę się doczekać, kiedy pani Helenka nałoży mi je na talerz. Naprzeciwko mnie siedzi Dorota, ubrana w swój mundurek sekretarki. Pytam ją, co tutaj robi i skąd zna panią Helenkę.

– Oj, Ida, nie szukaj dziury w całym – odpowiada, po czym bierze widelec i wkłada go sobie w otwór po kuli zlokalizowany w miejscu, gdzie powinno być serce.

Krzyczę w przerażeniu!

Dorota kręci widelcem na wszystkie strony, nie zważając na tryskającą krew. Podrywam się z miejsca.

– Dziecko, dziecko. Nie musisz tak krzyczeć, racuchy gotowe! – Pani Helenka odwraca się do nas z całym talerzem racuchów.

Ma na sobie czerwony fartuch w białe kropeczki i jest rozpromieniona w uśmiechu, jakim potrafią obdarzyć tylko babcie, całkowicie nieświadoma, że przez jej zmiażdżoną czaszkę widać różową tkankę mózgu, a zamiast jednego oka ma pusty oczodół. Próbuję uciekać. Biegnę, jak najszybciej potrafię, ale nie ruszam się z miejsca. Wzorzysty dywan działa jak taśmociąg i tylko przebieram nogami w miejscu.

Krzyk!

Otwieram oczy i rozglądam się zdezorientowana. W półmroku rozlega się głos Konrada:

– Ida, wszystko w porządku? Krzyczałaś... – Zauważam, że siedzi na wózku koło mojego łóżka.

– Tak, ja... – Przecieram spocone czoło, serce dalej wali mi jak oszalałe. – Przepraszam, że cię obudziłam.

– Nie obudziłaś, pracowałem. – Konrad bierze mnie za rękę. – Na pewno wszystko w porządku? Mogę poczekać, aż zaśniesz.

W pierwszej chwili chcę odrzucić jego propozycję, bo nie będzie przecież siedział nade mną i patrzył, jak śpię, ale przypomina mi się potworny widok uśmiechającej się pani Helenki.

– Mógłbyś?

Kiedy przytakuje, odsuwam się na drugą stronę łóżka i podnoszę kołdrę zapraszającym gestem. Chyba się tego nie spodziewał, ale wstaje z wózka, robi chwiejny krok i siada koło mnie. Patrę z bólem, jak musi pomóc sobie rękami, żeby położyć nogi na łóżku. Kiedy opada na poduszkę, przybliżam się i kładę głowę na jego klatce piersiowej. Wzdycham z zadowoleniem.

– Dobranoc – mamroczę i momentalnie zasypiam.

Budzę się, bo jest mi tak strasznie gorąco. Od razu lokalizuję źródło ciepła, jakim jest Pankracy wyciągnięty wzdłuż mojego kręgosłupa, Konrad śpiący z drugiej strony też działa jak grzejnik.

*Nic dziwnego, że jest mi za ciepło.*

A jednak przyjemne uczucie porannego rozleniwienia przebija tę małą niedogodność i zamykam ponownie oczy.

*Stop! Co Konrad robi w moim łóżku?!*

Nic wczoraj nie piliśmy, nie mam więc wytłumaczenia dla luki w pamięci. Kiedy próbuję się delikatnie podnieść, żeby ewakuować się z łóżka bez budzenia Konrada, ten przytrzymuje mnie w miejscu i mówi zaspanym głosem:

– Jeszcze troszeczkę...

Jestem onieśmielona tym, że leżymy tak blisko siebie. Słyszę mocne bicie serca, a moja głowa unosi się w rytm oddechu wraz z jego klatką piersiową. Nie wiem, co mam zrobić z ręką, którą miałam do tej pory opartą o jego pierś. Konrad zauważa moje wahanie, więc łapie ją w swoją dłoń i przytrzymuje w miejscu.

– Jeszcze troszeczkę. Nie umiałem zasnąć po tym, jak mnie wciągnęłaś do swojego łóżka. Twoja obecność za bardzo mnie rozpraszała, więc jesteś mi winna jeszcze parę minut.

Nie znajduję na to odpowiedzi, więc leżymy tak w ciszy. Kiedy opada ze mnie pierwsze zdenerwowanie, zamykam oczy i rozluźniam się, a po chwili stwierdzam, że jest to bardzo przyjemne uczucie.

*Trochę jak przy powrocie do dawno niewidzianego domu... Czuję się bezpiecznie.*

– Tęskniłem za tobą. – Słowa Konrada są cichsze niż bicie jego serca, więc ledwo je wyłapuję.

*Przepraszam, ale nie odpowiem tym samym, chociaż byłaby to prawda. Moje serce jest w rozsypce, za dużo się wydarzyło. Muszę je w pierwszej kolejności posklejać, żeby wiedzieć w ogóle, na czym stoję.*

– Jesteś mi winien wyjaśnienie – mówię zamiast tego. Czuję, jak kiwa głową. – Jutro, dzisiaj chcę się zobaczyć z Agą.

– Dobrze.

– Ida, Konrad! Śniadanie! – Na dźwięk wołania Tomka oboje podskakujemy.

– Kto wychodzi pierwszy, ty czy ja? – pytam ze śmiechem, bo czuję się, jakby Tomek przyłapał nas na czymś niestosownym.

– Idź pierwsza. Ty go zagadasz, a ja wytoczę się z godnością. Może nie zauważy.

Oczywiście nie z Tomkiem takie numery. Chociaż miesza w jajecznicy, to od razu orientuje się, że coś jest nie tak.

– Źle się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miała gorączkę. Chodź tutaj.

Dotyka mojego czoła, a potem policzków.

– Chyba nie. Kot się do mnie przykleił w nocy i nastawił ogrzewanie na piątkę.

Czas na zmianę tematu, bo jednak Konrad w moim łóżku nie jest czymś, o czym chcę dyskutować jak o pogodzie.

– Umówiłam się z Agnieszką, mam nadzieję, że nie potrzebuję do tego ochrony. Chyba że chcesz jechać ze mną? – pytam, bo atak to najlepsza obrona.

Tomek zaczyna szybciej mieszać na patelni.

– Nie wiem, czy Konrad nie będzie mnie potrzebował, ale przydzielę ci kogoś innego. Sama nie możesz jechać.

Przewracam oczami, choć właśnie tego się spodziewałam.

– Dobrze, tatusiu, tylko proszę, oszczędź Filipa. Dostyc się już przeze mnie nacierpiał w Japonii.

– Słyszałem, że dał sobie skopać tyłek. Jest teraz na chorobowym. Coś z kolanem po dźwigni, jaką mu założył ten „twój” samuraj. – Tomek wykonuje palcami gest sugerujący cudzysłów. – To jego słowa, nie moje.

Przed oczami staje mi mój, bez cudzysłowu, samuraj całujący mnie pod prysznicem. Uśmiecham się smutno do Tomka.

– Masz jakieś nieaktualne dane. Co wydarzyło się w Japonii, zostaje w Japonii.

Tomek może chciałby ciągnąć temat, ale akurat ten moment wybiera Konrad na otwarcie drzwi. Upewnia się, że Tomek jest odwrócony tyłem, i powoli wyjeżdża na wózku z mojego pokoju.

– Chodź, kotku, jajecznicą gotowa – mówi Tomek bez odwracania się.

Parskam śmiechem na widok miny Konrada, bo wygląda jak przyłapany z ręką w kurniku.

– Skąd wiedziałeś?

– Byłem cię wcześniej budzić, żebyś mi pomógł ze śniadaniem, ale łóżko było puste, a w nocy słyszałem, jak Ida znowu krzyczy przez sen. – Tomek wzrusza ramionami. – Nie trzeba być Sherlockiem, żeby odgadnąć, kto był kotem grzejącym ją w nocy.

– Znowu? Znaczy, częściej masz koszmary? – Konrad skupia na mnie pełną uwagę, a temat schodzi na grząski grunt.

– Nie tak często, ale parę razy się zdarzyło – odpowiadam wymijająco.

– Parę razy w tygodniu, odkąd wyjechałeś na rehabilitację – precyzuje Tomek, za co dostaje ode mnie kuksańca w bok. – Skoro już jesteś, kotku, to możesz przejąć obowiązek uspokajania Idy, bo ja się z chęcią wyśpię – dorzuca bez litości.

Częstuję go kolejnym szturchnięciem.

– A ja ci flaszkę przywiozłam! Niewdzięczny ty!



Mówią, że śmiech jest lekiem na całe zło, i naprawdę coś w tym jest, kiedy tak przyjacielsko docinamy sobie przy jajecznicy. Chociaż mam wrażenie, że póki nie wyjaśnimy sobie wszystkich problemów, to nawet śmiech będzie tylko jak cienka warstewka lodu, która nie daje gwarancji, że nie zamoczymy butów w kałuży.

Ostatecznie do Agi zawozi mnie jeden z ochroniarzy pilnujących korytarza w apartamentowcu. Ściskam moją najlepszą przyjaciółkę, jak mogę najmocniej, tak mi jej brakowało. Mówię to na głos.

– To dlaczego nie dzwoniłaś, wredna małpo? Wiesz, ile musiałam się nadenerwować, kiedy przez cały dzień nie odbierałaś telefonu? – Aga patrzy na mnie z udawaną złością.

– Wiem, ile razy dzwoniłaś do Tomka, żeby się upewnić, że jeszcze żyję – próbuję ją podejść i wybadać grunt.

– A miałam inne wyjście? On zresztą niewiele wiedział, bo nie odbierałaś telefonów od nikogo. Tomuś mówił mi tylko, że twój nadajnik porusza się po jakichś świątyniach, a raczej nikt cię nie uprowadził na takie tereny, więc powinno być OK. Nie wierzyłam, musiałam więc sprawdzać! – mówi z wyrzutem, nadymając policzki.

*Tomuś* – muszę powstrzymywać się przed parsknięciem śmiechem na takie pieszczotliwe zdrobnienie dla prawie dwumetrowej góry mięśni ze spluwą.

– Przepraszam. – Przytulam ją ponownie. – Ale dużo się działo i nie miałam głowy, żeby rozmawiać. Mam dla ciebie prezent-łapówkę, może mi wybaczysz.

Wręczam Adze wyszywany woreczek zawierający amulet miłosny i prezentuję własny, do pary. Za każdym razem na jego widok łapie mnie przeraźliwa tęsknota za Takashim, ale nie potrafię odpiąć *omamori* i schować obok *kakemono*, które zakopałam bardzo głęboko na dnie szafy, żeby się na nie przez przypadek nie natknąć.

Opowiadam od początku, od samego samolotu, o tym, jak przebiegły podróż do Tokio i pierwsze spotkanie z naszymi potencjalnymi współnikami.

– I tak musiałaś siedzieć całe śniadanie na piętach, a szpilki wrzynały ci się w tyłek? Czy jak? – Aga puszcza wodze wyobraźni.

– Nie, nie! – Śmieję się na samą myśl o tym. – Posiłek jedliśmy na bosaka.

Opowiadam więcej o kulturze Japonii, religii i wszystkich miejscach, które zobaczyłam. Mówię o Tokio Skytree, uliczce handlowej i muzeum z cyfrowymi efektami świetlnymi, a także o strojach i wyglądzie Japończyków, bo wiem, że to ją interesuje. W czasie opowiadania wszędzie widzę Takashiego, a jego imię samo ciśnie mi się na usta, jednak nie wspominam o nim ani słowem. Czekam na dobrą okazję, ale ta nie następuje do momentu, kiedy Aga sama mi taką tworzy.

– A przystojniacy? Widziałaś jakiegoś superprzystojnego Japończyka?

Bez słowa wyciągam komórkę, otwieram galerię i odnajduję zdjęcie, które po kryjomu zrobiłam Takashiemu w muzeum. Stoi na tle ściany w czerwone kwiaty, głowę ma odwróconą profilem, a ręce ukrył w połach niebieskiego kimona w kwiatowy wzór i wygląda, jakby patrzył na coś w zamyśleniu. Aga rzuca okiem na zdjęcie.

– Co to za cudak?

Parskam tylko krótko, ale właśnie takiej reakcji się spodziewałam. Odnajduję wcześniejsze zdjęcie, pozowane na tle świątyni, ale nie to, gdzie Takashi patrzy w obiektyw, tylko kolejne.

– Ida, dlaczego on patrzy na ciebie, jakby chciał cię zjeść, a jednocześnie jakbyś była całym jego światem?

Na tym ujęciu Takashi również jest zwrócony bokiem, ale tym razem jasne jest, na co patrzy. Na mnie. Nie uśmiecha się, ale jego wzrok jest skupiony, a wyraz twarzy tak jednoznaczny, że widz nie ma wątpliwości co do jego emocji.

– Chciałabym, żeby na mnie ktoś tak patrzył! Kto to jest? – Aga domaga się wyjaśnień i zabiera mi komórkę z rąk, żeby przewinąć zdjęcia.

Znajduje jeszcze tylko jedno z Takashim wpatrzonym bez uśmiechu w obiektyw i przygląda mu się przez chwilę.

– Niby cudak, estetyka egzotyczna, ale coś w nim jest. Te oczy mają w sobie coś niebezpiecznego, przewiercają na wylot nawet przez zdjęcie. Na żywo muszą być zabójcze.

Kiwam głową, bo teraz zrozumiała, co chciałam jej pokazać.

– Takashi, samuraj z mieczami, który sam o sobie mówi, że nie jest samurajem ani dobrym człowiekiem – wyjaśniam. – Mistrz sztuk walki, podobno członek yakuzy. Po godzinach romantyk, mój przewodnik, ochroniarz i... – Nie potrafię dokończyć przez nagle ściśnięte gardło, nie wiem nawet sama, co chciałam powiedzieć.

Próbuję się odezwać, ale wkładam tak duży wysiłek w opanowanie łez, że odbiera mi to głos.

– Oj, Ida... – Aga mnie przytula i głaszcze po plecach. – Zdaje się, że prawdziwa opowieść z twojej podróży się jeszcze nie zaczęła.

Parę chusteczek później jestem już na tyle spokojna, że streszczam Adze wszystkie wydarzenia z Tokio. Kiedy dochodzę do pożegnania z Takashim, przyjaciółka patrzy na mnie ze smutkiem w oczach.

– Nie przyszło ci do głowy, że on nie wiedział, jak ma się z tobą pożegnać? – pyta łagodnie.

– Tak, ale w mojej głowie był scenariusz, w którym prosi mnie, żebym została, a ja znajduję tam pracę i przenoszę się do Tokio. Po całej aferze z Konradem byłabym w stanie to zrobić. – Pociągam nosem. – Bo nic mnie nie trzymało w Warszawie.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek się dowiesz, jakie były jego zamiary. Może za bardzo mu na tobie zależało, żeby zmuszać cię do takich decyzji?

Milczymy przez chwilę. Nie odzywam się, bo jestem zatopiona w myślach, a Aga patrzy na mnie z troską. W końcu przerywa ciszę:

– Opowiedz teraz, co to za afera z Konradem, bo mnie ciekawość zżera!

Przez chwilę skubię chusteczkę, drąc ją na drobne kawałeczki, bo nie wiem, jak ująć swoje emocje w proste słowa. Są w moim wnętrzu jak kłębek wełny po zabawie z Pankracym – zaplątane, poharatane i nienadające się do niczego.

– Złamał mi serce. – Pociągam nosem. – Sprawił, że czułam się wyjątkowa. Pocałował, dał nadzieję na więcej, a później odrzucił. Myślę, że dlatego tak łatwo przyłgnęłam do Takashiego. Do tego przebywanie z nim było proste. Bez dołączonych umów o zatrudnieniu, wspólnego mieszkania, niedopowiedzeń i chodzenia do klubu na podryw. – Wydmuchuję nos w chusteczkę. – Powiedz, jestem żalosna, prawda? Zauroczyć się do tego stopnia w kilka dni. Co jest ze mną nie tak? – kończę płaczliwie.

Aga bierze mnie za rękę i ściska mocno.

– Wszystko jest z tobą w porządku, kochanie. W miłości nie ma nic żalosego.

*Miłość. Specjalnie unikam tego określenia. Gdybym miała zdefiniować jednym słowem relacje z nimi, to powiedziałabym, że Konrad jest czułością, a Takashi – pożądaniem. Jestem nienormalna!*

– Czy można kochać dwóch mężczyzn jednocześnie? – pytam Agę z desperacją w głosie. – Czy jestem puszczalska, bo przeskakuję z kwiatka na kwiatek?

Nie odpowiada od razu ani nie zaprzecza żarliwie, za co jestem jej wdzięczna.

– Nie wiem – odzywa się w końcu. – Nie ma żadnej definicji. To jest coś, na co musisz sobie sama odpowiedzieć, w swoim sercu. Jak Konrad odnosi się do ciebie po powrocie z Tokio? Wie o Takashim?

– Pewnie wie, bo Filip składał meldunki. Nie wiem tylko, ile i w jaki sposób to przekazał. A jak teraz jest między nami... – Drapię się w nos. – Dzisiaj rano obudziłam się z nim w łóżku – mówię zawstydzona.

– Jak to? Spaliście ze sobą? – Aga aż wstaje z miejsca.

– Nie, nie! – Macham rękami. – Nie podniecaj się tak, do niczego nie doszło, nawet tego nie pamiętam. Podobno miałam koszmar i przyszedł mnie uspokoić, no i tak zasnęliśmy.

Aga prycha lekceważąco, rozczarowana brakiem pikantnych scen do opowiedzenia.

– Chyba chcesz, żebym zeszła na zawał przy tych twoich historiach. Ja mogę ci tylko doradzić, że lepiej trzymać się tego, co jest bliżej, niż szukać niewiadomego gdzieś daleko. Nie wiem jak Takashi, ale widziałam raz prezesa w twoim towarzystwie. – Łapie mnie za rękę i ściska mocno. – Temu facetowi na tobie zależało, przynajmniej w tamtym momencie. Pamiętasz, jak nas obronił przed tymi nachalnymi typami? Adorował cię całym sobą i spijał każde twoje słowo, a całość maskował, wkurzając cię podjadaniem frytek, co zresztą też było urocze. Skup uwagę na nim, bo on chce budzić się w twoim łóżku. Proste.

– Dlaczego dla ciebie wszystko jest zawsze takie proste? – pytam gorzko.

– A dlaczego dla ciebie nie jest?

Aga patrzy na mnie uważnie, emanuje z niej mądrość mistrzów zen. Nie mam odpowiedzi na tak postawione pytanie, za to na pewno mam tendencje do zbytniego maglowania każdego tematu w myślach. Nagle aura Agi zmienia się diametralnie.

– Wiesz, jakie jest inne rozwiązanie? Jak to mówią: klin klinem. Chodźmy do klubu i znajdziemy ci nowego przystojniaka, który zamiecie dwóch poprzednich pod dywan – proponuje z szatańskim uśmiechem.

Wybucham śmiechem, ale ona traktuje swoją propozycję poważnie i już wyciąga kuferki z kosmetykami, żeby zrobić nas na bóstwa.

Jest początek tygodnia, więc w klubie nie ma tylu osób co w weekendy. Siedzimy przy barze i zamawiamy tequile jako dobry opatrunek na krwawiące serce. Po kilku kolejkach jesteśmy gotowe,

żeby ruszyć na parkiet. Muzyka, migające światła i wirujące ciała wprowadzają mnie w pewnego rodzaju trans. Skaczę, wydzieram się na całe gardło tekstami piosenek, których nie znam, kręcę biodrami i nie mam zamiaru mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

*Nie chcę być teraz Idą.*

Od razu podchodzi do nas dwóch facetów, chyba w podobnym do nas wieku, nawet miłych dla oka. Tańczymy we czworo, przy czym ten wyższy klei się do Agnieszki, a ona pozwala na to z widocznym zadowoleniem. W końcu proponują nam kolejkę drinków, na co przystajemy bez wahania. Przypada mi w udziale towarzystwo niebrzydkiego blondyna, którego imienia nie dosłyszałam przez głośną muzykę. Kiedy coś do mnie mówi, przysuwam się do niego, żeby lepiej słyszeć, na co on obejmuje ramieniem moje plecy i przyciąga bliżej. Jest sympatyczny, ale nic więcej.

*Niełatwo znaleźć faceta, który przeskoczy Konrada czy Takashiego.*

Aga nagle szarpie mnie za rękę, wskazując coś przy wejściu. Jestem już na tyle podpita, że chwilę zajmuje, zanim udaje mi się wyostrzyć wzrok, ale nie widzę nic godnego uwagi, patrzę więc na nią pytająco. Rozgląda się ze zdziwieniem i w końcu wzrusza ramionami, chyba jej się przywidziało. Nieważne. Pijemy następną kolejkę. Kiedy świat kręci się już na dobre, decydujemy się opuścić lokal. Nie ma żadnej chemii między nami i nowo poznanymi chłopakami, więc żegnamy ich bez żalu.



Opadam ciężko na tylną kanapę w samochodzie. Tomek zamyka drzwi i ruszamy. Jestem wykończony jak po rundzie intensywnej fizjoterapii połączonej z maratonem, a koszula klei mi się do ciała. Próbuję rozmasować nogę, ale ból nadal szarpie bezlitośnie, nie

pozwalając o sobie zapomnieć. Klnę pod nosem na swoją głupotę i połykam dwie tabletki przeciwbólowe, które na sucho prawie stają mi w gardle. Widzę, jak Tomek rzuca mi spojrzenie we wstecznym lusterku.

– No dobra, miałeś rację – przyznaję, bo Tomek od początku uważał to za głupi pomysł.

– Czego się spodziewałeś? Że wyrwiesz Idę na parkiet i zatańczycie namiętne tango? – kpi ze mnie w żywe oczy.

– Powiedzmy, że spodziewałem się, że będę mógł dotrzymać jej towarzystwa.

Tymczasem Ida była zajęta z jakimś chłoptasiem z siłowni, a moje wejście nie okazało się tak spektakularne, jak na to liczyłem, bo mimo pomocy Tomka ledwo udało mi się przekroczyć próg klubu.

Powrót do samochodu wyglądał już żałośnie. Tomek musiał mnie holować, a każdy kolejny krok groził kompromitacją.

*Jestem przyzwyczajony, że ściągam spojrzenia, ale trochę innego rodzaju niż ociekające litością.*

– O Agę się nie martwisz? – rzucam zaczepnie, bo widziałem, że się spiął na widok koleżanki Idy.

– Dlaczego miałbym się o nią martwić? – Twarz Tomka we wstecznym lusterku nie wyraża żadnych emocji.

Nie ciągnę tematu.

Obiecałem Idzie, że porozmawiamy jutro, a jutro właśnie zmieniło się w dzisiaj, bo jest po północy. Jestem niespokojny w oczekiwaniu na tę rozmowę, bardziej niż przed ważnymi spotkaniami biznesowymi. Tabletki zaczynają działać, dzięki czemu na moje ciało spływa błogość, a ból chowa się gdzieś w zakamarkach – ciągle obecny, ale już nieistotny. Moje rozczarowanie i złość też jakby nieco maleją, schodzą na dalszy plan.

Kiedy przesiadam się z samochodu na wózek, Tomek informuje, że Ida nie wróci na noc do domu.

– Co, do cholery?

Nie dowierzam uszom.

*Zostanie z tym facetem na noc?!*

– Napisała, że przenocuje u Agi.

Oddycham z ulgą. Mógł od tego zacząć.

– I pyta, czy biedny ochroniarz musi stać pod drzwiami całą noc. – Tomek chichocze do siebie, odpisując na jej wiadomość.

– Co napisałeś?

– Że może mu wystawić krzesło na korytarz. Zapewne w tej chwili otwiera drzwi, stawia mu jakiś stołek i podaje kanapkę. – Nie wiem, dlaczego go to śmieszy, chociaż w przypadku Idy takie działanie jest bardzo prawdopodobne. – Załatwię mu zmiennika na noc. Nie chcę, żeby wykończyła kolejnego chłopa.

Sen nie przychodzi. Zastanawiam się, czy Ida rzeczywiście nocuje u Agi, czy może tylko tak napisała, żebyśmy się nie denerwowali, a naprawdę jest w ramionach innego faceta.

*Mógłbym to sprawdzić, ale...*

Czuję się bezradny jak podczas jej pobytu w Tokio, kiedy raporty, które dostawałem, doprowadzały mnie do szału z bezradności. Miałem wtedy ochotę kazać ją dyskretnie śledzić, ale Tomek mnie powstrzymał. Miotam się po pościeli, aż w końcu wstaję i jadę do kuchni po szklanę wody, żeby połknąć tabletkę.

*Gdyby nie lekarstwa, nie wiem, jak poradziłbym sobie z bólem nogi. I serca.*



Wracam do mieszkania po południu. Od progu wita mnie smakowity zapach, coś jakby smażone owoce morza z ziołami. Stół jadalny jest nakryty dla dwóch osób, a na środku stoi kilka zapalonych świec, dzięki którym w mieszkaniu panuje klimatyczny półmrok. W kuchni



krząta się Konrad z fartuchem kuchennym zarzuconym na koszulę. Kiedy mnie zauważa, odwraca się w moją stronę z drewnianą łyżką w ręce. Wygląda trochę śmiesznie, bo fartuch pożyczył od Lucyny, więc na piersi ma wyszytą dużą truskawkę.

– Jesteś głodna czy najpierw kawa? Umyj ręce.

– Głodna – mówię, bo od rana męczył mnie kac i nie mogłam nic przełknąć.

To, co Konrad gotuje, pachnie jednak tak dobrze, że teraz mam ochotę na jedzenie. Posłusznie idę do łazienki umyć ręce. Kiedy wracam, na stole czeka już porcja nałożona na talerz i wielka miska z sałata, a Konrad właśnie otwiera wino.

– Tomek? – pytam i zajmuję miejsce.

– Prosiłem go, żeby dał nam trochę prywatności.

– Jeżeli planujesz mnie dzisiaj zwolnić, to poczekaj z tą rewelacją, aż się najem. A najlepiej, aż opróżnimy tę butelkę – mówię, podstawiając mu kieliszek.

– Wina jest znacznie więcej, więc bez pośpiechu.

Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale makaron z krewetkami, który zaserwował, jest wyborny. Popijam łykiem wina i aż przymykam oczy z zadowolenia. Konrad obserwuje cały czas moje reakcje, a na ustach ma leciutki uśmiech zadowolenia.

– Fartuch Lucyny jest chyba zaczarowany, dodał ci umiejętności kulinarnych. Nie wiedziałam, że potrafisz w kuchni zrobić coś poza kawą.

Nie komentuję na głos, że zauważyłam brak wózka inwalidzkiego. Konrad musi przemieszczać się po kuchni, przytrzymując się blatów, skoro porusza się o własnych siłach. Ten widok cieszy mnie nawet bardziej niż to, że sam dla mnie gotuje.

– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz. – Wznosi kieliszek jak do toastu. – Cieszę się, że trafiłem w twój gust.

Przez chwilę jem w milczeniu, a on tylko pije wino. Nie ruszył jeszcze nic ze swojego talerza.

– Ido... Jestem ci winien przeprosiny. Do tego muszę ci wyjaśnić... – Nie daję mu skończyć, tylko podnoszę rękę, żeby nie mówił nic więcej.

– Nie są mi potrzebne twoje przeprosiny. Nie chcę też, żebyś się tłumaczył. Zrobiłeś, co musiałeś, żeby zadbać o siebie. Rozumiem to. – Znowu podnoszę rękę, bo Konrad próbuje coś wtrącić. – Jedyne, co chcę od ciebie usłyszeć, to informacja, na czym teraz stoimy i co ze mną będzie. Jeżeli o mnie chodzi, mogę dokończyć tę lampkę wina, złożyć rezygnację i się wyprowadzić.

Na potwierdzenie moich słów i żeby pokazać, że skończyłam przemowę, biorę duży łyk z kieliszka. Konrad patrzy na mnie. Po prostu patrzy, jakby myślami był gdzieś daleko, a wyraz jego twarzy nie wskazuje na żadne emocje. Daję mu czas, żeby przetrawił to, co właśnie powiedziałam. Popijam wino drobnymi łykami, skubię makaron i również mu się przyglądam. Od naszego pierwszego spotkania zapuścił włosy, teraz są półdługie i układają mu się lekko w fale.

*Niedługo będzie musiał iść do fryzjera albo kupić gumki do włosów.*

Nie goli się codziennie, jak to miał w zwyczaju, kiedy chodził do biura, więc jego zarost jest co najmniej dwudniowy i zapewne szorstki w dotyku. Przechyliłam głowę w zamyśleniu i zastanawiam się nad tym, a w wyobraźni przeciągam palcem po linii jego szczęki. Podoba mi się to, co widzę.

*Niegrzeczny chłopiec. Chyba ostatnio w takich gustuję.*

W tym czasie wino w moim kieliszku się skończyło, a Konrad nadal nie powiedział ani słowa. Kiwam więc lekko głową ni to do niego, ni to do siebie i wstaję.

– Dziękuję za posiłek – mówię, kiedy mijam Konrada, jednak jego dłoń zaciśnięta na moim nadgarstku sprawia, że zatrzymuję się w miejscu.

Przyciąga mnie w swoją stronę tak, że jestem zmuszona usiąść mu na kolanach, żeby nie upaść. Chcę się od razu poderwać, ale

obejmuje mnie i przysuwa do siebie. Czuję drapanie jego zarostu w zgięciu szyi, kiedy szepcze:

– Nie zostawiaj mnie, proszę. – Każde wypowiedziane przez niego słowo jest jak mimowolna pieszczota, bo ciepły oddech i szorstka broda wywołują dreszcze na mojej wrażliwej skórze. – Nigdy nie chciałem, żebyś odchodziła. Porozmawiajmy o tym.

Puszcza mnie z objęć dopiero wtedy, kiedy kiwam głową na zgodę, ale nadal nie pozwala mi wstać ze swoich kolan. Kładzie mi rękę na policzku i zmusza, żebym popatrzyła mu w oczy.

– Jeżeli nie lubisz ze mną pracować, to znajdę ci lepsze stanowisko w Cardecki Investment albo każdej innej firmie, jaka ci się spodoba. Jeżeli tego potrzebujesz, to wyprowadź się gdzieś, gdzie będziesz szczęśliwa. Tylko nie wyrzucaj mnie ze swojego życia. – Obrysowuje kciukiem moje usta, a ja nie potrafię oderwać wzroku od jego oczu.

Bardzo chcę się skupić na temacie rozmowy, ale jego obecność i dotyk mącą moje myśli i sprowadzają je na manowce.

– Obiecuję, że nie pocałuję cię pierwszy, póki mnie o to nie poprosisz, chociaż teraz nie potrafię myśleć o niczym innym. Twoje usta są takie miękkie... – mówi, ciągle muskając moje wargi.

Odczuwam ten dotyk między nogami, gdzie lekkie pulsowanie potwierdza, że Konrad nadal ma władzę nad moim ciałem. Z przekory wyciągam koniuszek języka i trącam lekko jego kciuk, ciągle patrząc w hipnotyzujące zielenią oczy. Wciąga głośno powietrze.

– Nie ułatwiasz mi życia – bardziej mruczy, niż mówi.

– Z tego, co pamiętam, to właśnie po to mnie zatrudniłeś – mówię, realizując swoją fantazję i przeciągając palcem wskazującym po linii jego szczęki – żebym ci to życie utrudniała.

– Mogę cię pocałować? – Jego głos jest niski, a w spojrzeniu widzę pragnienie.

– Nie, panie prezesie.

Reaguję śmiechem na cichy warkot, który wrywa mu się po mojej odpowiedzi.

– W takim razie wstań, bo jeszcze chwila, a nie będę w stanie dotrzymać obietnicy.

– Dobrze, panie prezesie. Porozmawiajmy w cywilizowany sposób.

Podnoszę się z jego kolan i wracam na swoje miejsce przy stole.

– Wprawdzie teraz mam ochotę na inny deser, ale myślę, że tobie ciasto będzie smakowało. – Konrad podpira się na krześle i blatach kuchennych, kiedy kuśtyka w stronę lodówki.

*Brawo! Jestem dumna!*

Wyciąga kartonowe pudełko z logiem cukierni i wyklada na talerzyk kawałek bezy z malinami i brownie polane solonym karmelem.

– To z tamtej kawiarni? – pytam i klaszczę radośnie w dłonie, kiedy stawia przede mną oba ciastka. – I wszystko dla mnie? Nie muszę się dzielić?

Konrad śmieje się ze mnie, kiedy kosztuję obu ciast na zmianę, bo nadal nie potrafię się zdecydować, które jest lepsze. Przypominam sobie, że coś jest bardziej smakowitego niż beza z brownie razem wzięte.

*Usta Konrada...*

Nagle ciasta tracą smak.

– Mam na myśli wszystko, co mówiłem. – Konrad poważnieje i wracamy do głównego tematu rozmowy.

– To znaczy?

– Możesz się zwolnić i wyprowadzić, tylko daj się czasem zabrać na kawę, spacer czy do kina. Nie proszę o więcej.

Patrzę na niego i oblizuję łyżeczkę.

*Czy ja tak naprawdę wiem, czego sama chcę?*

– Nie zwolnię się, lubię tę pracę, a szef ma swoje dobre momenty. Myślę jednak, że powinnam się wyprowadzić. Już za długo

siedzę wam na głowie.

– Nie uważam, żebyś siedziała nam na głowie, i jestem pewien, że Tomek też tak nie myśli. Jeżeli jednak rzeczywiście tego chcesz, to pomogę ci znaleźć coś odpowiedniego.

Macham łyżeczką na boki.

– Dzięki, ale dla ciebie coś odpowiedniego to będzie loft z basenem i jacuzzi na dachu, a aż tak dobrze mi nie płacisz.

– Dzisiaj dostaniesz premię w postaci kilku kawałków ciasta, bo wszystkie z lodówki są dla ciebie.

Czuję, jak podczas tego wieczoru powoli schodzi ze mnie napięcie ostatnich miesięcy. A myśl o Konradzie, która tkwiła mi z tyłu głowy od czasu strzelaniny, nie jest już tak bolesna.

Prosta w zamyśle relacja szef–podwładna zagmatwała się tak, że czasami mam wrażenie, że łatwiej byłoby wziąć nożyczki i przeciąć ten węzeł.

*Zaoszczędziłoby mi to bólu czy go dodało?*

Nie wiem i nie jestem gotowa, żeby się przekonać.



Dzisiejszej nocy to mnie budzi koszmar. Jeden z gatunku tych, w których próbuje się biec, ale nogi są jak z ołowiu i mimo wysiłku nie da się przemieścić nawet o krok. Z tą różnicą, że u mnie koszmar nie skończył się razem z przebudzeniem. Na wpół śpiący przesiadam się na wózek i toczę do pokoju Idy. Udaje mi się jej nie obudzić, kiedy wkradam się do jej łóżka.

*Jestem masochistą.*

Kolacja i rozmowa z nią nie przebiegły według scenariusza, który ułożyłem sobie w głowie, ale z Idą mało co jest przewidywalne. Postawiłem poczucie bezpieczeństwa i jej komfort ponad swoimi

pragnieniami – stąd obietnica, że nie będę jej całował. Nie mówiłem jednak nic o przytulaniu.

Jest chyba ranek, bo za oknem słyhać wesoły świergot ptaków. Coś łaskocze mnie w nos, a kiedy otwieram oczy, widzę przed sobą miedziane morze włosów. Leżę na boku, jedną rękę mam pod głową, a drugą obejmuję Idę w pasie. Moje ciało zorientowało się pierwsze, że kształtne pośladki w krótkich spodenkach są do mnie przytulone, więc to, co się dzieje w spodniach piżamy, nie jest zwykłym porannym wzwodem. Przeciagam ręką od kolana Idy po pośladek, na co jej pupa wypina się jeszcze bardziej w moim kierunku. Powstrzymuję się przed jękiem.

*To nie był dobry pomysł...*

Ida przekręca się na plecy, wyciąga ręce nad głowę i przeciąga się z długim westchnieniem. Koszulka wędruje jej do góry, odsłaniając pępek, a cienki materiał ukazuje rzeczy, których szeroko uśmiechnięty Kubaś Puchatek ze swoją baryłką miodu nie jest w stanie zasłonić.

*Też mam ochotę dobrać się do małego co nieco.*

Moja obecność zostaje zauważona, bo Ida kładzie się twarzą w moją stronę tak, że dzielą nas centymetry.

– Znowu miałam koszmar? – pyta, jakby spodziewała się mnie zastać w swoim łóżku.

– Ja miałem.

Kiedy kładzie mi rękę na policzku, wiem, że ma na myśli jedynie gest pocieszenia, ale moje ciało weszło w inny tryb i reaguje z przesadną ekscytacją. Jeżeli Ida zbliży się do mnie jeszcze choćby drobinę, to odkryje, z jak wielką.

– Przepraszam, że wpakowałem ci się do łóżka bez pytania.

*W ogóle nie czuję skruchy.*

– Nie szkodzi. Przy tobie czuję się bezpieczna.

*Cholera, gdyby wiedziała, jak cienka jest granica mojej samokontroli, która dzieli mnie od rzucenia się na nią, to nigdy nie*

*pozwoiłaby mi ze sobą leżeć.*

*Obiecałem.*

– Pójdę pierwszy – mówię tylko i cieszę się, że siedząc na wózku, łatwiej mogę ukryć, jak na mnie podziałała jej obecność.

Biorę prysznic z nadzieją, że zimna woda ostudzi pożądanie, jednak ten plan niweczą moje myśli, bo wędrują w kierunku Idy. Przypominam sobie nasze pocałunki. Jej wypięte pośladki, piersi bez biustonosza, smak ust i to, jak polizała mój palec po kolacji. Nie muszę się zbytnio starać, bo te obrazy nakręcają mnie wystarczająco, żebym doszedł po paru ruchach ręką.

*Co ta dziewczyna ze mną robi? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz musiałem sobie ulżyć pod prysznicem jak jakiś młodzik.*

W dobrowolnym byciu masochistą nie pomaga mi to, że od dawna z nikim nie byłem. Nie szukam innych kobiet, odkąd zdałem sobie sprawę, że to, co czuję do Idy, nie jest zwykłym zauroczeniem ani chęcią, żeby ją po prostu zaliczyć. Uświadomiłem to sobie dopiero w centrum rehabilitacji, gdy po raz nie wiem który dopingowałem się w myślach jej słowami. Zapytany przez jedną z ćwiczących obok kobiet, dla kogo się tak staram, powiedziałem, że ktoś mi obiecał, że będzie mnie nazywał po imieniu, jeżeli stanę na nogi. Kobieta uśmiechnęła się do mnie i stwierdziła: „Musi pan ją bardzo kochać”. To było jak cios w brzuch. Nigdy nie myślałem o żadnej kobiecie w kategorii miłości, uznając, że jest to zbędne i nieproduktywne uczucie. Znalezienie sobie kogoś na noc, kiedy potrzebowałem rozładowania, nigdy nie było dla mnie problemem. Teraz muszę rozładowywać się sam, bo kobieta, którą kocham, a która doprowadza mnie do szaleństwa, jest niby na wyciągnięcie ręki, ale tak naprawdę bardzo daleko.

*Ot, ironia.*

Siedzimy z Idą w centrum zarządzania światem, które urządziliśmy w moim pokoju, i tłuczemy równolegle w dwa

komputery. Tak teraz wygląda nasza praca. Niedługo to się zmieni i będziemy mogli wrócić do biura. Męczy mnie bycie pustelnikiem.

– Gdzie jest Tomek? – pytam koło południa, kiedy robimy sobie przerwę na lunch.

Skończyły mi się leki i robię się niecierpliwy, bo Tomek miał jechać do lekarza po receptę, ale coś długo nie wraca.

Kiedy w końcu się pojawia, nie daję mu nawet ściągnąć butów, tylko od razu go atakuję.

– Do cholery, Tomek. Coś ty mi kupił za tabletki?

– Lekarz stwierdził, że nie potrzebujesz już tak silnych, i przepisał mniejszą dawkę – tłumaczy i na zakończenie wzrusza ramionami.

– Chyba sobie żartujesz! Ile mam ich łykać, żeby działały? – Narasta we mnie zirytowanie. – Zaraz się skończą i będziesz musiał jechać po kolejną receptę.

– Zgodnie ze słowami lekarza nie powinno cię już nic boleć i nie potrzebujesz przeciwbólowych. Masz łykać tylko w razie potrzeby.

– Niech ten konował wpakuje sobie kulę w kręgosłup, to pogadamy. Zadzwoń do niego, niech przepisze kolejne.

Tomek z Idą wymieniają spojrzenia.

– Próbowalesz w ogóle odstawić leki? – pyta ona z troską w głosie.

– Boli – mówię z naciskiem.

– Jeżeli lekarz uważa, że mniejsza dawka jest wystarczająca, to może wie, co mówi. – Spojrzenie, jakim mnie obrzuca, powoduje, że wkurzam się nie na żarty.

*Co oni sobie wyobrażają, że jestem jakimś lekomanem i nie dam rady bez tabletek?*

Rzucam Tomkowi pudełko, niech je sobie weźmie.

*Pokażę im, że dam radę. Choćby bolało jak cholera.*

Wytrzymuję do wieczora. Noga pulsuje boleśnie i rwie mnie tak, jakby miała za chwilę eksplodować od środka. Czuję zimne poty



i trzęsą mi się ręce. Tętno mam jak przy szybkim biegu.

– No cholera jasna!

*Nikt mi nie powie, że w takim stanie nie potrzebuję leków.*

*Nie jestem uzależniony, po prostu cierpię!*

Znajduję na blacie kuchennym porzucone przez Tomka pudełko i łykam od razu trzy tabletki. Po paru minutach wszystko wraca do normy i znów czuję się sobą.

## ROZDZIAŁ 9



Gdzieś w środku mnie rozpycha się duża kolorowa kulka dumy, szczęścia i innych puchatych uczuć. Patrzę, jak Konrad maszeruje po mieszkaniu ze swoją nową laską. Ostrożnie stawia kroki, ale nie ma problemu, żeby przejść nawet dłuższy dystans. Laska jest prosta, wykonana z jakiegoś czarnego drewna, a jedyny charakterystyczny element to ważka, która zastępuje gałkę na szczycie. Cały tułów owada jest wysadzany małymi, zielonymi kamyczkami. Piękne wykonanie oddaje każdy detal, a skrzydła są rozmieszczone tak, że idealnie pasują do chwytu Konrada.

Patrząc na niego, buzia mi się śmieje i nie mogę uwierzyć, że ma problem z uzależnieniem od tabletek przeciwbólowych.

– Nie zareagowałem w porę. Nie było mnie przy nim w centrum rehabilitacji, gdzie to się zaczęło – tłumaczył mi wczoraj Tomek ze zbolałą miną. – A później ignorowałem to, że łyka za dużo tabletek. Rany były świeże, ćwiczenia ciężkie, a po lekach dawał sobie świetnie radę. A teraz...

Teraz powinno być lepiej i zgodnie ze słowami lekarza nic nie wskazuje na realne źródło bólu, a mimo to tabletki znikają w zastraszającym tempie.

– Widziałam jego reakcję na mniejszą dawkę. Wziął wczoraj tabletki?

– Tak. Zostawiłem je specjalnie na widoku i po nie wrócił.

Analizuję zachowanie Konrada od czasu mojego powrotu, szukając oznak uzależnienia, ale jak dla mnie nie odbiega od normy. Pracuje, żartuje, rzuca mi dwuznaczne spojrzenia i zaczepki, choć zgodnie z obietnicą trzyma ręce przy sobie. Nie daje po sobie poznać, że coś może być nie tak. Po rozmowie z Tomkiem wiem, że powinnam poruszyć temat tabletek, bo z każdą upływającą chwilą uzależnienie tylko się pogłębia. Chęć ignorowania problemu jest ogromna. Konrad po raz pierwszy zabrał mnie ze sobą na rehabilitację, widziałam więc, jak jest to trudne. Jak wiele wysiłku i bólu kosztuje go zrobienie każdego kolejnego kroku.

*Sama usprawiedliwiasz konieczność łykania tych nieszczęsnych prochów, zamiast coś zrobić!*

– Mam zamiar przetestować laskę w terenie. Zabieram cię dzisiaj na wycieczkę. Włóż coś ładnego, ale wygodnego – zwraca się do mnie Konrad podczas obiadu. – Tomek, ty zostajesz. Przydziel nam kogoś innego.

Chcę dopytać, dokąd się wybieramy i dlaczego Tomek nie może nas ochraniać, ale obaj odchodzą od stołu bez słowa. Kończę więc obiad w samotności i sprzątam, zastanawiając się, co mam założyć.

Gratuluje sobie w myślach dobrego wyboru, bo Konrad obrzuca mnie długim spojrzeniem, kiedy wiążę espadryle, a rozcięcie sukienki w różę odsłania moją nogę. W drodze towarzyszą nam kierowca i ochroniarz. Konrad nie chce mi powiedzieć, dokąd jedziemy, obserwuję więc przez okno, jak wiozą nas za miasto, a następnie ścieżką w głąb lasu.

*Czy to w tej bajce niewinny Czerwony Kapturek spotyka złego wilka?*

– Chciałbym zabrać cię na dłuższy spacer, ale krótka przechadzka musi nam wystarczyć – mówi Konrad z żalem, kiedy wysiadamy z samochodu.

Ochroniarz wyjmuje z bagażnika kosz piknikowy i koc, po czym idzie przodem, wskazując nam drogę na przełaj, gdzie za drzewami widać leśną polankę, rozciągającą się przy rwącej rzece. Rozkłada koc, kładzie na nim kosz i odchodzi.

– Piknik. Bardzo romantycznie, panie prezesie. – Drażnię się z Konradem, siadając.

Obserwuje, jak zdejmuję buty, odkłada laskę i siada koło mnie. Popołudnie jest ciepłe, więc mam przed sobą sportową wersję Konrada w czarnych spodenkach za kolano i białej koszulce polo. Jest zrelaksowany i zdecydowanie w dobrym humorze. Wyciąga z kosza wino i dwa kieliszki, czym zasługuje z mojej strony na pomruk aprobaty, oraz deskę serów i winogrona.

– Za ważkę na twojej lasce, żeby jej skrzydła pozwoliły ci wzlecieć wysoko! – wznoszę pierwszy toast, po czym wypijamy, przegryzając co nieco pomiędzy łykami.

Następny toast wznosi Konrad:

– Za drugie randki!

Parskam, ale od kolejnego kieliszka zaczyna mi przyjemnie szumieć w głowie. Kładę się na plecach, a że słońce świeci jasno, to zamykam oczy. Domyślam się, że Konrad kładzie się koło mnie. Milczymy. Rozkoszuję się ciszą, zakłócaną jedynie przez ćwierkanie ptaków i cykanie świerszczy.

*Tak mi dobrze...*

– Konrad?

Nie otwieram oczu, ale czuję, jak przekręca się w moją stronę.

– Hm?

– Dlaczego to powiedziałeś? – pytam niejasno.

– Co takiego?

– O niecałowaniu mnie.

Chwilę to zajmuje, ale wiem, że zrozumiał, do czego nawiązuję.

– A dlaczego pytasz?

– Teraz mam obsesję na tym punkcie. – Ośmielona winem wyjawiam swój sekret.

Konrad śmieje się cichutko.

– Nie ty jedna... – mówi prawie szeptem, a jego oddech muska mój policzek.

Otwieram oczy i napotykam zielone spojrzenie, bo twarz Konrada jest tuż nad moją. Jego oczy błyszczą z rozbawienia, a na ustach widnieje uśmiech zadowolenia, jakby właśnie o to mu chodziło, żeby zaszczepić we mnie obsesyjne pragnienie. Niespodziewanie dla samej siebie zarzucam mu rękę na szyję i go przyciągam. Przy zetknięciu naszych ust impuls przyjemności przetacza mi się po kręgosłupie i lokuje między nogami, żeby tam pozostać. Konrad w pierwszej chwili wydaje się zaskoczony, ale szybko odzyskuje rezon i oddaje pocałunek z nie mniejszym zapałem. Jesteśmy wygłodniali, więc nasze pocałunki są żarłoczne, jakbyśmy chcieli zatopić się w sobie nawzajem bez opamiętania. Zarost drapie mnie i kłuje, ale jest to przyjemne, jak szorstka pieszczota. Nie odrywając ust, Konrad przekłada nogę między moje uda, a rękę opiera po obu stronach mojej głowy. Chcę więcej, więc przyciągam go, aż czuję jego ciężar na sobie, łącznie z twardą wypukłością na podbrzuszu. Korzystając ze swobody, jaką daje długie rozcięcie w sukience, zarzucam mu nogę na biodro i przyciągam go jeszcze bliżej. Nie przepuszcza takiej okazji. Jego ręka wędruje na nagie udo, sunie do kolana i z powrotem, a usta znaczą ścieżkę w kierunku szyi, gdzie Konrad drażni mnie językiem, aż wyrywa mi się cichy jęk.

– Jeżeli będziesz mnie tak nadal prowokowała, to stracę nad sobą kontrolę – szepcze wprost do mojego ucha, drażniąc zgięcie

szyi szorstkim zarostem.

– Zaskocz mnie – odpowiadam szeptem.

Jestem pijana jego bliskością i nie chcę, żeby przestawał. Z prymitywnym odgłosem przypominającym warkot rzuca się do mojej szyi i skubie ją boleśnie zębami, na co aż piszczę z zaskoczenia. Rozśmieszam tym sama siebie, ale w miarę jak usta Konrada schodzą coraz bliżej dekoltu sukienki, śmiech zamienia się w westchnienie, a kiedy dociera do rowka między moimi piersiami – w jęk. Konrad podnosi się na ramionach i patrzy mi w oczy. Na jego twarzy widzę odbicie własnego pożądania.

*Zrób to...*

Jakby czytał mi w myślach, zahacza palec o ramiączko sukienki i nie spuszczać wzroku z moich oczu, nieznosnie powoli zsuwa je z ramienia razem ze stanikiem. Kiedy pierś w końcu wyskakuje z miseczki, wiatr pieszczotliwie owiewa moją skórę, na co stwardniałe brodawki kulą się jeszcze bardziej, a uda mimowolnie zaciskają na nodze Konrada. Jego wzrok schodzi na moją nagość i widzę, jak rozszerzają mu się źrenice, a oddech przyśpiesza.

– Taka piękna – mruczy.

Jestem zażenowana, ale jednocześnie nie potrafię przestać patrzeć, jak pochyla głowę i trąca sutek najpierw nosem, a po chwili językiem. Plecy wyginają mi się w łuk i wplatam palce w jego włosy, prosząc o więcej. Konrad na przemian liże i ssie moją pierś, ale zamiast uwolnić drugą, kieruje dłoń między moje nogi. Przejeżdża palcem po materiale majtek, a ja jestem świadoma, że w tym momencie zapewne są już przemoczone. Chcę zacisnąć uda, żeby zablokować mu dostęp, ale trafiam ponownie na jego nogę między moimi. Łapię go więc za rękę, dając znać, że w tym rejonie nie jest mile widziany. Przystaje i spogląda na mnie z góry. Podnieca mnie jeszcze bardziej, kiedy wyobrażam sobie, jak wyglądam, i że Konrad widzi moje włosy i ubranie w nieładzie, obnażoną pierś, zaróżowione policzki i słyszy przyśpieszony oddech. Zagryzam wargę. Jemu też

musi się podobać ten widok, bo uśmiecha się do mnie łobuzersko, po czym chwyta moje obie ręce za nadgarstki i przenosi za głowę, przytrzymując je w miejscu. Pochyla się nade mną i szepcze prosto w usta:

– Teraz jesteś moja.

Jego pocałunek jest powolny i zmysłowy, a przy próbie wyrwania się odkrywam, że nie mam szans. Ale też, szczerze mówiąc, nie starałam się za bardzo. Poddaję się jego pieszczotom, kiedy przytrzymuje moje dłonie jedną ręką, a drugą drażni i ugniata pierś. Cały czas nie odrywa ust od moich, trwamy więc w tym elektryzującym pocałunku. Jego ręka schodzi coraz niżej, aż ponownie dociera do majtek.

*O mamo...!*

Każda komórka w moim ciele reaguje na jego dotyk, kiedy kciukiem pociera łechtaczkę przez materiał. Nie mam siły protestować, a kiedy odsuwa majtki na bok i dotyka nagiej skóry, moje nogi wręcz same się rozszerzają, żeby ułatwić mu dostęp. Konrad bada dotykiem najintymniejsze zakątki mojego ciała i obserwuje twarz, chłonąc sposób, w jaki na niego reaguję. Nie potrafię skupić na nim wzroku, oczy mam półprzymknięte z rozkoszy, a myśli rozbiegane.

– Moja – mówi i jednocześnie wkłada do środka jeden palec.

Uczucie jest tak nieoczekiwane, że moje ciało spina się, a kiedy palec zaczyna rytmicznie poruszać się w moim wnętrzu, jęczę głośno z rozkoszy. Konrad knebluje mnie pocałunkiem i puszcza przy tym moje ręce, które od razu zarzucam mu na szyję. Moje ciało zaczyna żyć własnym życiem, a biodra poruszają się w rytm pieszczącej mnie ręki.

– Konrad! – jęczę w jego usta na chwilę przed szczytem.

Orgazm dopada mnie gwałtowną falą, czemu daję wyraz głośnym krzykiem, którego nie są w stanie wytłumić nawet jego

wargi przy moich. Chwilę trwa, zanim dochodzę do siebie i jestem w stanie wyrównać oddech.

– To była nagroda za nazwanie mnie po imieniu. – Konrad wygląda na zadowolonego z siebie. – Chciałbym kontynuować, ale nie jesteśmy tu sami. Aż się dziwię, że ochrona nie przybiegła na twój krzyk. Nie wiem, czy mam im za to dać podwyżkę, czy ich zwolnić. – Uśmiecha się z rozbawieniem.

Zasłaniam usta ręką, bo zupełnie zapomniałam, że gdzieś niedaleko stoi dwóch ochroniarzy. Konrad śmieje się i przejeżdża palcem po mojej nadal nagiej piersi. Teraz, kiedy wiem, jak wygląda orgazm z nim, jego dotyk poza dreszczami wywołuje u mnie chęć na więcej. Jednocześnie jestem zawstydzona swoimi reakcjami i egoizmem, bo przecież tylko ja miałam z tego przyjemność.

– Ubierz się, bo twój widok gotuje mi krew w żyłach.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc chowam pierś do stanika i poprawiam sukienkę. Kiedy mam odwagę popatrzeć na Konrada, wyrzucenie w jego spodniach nie jest już tak duże, a w wyciągniętej ręce trzyma małe pudełko.

– Prezent – wyjaśnia, żeby nie miała wątpliwości.

W środku na zielonym materiale leży ważka. Zgaduję, że zarówno wisior, jak i łańcuszek są zrobione z białego złota. Owad jest przedstawiony nietypowo, bo z boku, a w łapkach trzyma owalny kamień w kolorze oczu Konrada. Skrzydła ma ażurowe, a misterne wykonanie każdego detalu sugeruje, że nie jest to zwykła błyskotka. Brakuje mi słów.

– Szmaragd. Wisior kazałem zrobić razem z moją laską. Podoba ci się?

Nie odpowiadam, tylko odwracam się do niego tyłem i podnoszę włosy, żeby ułatwić mu zapięcie łańcuszka. Długość jest dobrana tak idealnie, że kamień wypada akurat nad rowkiem między piersiami.

– Dziękuję – mówię i pochylam się, żeby pocałować Konrada.



On jednak specjalnie odwraca głowę tak, że moje usta trafiają w policzek.

– Nie wiem, czy uda mi się znieść dzisiaj więcej twojej słodkiej tortury – tłumaczy z uśmiechem, który nie znika z jego twarzy nawet w samochodzie, bo jestem strasznie zawstydzona przed ochroniarzami i mam ochotę schować się pod siedzeniami.

Konrad łapie mnie za rękę i nie puszcza przez całą drogę, a ja nie potrafię uwierzyć, że właśnie pieścił mnie tymi placami do spełnienia. Kiedy wracamy do domu, wygląda, jakby nic się między nami nie wydarzyło, i tylko ważka na mojej szyi i mokre majtki przypominają, że nie był to sen.



Nie potrzebuję pornosów. Mam własny intymny w głowie. Nawet nie muszę zamykać oczu, żeby zobaczyć poszczególne sceny. Wyświetlają mi się na ekranie laptopa, kiedy próbuję pracować, widzę je na dokumentach i za oknem, a nawet dłuższe wpatrywanie się w kubek z kawą oznacza, że zobaczę obraz z dźwiękiem, zapachem i wrażeniami dotykowymi. Własne kino z repertuarem tylko dla dorosłych. Z całej tej sytuacji dziwi mnie najbardziej, że jest to soft porno.

*Przecież Ida nie jest pierwszą kobietą, która mogłaby stać się dla mnie gwiazdą w takim filmie, a jednak żadna z poprzednich, choć były bardziej wyuzdane, nie przewija mi się pod powiekami.*

Widzę za to przed oczami nagą pierś Idy i to, jak faluje w rytm jej szybkiego oddechu, czuję jej wnętrze zaciskające się na moim palcu, w uszach brzmia mi jęki i krzyk, kiedy dochodziła, do tej pory mam też na sobie zapach jej podniecenia i doprowadza mnie to do szaleństwa.

*Chcę to przeżyć jeszcze raz. Muszę usłyszeć, jak wymawia moje imię w ekstazie.*

Nie ma znaczenia, że przez cały czas moje jaja groziły rozerwaniem od powstrzymanego podniecenia. Nie liczy się, że dopiero w domu mogłem sobie pozwolić na zaspokojenie i że musiałem zrobić to sam. Ida tak cudownie reagowała na każdy mój dotyk, że mógłbym ją pieścić przez cały dzień i całą noc. Jej reakcje były spontaniczne i niczym niepoahamowane.

*Takie czyste...*

Podniecało mnie nawet jej zawstydzenie w samochodzie spowodowane obecnością ochroniarzy i to, że jedzie z trzema facetami, ale tylko ja wiem, że ma przemoczone majtki.

Nietrudno się domyślić, że praca mi dzisiaj nie idzie, bo trudno się skupić z Idą w pokoju.

– Od przyszłego tygodnia chcę wrócić do pracy w biurze – mówię, żeby powiedzieć cokolwiek, bo chyba nie tylko ja mam problemy z zebraniem myśli.

– Nie mogę się już doczekać wyjścia do ludzi! – Ida uśmiecha się do mnie zza monitora. – Czy mam coś przygotować?

– Powiadom tylko Sylwię, żeby nie była zaskoczona.

Dam radę dojść do biura o własnych siłach, a to jest dla mnie wyznacznikiem tego, że mogę się pokazać publicznie. Nie chciałem okazywać słabości i dawać powodów do plotek. Wolę, jak ludzie gadają o innych sprawach. Chociaż wiem, że laska, która stanie się teraz moim nieodzownym atrybutem, zostanie od razu zauważona i odpowiednio skomentowana.

Rankiem zastaję w kuchni ciekawy widok, więc aż przystaję, żeby popatrzeć. Ida stoi przy kuchence i coś smaży, a przy tym tańczy do melodii, którą nuci pod nosem. Podryguje i kręci biodrami, a jej krótkie spodenki przy bardziej zamaszystych ruchach ujawniają, że raczej nie ma na sobie bielizny. Mógłbym przyglądać się dłużej,

gdyby nie Tomek, który popija kawę, siedząc przy kuchennej wyspie, jakby wykupił bilet w pierwszym rzędzie na to widowisko.

– Dlaczego jesteś jeszcze w piżamie? – mówię, nagle wkurzony.

Ida odwraca się do mnie i prezentuje dobrze mi znaną piżamę z Kubusiem Puchatkiem raczącym się małym co nieco. Zaciskam zęby, bo miga mi przed oczami obraz tego, co Kubuś ukrywa.

*Przynajmniej założyła stanik.*

– Mieliście jeszcze spać! Plan był taki, że obudzi was zapach placuszków owsianych i bekonu. – Robi zabawnie obrażoną minę.

– Plan prawie zadziałał. Mnie obudził zapach spalenizny – mówi Tomek drwiąco, a Ida rzuca w niego kuchenną ścierką.

– Daj, skończę smażyć, a ty idź się ubrać – proponuję, ale ona jest uparta.

Tyle dobrego, że nie wywija nam już przed oczami swoim tyłeczkiem. Nie wiem, czy śniadanie było dobre, bo film w mojej głowie skutecznie blokuje inne wrażenia.

Kiedy Tomek wreszcie idzie do pokoju, Ida stoi przy zlewie i jest zajęta myciem naczyń. Staję za nią, obejmuję ją w pasie i przyciskam biodrami do kuchennego blatu, żeby poczuła moją twardość na pośladkach. Ida nabiera głęboko powietrza i łapie mnie za dłonie mokrymi rękami.

– Nie rób tak więcej – mówię cicho do jej ucha. – Twoja piżama jest zdecydowanie za bardzo wyuzdana jak na bajkę dla dzieci. Nie chcę, żeby Tomek ani żaden inny facet cię w niej oglądał.

Parska cicho. Nie wiem, ze śmiechu czy z lekceważenia moich słów.

– Mam jeszcze koronkową koszulkę. Myślisz, że będzie lepsza? – droczy się ze mną. – Jutro wypróbuję podczas smażenia jajecznicy.

Gryzę ją lekko w ucho, na co piszczy cicho i częstuje mnie wypchnięciem pośladków w moją stronę. Kręci przy tym biodrami jak wcześniej w czasie tańca. Obracam ją przodem do siebie, łapię w pasie i sadzam na blacie koło zlewu, a sam staję między jej udami.

– Doprowadzasz mnie do sału – mówię, stykając się z nią nosem. – Nie potrafię przestać myśleć o tym, jak jęczałaś wtedy, na kocu. Muszę cię mieć znowu tylko dla siebie.

– Mogę zaproponować panu prezesowi szklankę wody zamiast.  
– Z sugestywnym uśmiechem pokazuje mi szklankę pełną mydlin, wyjętą ze zlewu.

Nie wytrzymuję i zaczynam się śmiać. Ida odstawia szklankę, zarzuca mi ręce na szyję i gasi mój śmiech swoimi ustami. Od razu czuję, jak jej język muska moje wargi, i dołączam się do tańca. Przyciągam bliżej biodra Idy, która oplata mnie teraz nogami w pasie i dociska się do mnie kobiecością. Przed strzelaniną wsunąłbym jej ręce pod pośladki i przeniósł zawieszoną na mnie do swojego łóżka. Nic by mnie nie powstrzymało przed sprawdzeniem, czy rzeczywiście nie ma majtek. Teraz ograniczają mnie własna ułomność i świadomość, że Tomek może nas w każdej chwili nakryć. Nie, żeby mi to specjalnie przeszkadzało, ale nie chcę stworzyć niezręcznej atmosfery między naszą trójką.

– Mam wrażenie, że nie tylko mnie się podobało – mówię z ustami przy jej ustach.

Zamiast odpowiedzi Ida mruczy tylko i wplata mi palce we włosy, żeby przyciągnąć do kolejnego pocałunku. Chłonę jej bliskość, każde dotknięcie, jęk i muśnięcie języka. Zbieram materiały do ciągu dalszego swojego filmu.

Na dźwięk otwieranych drzwi odskakuję od niej na miarę moich możliwości i staram się wyglądać naturalnie. Chociaż wiem, że Tomka trudno oszukać.

– Dzięki, że chcesz za mnie pozmywać. Pójdę się ubrać – mówi Ida bezczelnie, zeskakuje z blatu i bez mrugnienia okiem odchodzi do pokoju, a ja zostaję ze swoim pożądaniem, zlewem pełnym zimnej wody i niewypowiedzianym przekleństwem na ustach.



Cały mój świat runął. Moja naiwność okazała się głupia, podobnie jak ja sama. Może gdybym nie wstała w sobotę rano na siku, to żyłabym nadal w nieświadomości. Szczęśliwa, że zwrócił na mnie uwagę taki facet jak Konrad, hodowałamby motyle w brzuchu, a w marzeniach o wspólnej przyszłości stawiałabym mały domek z drewnianym płotkiem.

Mieszkam z dwoma facetami, więc przed wymknięciem się w niekompletnym stroju do łazienki najpierw uchylam drzwi i sprawdzam, czy teren jest czysty. Tak samo zrobiłam i tym razem. Jednak nie natknęłam się na Konrada czy Tomka, ale na kobietę. Szła bosą, buty trzymała w jednej ręce, a torebkę w drugiej. Blondynka. Czarne szpilki na wysokim obcasie z czerwoną podeszwą. Zjawiskowo piękna. Nie do zapomnienia i pomylenia z inną. Ta sama, która pocałowała Konrada w policzek przy windzie w biurowcu. Wyszła z jego pokoju, w połowie drogi do wyjścia zatrzymała się, żeby założyć buty, i po prostu opuściła mieszkanie, stukając obcasami.

W sobotę o szóstej rano.

Teraz domek z mojej wyobraźni płonie, ponieważ łyżki, w których go skąpałam, zamieniły się w napalm.

*Jak mogłam dopuścić, żeby facet tak zawładnął moim sercem i ciałem?*

*Idiotka!*

*Przy nim wszystkie protesty ulatują z głowy, a każda przytomna myśl deklaruje, że bierze zaległy urlop, i umyka w podskokach. Jakby przeczytał instrukcję obsługi do „Ida – model limitowany” i naciskał same właściwe przyciski!*

*Drań!*

Wychodzę z pokoju koło południa i poza rzuconym obojętnie „dzień dobry” ignoruję Konrada i Tomka, bo mój wkurw rozrósł się na całą męską rasę. Patrzą na mnie ze zdziwieniem, ale nie komentują tego, że zabieram śniadanie do pokoju.

Dzwonię do Agi, żeby się jej wypłakać. Opowiadam całą historię, a głos mi się łamie i przechodzi w szloch. Kiedy kończę, Aga wyraża, co sądzi o Konradzie, w słowach, które ze względu na cenzurę nie nadają się do przytoczenia.

– Przygarniesz mnie na kilka dni? – pytam, pociągając nosem.

Racjonalna część mnie mówi, że powinnam z nim najpierw porozmawiać, ale każę jej się zamknąć.

– Jasne, że tak! Pakuj się i przyjeżdżaj. Ale... żeby mieć całkowitą pewność... Prezes nie ma może siostry?

Otwieram usta i je zamykam.

*Czy jest możliwość, że robię aferę z niczego, a wytłumaczenie jest banalne?*

Pukam do Tomka.

– Mam krótkie pytanie. Czy Konrad ma siostrę, kuzynkę albo inną kobietę w bliskiej rodzinie?

Patrzę na niego w nadziei.

*Proszę, powiedz, że ma pięć pięknych sióstr, które mają w zwyczaju odwiedzać go nad ranem.*

– Nie. Z tego, co mi wiadomo, jest jedynakiem i nie utrzymuje kontaktów z nikim z rodziny.

Bum! Mój domek właśnie rozwalila ogromna kula do rozbiórek.

– Dlaczego pytasz?

Zbywam go.

Znajduję za lustrami w przedpokoju walizkę na kółkach i wrzucam do niej, co popadnie. Nie wiem, ile czasu spędzę u Agi, ale przecież wszystko, czego potrzebuję, mogę w ostateczności kupić. Nie ma znaczenia, co zabiorę, ale jednej rzeczy nie chcę na pewno. Zostawiam na łóżku wisior w kształcie ważki.

– Coś się stało, Ido? – pyta Konrad na widok mojej spakowanej walizki. – Wyprowadzasz się?

Obrzucam go czymś, co ma być obojętnym spojrzeniem, chociaż jestem na granicy hysterii.

*Albo przywalenia mu w twarz.*

– Jeszcze nie. Parę dni mnie nie będzie. Potrzebuję samotności – mówię, pochylając jak najniżej głowę przy sznurowaniu trampek.

– Porozmawiaj ze mną – prosi, a jego zmarszczone brwi i zatroskane spojrzenie wyrażają niemoc.

Kręcę głową i chcę wyjść, ale łapie mnie za rękę. Wyrywam się i zatrzaskuję za sobą drzwi.

Trach! To olbrzym zdeptał zgliszcza. Nie pozostało już nic.



Nie wiem, co wstąpiło w Idę, nie rozumiem, co się wydarzyło pomiędzy naszym pocałunkiem przy zlewozmywaku a spakowaniem przez nią walizki.

*Musiąło się stać coś, co tłumaczy jej zachowanie.*

Wiem, że powinienem sprawdzić dane z GPS i za nią pojechać. Wyjaśnić, przytulić i sprowadzić z powrotem. Przynajmniej wysłać za nią ochronę. Wiem to wszystko, ale wbrew mnie nie jest to teraz priorytetem.

Patrzę na pusty listek po tabletkach przeciwbólowych. Połknąłem rano ostatnią, a lekarz odmawia przepisania kolejnych. Tłumaczy się tym, że jem je jak cukierki i przekraczam zalecaną dawkę. Nosi mnie po całym pokoju, nie potrafię usiedzieć przed laptopem. Noga rwie bólem. Nie umiem jasno myśleć, bo mój umysł ciągle wraca do pytania, skąd wziąć choćby jedną tabletkę. Próbuję tłumaczyć się sam przed sobą, że przecież nie jestem uzależniony,

a jednak myśl o kolejnej dawce nie daje mi spokoju. Zagłusza wszystko inne, nawet zmartwienia o Idę.

*Niedobrze.*

Wchodzę w ubraniu pod prysznic. Patrzę na swoje ręce, drżą.

Z deszczownicy pod sufitem leje się lodowaty wodospad. Kropelki rozbryzgują mi się na włosach, spływają po nosie, osadzają się na rzęsach.

Nie pomaga.

Odchylam głowę. Przekręcam kurek, teraz woda wręcz parzy w twarz, nie pozwala zaczerpnąć oddechu. Bez znaczenia.

*I tak czuję się, jakbym tonął.*

Wewnątrz mnie szaleje głód, który nie chce umilknąć nawet na chwilę. Szarpie wnętrzości, wykręca je na drugą stronę. Woła o jeszcze.

Teraz trzęsę się już cały.

*Chcę więcej!*

Tu, teraz. Bez względu na wszystko. Z konsekwencjami będę się mierzył, kiedy nadejdą. O ile będą się wtedy w ogóle liczyły. Teraz nie jest ważne nic poza zaspokojeniem tego cholernego pragnienia.

*Ja jestem pragnieniem.*

Skojarzenie z popularnym sloganem reklamowym powoduje u mnie idiotyczny chichot. Przestałem być mężczyzną sukcesu z nagłówek gazet, obiektem pożądania kobiet i inwestorów. Nie to mnie teraz definiuje, bo nie istnieję. Stałem się narzędziem mającym jeden, jedyny cel.

*Więcej.*

W głowie kołacze się pojedyncza trzeźwa myśl.

*Kiedy moje życie się tak popierdoliło?*

Rozważam wymknięcie się Tomkowi i poszukanie kogoś, kto wypisze mi receptę, lub znalezienie nielegalnych dostawców z ulicy.

*Nieważne, co to będzie za gówno. Ważne, że przestanę się tak czuć i będę mógł trzeźwo myśleć. Chcę zacząć przejmować się Idą!*



Chichoczę nerwowo sam do siebie, bo na to stwierdzenie dociera do mnie prawda.

*Jestem ćpunem.*

*Prezes Konrad Cardecki, kuternoga i ćpun. Powinienem zmienić wizytówki.*

Zaczynam się śmiać. Histerycznie, na cały głos. Zsuwam się po ścianie i siadam na mokrej podłodze prysznic, bo nie jestem w stanie ustać na nogach. Na moją głowę nadal leje się woda z deszczownicy. Siedzę tak i śmieję się, aż cała łazienka rozbrzmiewa echem, a z moich oczu lecą łzy.

*Dobrze, że Ida nie widzi mnie w tym stanie – na jej wspomnienie śmiech przechodzi w łkanie.*

Tak znajduje mnie Tomek. Żalostną namiastkę człowieka pozbawionego własnej woli i godności.

Wchodzi pod prysznic i moczy się, zakręcając wodę, a następnie holując mnie w kierunku łóżka. Wyciąga nowe ubrania z szafy i przebiera mnie jak dziecko. Poddaję się jego zabiegom bez protestu, tylko dalej wstrząsają mną dreszcze.

Kiedy kończy, wychodzi na chwilę i wraca ze szklanką wody, którą podaje mi razem z tabletką. Patrząc na niego pytająco.

– Poradzimy sobie z tym – mówi. – Na razie połknij.

Biorę tabletkę drżącą ręką i pośpiesznie połykam. Nie wiem, czy dał mi placebo, ale sama świadomość, że wreszcie dostałem to, czego tak potrzebowałem, sprawia, że czuję się lepiej. Oddycham głęboko. Lepiej, a jednocześnie jest mi przed nim po prostu wstyd.

– Wiem, że coś się stało z Idą. Będę ci wydzielał dawki, póki to się nie wyjaśni, a później opracujemy plan i wyciągniemy cię z tego bagna. – Tomek kładzie mi rękę na ramieniu. – Obiecuję.

– Nie mów nic Idzie – proszę go cicho.

– Ida powinna wiedzieć. Przypomnij sobie, jak się skończyło, kiedy ostatnio uciekłeś od niej, żeby samodzielnie poradzić sobie z problemem.

*Ma rację.*

Przerywa nam telefon. Chcę olać połączenie, ale wyświetlacz informuje, że jest to agencja detektywistyczna.

– Słucham?

– Dobry wieczór, panie prezesie. Przepraszam, że o tej porze, ale uznałem, że to, co mam do powiedzenia, usprawiedliwi tak późny telefon. – Rozpoznaję głos detektywa, z którym współpracuję. – Zlecił pan wyszukanie informacji o panie Idalii Piaseckiej. Zajęło nam to więcej czasu, niż przypuszczaliśmy, z powodu uwierzytelnienia dodatkowych informacji. Nie chcieliśmy pana informować, póki nie zyskaliśmy pewności.

Rzeczywiście, sprawdzenie Idy zleciłem już dawno, kiedy miałem wątpliwości co do czeków, które trafiły w moje ręce po wybuchu w jej mieszkaniu. Nadal mam puszkę z nimi w sejfie. Pamięć o tej sprawie już dawno straciła u mnie priorytet i została zagrzebana pod innymi problemami. Zapomniałem odwołać agencję, teraz nie ma to już znaczenia, ale pozwalam detektywowi mówić dalej, skoro i tak wystawi fakturę.

– Zlecenie obejmowało również rodzinę panny Idalii i tutaj pojawił się problem. Szczegóły i dokumenty potwierdzające ma pan na skrzynce mailowej. Chciałem tylko zwrócić pana uwagę na potencjalne zagrożenie, jakim jest jej ojciec. Sprawdziliśmy i nie ma mowy o pomyłce. Jest nim Dimitrij Berezowski, szef rosyjskiej mafii.

W słuchawce zapada cisza.

# EPILOG

*Moskwa*

Aleksiej nie przywykł do wykonywania prostych czynności samodzielnie. Miał od tego ludzi. Wszystko – od jedzenia na stole po organizowanie mu życia – załatwiała się samo, choć czasami wymagało wskazania palcem. Kiedy dorósł do odpowiedniego wieku, również zabijanie dołączyło do listy prostych czynności, które ktoś robił za niego. Teraz jednak jego rozkazy nie zostały wykonane. Przed chwilą zrugął swoich ludzi. Ślepi głupcy nie tylko zabili jakąś sekretarkę, która weszła im na celownik, zamiast właściwego celu, ale nie potrafili nawet zwinąć zwykłej kobiety z ulicy. Niekompetencja innych zmusiła go do wzięcia sprawy we własne ręce.

Aleksiej siedział właśnie w gabinecie ojca i patrzył na trzymane w ręce zdjęcie. Planował. Fotografię zrobiono z ukrycia, tak że przedstawiona na niej osoba nie zdawała sobie z tego sprawy. Kobieta ze zdjęcia idzie ulicą jakiegoś dużego miasta. Jest ubrana w kwiecisty kombinezon, miedziane włosy ma w nieładzie i wygląda, jakby się gdzieś śpieszyła.

Aleksiej pstryknął palcem w zdjęcie, a na jego ustach pojawił się paskudny uśmiech.

– Do zobaczenia wkrótce, *sestra*.

KONIEC TOMU I

# ODKRYJ NASZE POWIEŚCI!



Alexandra „Alex” Ferenc była oczkiem w głowie swojego ojca, Wielkiego Alfredo, pięciokrotnego mistrza świata w wyścigach motocyklowych. Po tragicznym wypadku, który zmienił życie całej rodziny, Alex dostaje propozycję, dzięki której ma szansę na spełnienie marzeń z dzieciństwa. Idzie w ślady swojego ojca i rozpoczyna karierę w wyścigach MOTO GP. Wraca do rodzinnych

Włoch, gdzie niespodziewanie spotyka Tito – przyjaciela z dawnych lat, który już nie przypomina słodkiego chłopca. A nieziemsko przystojny i arogancki mistrz świata Lukas Perèza, skrywa więcej tajemnic, niż może sobie wyobrazić.

**Ten tytuł przyprawia o zawrót głowy – wciśnijcie gaz do dechy  
i spotkajcie pasjonującą miłość.**

**Szukaj w księgarniach!**

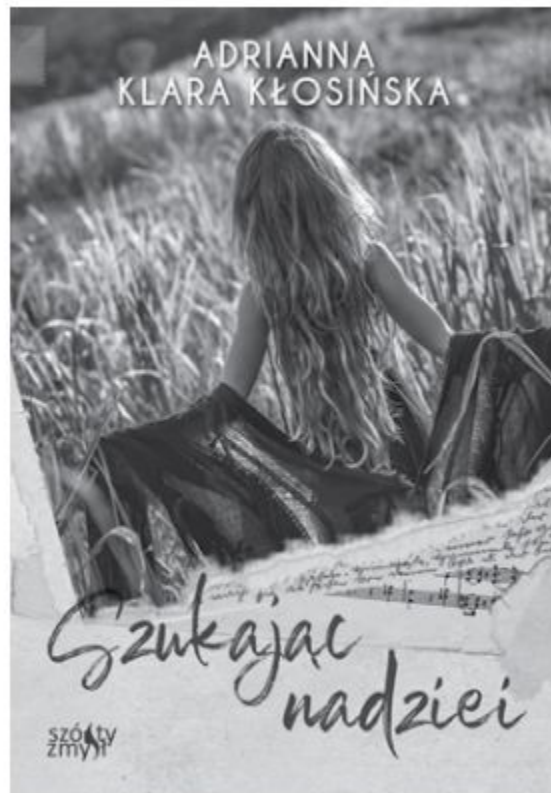


Kuba przestał lubić jesień, bo zabrała mu mamę. Iga kochała ją za długie wieczory spędzone z herbatą. Dla Kamili była obojętna, aż do dnia, który wywrócił jej świat do góry nogami.

Łączy ich fotografia oprawiona w złotą ramkę, która od lat stoi na szafce, tuż przy łóżku w sypialni mamy Kuby. Chłopak nigdy nie pomyślał o tym, by zapytać kim jest dziecko, które tuli do siebie na zdjęciu jego rodzicielka. Przez wiele miesięcy nie jest w stanie przekroczyć progu tego pokoju i nie ma pojęcia o tym, że na dnie szafy czeka pudełko ze wszystkimi odpowiedziami. Skrzętnie skrywane sekrety po latach wyjdą na jaw.

**Tom 1 poruszającej i zaskakującej trylogii *Listami Pisane*.**

**Szukaj w księgarniach!**

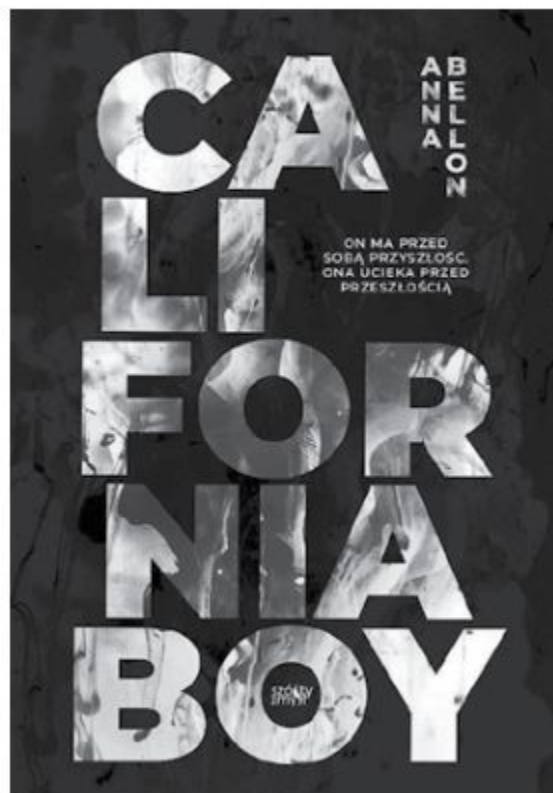


Basia pracuje w biurze projektowym i zawsze może liczyć na najbliższych, jednak jej codzienność wcale nie jest idealna. Podobnie jak Konrada, który z pasją prowadzi wieczorną audycję radiową, a w ciągu dnia swoje myśli przelewa na papier i płótno. Los sprowadza ich latem z Poznania na urokliwą wieś. Ona zaczyna wyczekiwany urlop, a on dowiaduje się o niespodziewanym spadku. Wspólnie spędzone wakacje przynoszą nie tylko rodzące się uczucia, ale również wiele życiowych zawirowań i rodzinnych sekretów. Oboje skrywają w sobie niełatwe historie i oboje... potrzebują siebie, by odnaleźć zagubioną nadzieję na lepsze jutro.

**Najnowsza powieść Adrianny Klary Kłosińskiej swoim ciepłem rozgrzeje każde serce!**



**Szukaj w księgarniach!**



Danny od zawsze miał tylko jeden cel: dostać się do NHL. Kiedy przeprowadza się do zimnej Minnesoty, by zostać napastnikiem Lwów, chce dać z siebie wszystko i skupić się na hokeju. Plany jednak biorą w łeb, gdy na jego drodze staje Lizzy, aspirująca malarka.

Lizzy od lat ucieka przed swoją przeszłością. Nowy obraz na zamówienie budzi wspomnienia, które dawno już pogrzebała. Rodziny się nie wybiera, a teraz Lizzy ma więcej do stracenia, niż kiedykolwiek wcześniej. Tym razem na szali stoi nie tylko jej przyszłość, ale także Danny'ego. Wspólnie mogą wygrać to starcie, jeśli tylko będą grać w jednej drużynie.

**Sport, romans i Anna Bellon – najlepszy przepis na pochłaniającą powieść new adult.**

**Szukaj w księgarniach!**



Głęboko poruszająca powieść o dorastaniu, zmaganiu się z własnymi demonami i przeszłością, która nie daje o sobie zapomnieć.

Niespełna siedemnastoletnia Felicja wydaje się być zwykłą nastolatką. Lubiana, sympatyczna, jedna z lepszych uczennic. Na pozór jej życie jest idealne. Z powodu zbiegu okoliczności poznaje wybuchowego i zbuntowanego syna dyrektora – Nikodema, który nie chce podporządkować się panującym zasadom. Mimo że zupełnie różni, coś ich jednak łączy. Oboje skrywają bolesne tajemnice, które niszczą ich od środka. W ciemności poza bólem i cierpieniem jest również nadzieja, a najwięcej prawdy jest ukryte w ciszy...

**Poznaj dwójkę nastolatków, przed którymi wyboista droga ku miłości.**

**Szukaj w księgarniach!**



Pełny zmysłowości i nieszablonowego humoru debiut o płomiennym uczuciu. Trzyma w napięciu do ostatniej strony.

Kiedy Rafał wyciąga drobną kobietę z pożaru, nie wie jeszcze, że jego cały świat runie w posadach. Dla niej złamie wszystkie swoje zasady. Dla niej zaryzykuje własne życie. Czy to wystarczy Marcie, gdy pozna prawdę o mężczyźnie, który wcale nie jest bohaterem? Jak potoczą się losy dwóch osób różniących się od siebie niczym woda i ogień? Czy płomień namiętności wystarczy, by uchronić rodzące się uczucie?

**„W płomieniach” to pierwsza część cyklu „Cztery żywioły”, które łączy jedno – gorące, namiętne uczucie wystawione na**

**próbę.**

**Szukaj w księgarniach!**

Wydawnictwo Szósty Zmysł  
Grupa Wydawnicza Papierowy Księżyc  
skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12  
tel. 59 727-34-20, fax. 59 727-34-21  
e-mail: [wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl](mailto:wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl)  
[www.szostyzmysl.com.pl](http://www.szostyzmysl.com.pl)